

C. BOGUCKA, C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ III

WYDANIE PIĄTE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER • I SPÓŁKA
SKŁADY GŁÓWNE: POZNAŃ, u M. NIEMIERSKIEWICZA
NEW-YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO. INC.

Cena w opr. Mrk. 650

C. BOGUCKA, C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ III

WYDANIE PIĄTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
SKŁADY GŁÓWNE: POZNAŃ, □ M. NIEMIERKIEWICZ
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.



68387

Druk Piotra Laskauera
Marjensztad 8.

K-249/76/74738

1. NARODZINY.

Gdy raz pierwszy dziecina	Ranny wietrzyk przewie-
Słabe wzniosła powieki,	I roznosi na fali [wa—
Głos muzyki dalekiej	Słodką, lubą woń drzewa,
Powtarzała dolina;	Bzu i leśnej konwalji.
Drżało światło jutrzeńki,	Matka daje uśmiechy,
Słowik śpiewał w ukryciu	Ludzie miłych słów dźwięki,
Najpiękniejsze piosenki,	Gaj—wonności oddechy,
W najpiękniejszym dniu w ży-	Lichy słowik—piosenki.
Blaskiem zorzy rumianej [ciu.	To i wszystko, co w świecie
Rozjaśniały się ściany;	Najpiękniejsze, jedyne,
Coraz więcej promieni	K'czemu śmieje się dziecię
Dziecku w oczach się mieni.	W pierwszą życia godzinę!
Kędy rzuci oczyma,	O, ukochaj na wieki
Na kim oko zatrzyma,	Ten głos pieśni dalekiej,
Wszyscy w świetle kolejną	Te poranku wonności,
Wciąż się nad niem słaniają,	Te uśmiechy miłości!
Ci na palcach się czają,	O! zatrzymaj w swem oku
Ci się patrzą i śmieją.	Obraz matki kochanej,
Coś mu dzwoni nad główką,	Ciemne chatki twej ściany,
Coś, co cieszy serduszko;	Srebrne wody potoku!
Więc nadstawia swe uszko,	Niech w twej myśli dziecię-
Chwyta słówko, oj! słówko—	Nie postanie nic więcej, [cej
Głos ojczysty, jedyny,	Tylko matki oblicze,
Samem brzmieniem zachwyca	Jak słoneczko pogodne,
I dobywa na lica	Tylko pieśni słodczyce,
Pierwszy uśmiech dzieciny.	Tylko tchnienie swobodne.

Niech te cuda prawdziwe, To i będzie ci znośnie,
Za którymi nic niema, Życie częściej przebieży,
Twoje serce zatrzyma A jak burza cię chłóśnie,
Zawsze jasne, jak żywe. To cię tylko odświeży.

Teofil Lenartowicz.

Poeta polski w. XIX-go, „lirnik mazowiecki“. Zmarł we
Florencji w r. 1893. Pisał najwięcej o ludzkiej ziemi.

Wyrazy podobnego znaczenia (synonimy) do: slaniać się,
brzmienie, luby, wonność.

2. Pod gruszą.

Pewnego dnia kowalowa położyła Stasia w sadzie na murawie, pod gruszą, podesłała mu płachtę, podwinęła koszulkę i mówi: — Spijże tu, chłopak, i nie drzyj się, ty jagódka moja najśłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało. A ty, Kurta, legaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła, albo pszczoła nie ugryzła, albo jakizły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapię tyczki i tak wam kości porachuję!...

Ale na samą myśl wykonania groźby, schwyciła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę zrobić, utuliła go, wycalowała i wyhuśtała, wołając pieśzczotliwym głosem:

— Jabym ciebie miała bić tyczką?... To Kurte pbsubrata, nie ciebie!... Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedynętki, złoty!... Nie śmiej się ty, Kurto, sobako kudłata! nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że jabym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasięńka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu!... lu!... lu!... lu!... lu!...

A Kurta tył pod siebie zawinął, pysk z gorąca otworzył i czerwony jezor wywiesił na lewo, jak chust-

kę. Wyrozumiały pies i chytry!... On myśli sobie: „Gadaj ty zdrowa, a ja co wiem, to wiem, że ile razy sienniczek Staszku suszyć wypadło, tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni słyhać był!”

Tak sobie myślał Kurta pyskaty, ale milczał, wiedząc, że od najlepszych racji mocniejszy jest — ożóg¹⁾, którym wszyscy domownicy a gospodyni najpierwsza mitygowali jego psie pretensje.

Staś tymczasem tarł oczy tłustymi piąstkami i lnianowłosą głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnieby jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tem garnczysku kaszy z mlekiem dobrze człowiekowi spać się chce!

Chłopiechy już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba. Dopiero, gdy jej zaciężył i wetknął głowę między ramię a piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurte za ucho i, oglądając się, poszła w głąb sadu.

Staśkowi płachta zgrzebna, a pod nią ziemia, wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc, choć mu nogi doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać po niej, a tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizał go zawiesić po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowę tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń, i zasnął.

Wtedy od łąki świeżo skoszonej powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Polaskotał przysadziście

¹⁾ Ożóg — kij drewniany lub żelazny do poprawiania drzewa w piecu.

kopy siana, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z ponsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i blado-różowe makówki kiwały się, jak Żydzi w bóżnicy, zgorszone widzieć lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola!

— Aj! zbyt! zbyt!... aj, jakie zbyt! ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki szeptały:

— Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudziecie.

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić.

— Co za świat! — myślał — na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa, zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robi w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kują?... On małym młotkiem bije w kowadło: dyń! dyń! dyń! dyń!... a chłopcy wielkimi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!... aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział.

I z rozpaczyny nad powszechnem lenistwem upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jęła, splaszczyl się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzeć.

Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebiegających łapkami i nastawiających uszy, jak palce.

— Ach, damże ja wam, hultaje! — szczechnął Kurta i dalej gonić szkodników na wszystkie strony!

Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zajęce mnożyły się, jak krople deszczu ulewego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę bieganinę, wołali: „Aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!”

A Kurta wyciągnął się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtem nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:

— Oj! ty... ty... kundlu jakiś!... próżniaku!... Najadłeś się osypki¹⁾ i, kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz, jak kłoda, i drzemiesz!

Ocknął się pies i kłap na muchę zębami.

— Widzicie ją, darmożjada!... ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zajęce wyganiam z kapusty!

I nie chcąc na obronę swego honoru czasu tracić, wyciągnął się jeszcze lepiej i — wrócił do czynności. A mucha wciąż krążyła nad nim, choć się marszczył i pazury nadstawiał, i piszczała.

¹⁾ Osypka — pożywienie z jęczmienia lub owsa dla zwierząt domowych.

— Oj! ty!... ty!... kundlu jakiś, legarcie!...¹⁾ Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniaku!

I od tej chwili koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni, wszystko to w takt szemrało:—Leń Kurta!... leń Kurta!... leń Kurta!...

Ale pracowity Kurta wyciągnął się pod gruszą i precz gonił zające. B. Prus („Przygoda Stasia”).

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), powieściopisarz XIX-go i począt. XX-go w. i publicysta, t. j. autor, pisujący artykuły do dzienników w kwestjach, ogół obchodzących.

Czy w tem opowiadaniu mamy dużo zdarzeń? Takie opowiadanie, w którym jest odbita jedna chwila życia, ale niema prawie wydarzeń, nazywa się o b r a z e k.

Czy naprawdę pietruszka, makówki i nać kartoflana myślały i mówiły? Jeżeli opisujemy rzeczy martwe, jak gdyby żywe osoby, to się nazywa u o s o b i e n i e m tych rzeczy.

3. Modlitwa dziecka.

Faraon widział Egipt nie większy od alei, która ciągnęła się przez ogród jego pałacu. Dziwny obraz miał jednak tę własność, że gdy faraon skierował na jakiś punkt bacniejszą uwagę, punkt ten rozrastał się w okolicę prawie naturalnej wielkości.

Słońce już zachodziło, oblewając ziemię złotawo-purpurowem światłem. Dienne ptaki zasiadały do snu, nocne budziły się w kryjówkach. W pustyni ziewały hijeny i szakale, a drzemający lew przeciągał potężne cielsko, gotując się do pościgów za łupem.

Nilowy rybak wywłóczył sieci, wielkie statki transportowe przybijały do brzegów. Znużony rolnik odejmował od zórawia kubek, którym przez cały dzień czerpał wodę; inny powoli wracał z pługiem do

swej lepianki. W miastach zapalono światła, w świątyniach kapłani zbierali się na nabożeństwo wieczorne. Na gościńcach opadał kurz i miłkły skrzypiące koła wozów. Ze szczytu pylonów¹⁾ odezwały się jęśliwe głosy, wzywające naród do modlitwy.

W chwilę później faraon spostrzegł ze zdziwieniem niby stado srebrzystych ptaków, unoszących się nad ziemią. Wylatywały one ze świątyń, pałaców, ulic, fabryk, statków, chat wieśniaczych, nawet z kopalń. Z początku każdy z nich pędził w górę, jak strzała, lecz wnet spotykał pod niebem innego srebrnopiórego ptaka, który zabiegał mu drogę, uderzał go z całej siły, i—oba martwi upadali na ziemię.

Były to niezgodne modlitwy ludzkie, które nawzajem przeszkadzały sobie wzbić się do tronu Przedwiecznego.

Faraon wyteżył słuch. Z początku dolatywał go tylko szelest skrzydeł, niebawem jednak mógł odróżniać wyrazy.

I oto słyszał chorego, który modlił się o powrót do zdrowia, a jednocześnie lekarza, który błagał ażeby jego pacjent chorował jak najdłużej. Gospodarz prosił Amona²⁾ o czuwanie nad jego śpichrzem i oborą; złodziej wyciągał ręce do nieba, ażeby bez przeszkody mógł wyprowadzić cudzą krowę i napelnić wory cudzem ziarnem.

Wędrowiec w pustyni upadał na piasek, zebrząc o wiatr północny, któryby mu przyniósł kroplę wody; morski żeglarz bił czołem o pokład, ażeby jeszcze przez tydzień wiały wiatry ze wschodu. Rolnik chciał, aby prędzej wysychały bagna po wylewie; ubogi rybak żądał, by bagna nie wysychały nigdy.

¹⁾ Pylony — wieże przy świątyniach.

²⁾ Amon — bóg słońca, czczony w Egipcie.

¹⁾ Legart — legawiec, leniwiec.

I ich modły rozbijały się wzajemnie i nie dosięgły boskich uszu Amona.

Największy zgilek panował nad kamnieniolomami, gdzie przestępcy, skuci w łańcuchy, rozsadzali ogromne skały. Tam partja robotników dziennych błagała o noc, aby spać się położyć, podczas gdy budzeni przez dozorców robotnicy partji nocnej bili się w piersi, aby nigdy nie zachodziło słońce.

Na zachodniej granicy ujrzał faraon dwie armje, gotujące się do boju. Obie leżały na piaskach, wzywając Amona o wytepienie nieprzyjaciół.

Modły tych i tamtych, jak dwa stada jastrzębi, starły się nad ziemią i spadły na pustynię. Amon nawet ich nie dojrzał.

I gdziekolwiek faraon zwrócił umęczoną żrenicę, wszędzie było to samo.

Lwy, szakale i hijeny dyszały głodem i pożądaniem świeżej krwi; jelenie, sarny i zające z trwogą opuszczały kryjówki, myśląc o zachowaniu nędznego życia jeszcze przez jedną dobę.

I tak na całym świecie panowała rozterka. Każdy chciał tego, co lękiem napępiało innych; każdy prosił o własne dobro, nie pytając, czy nie robi szkody bliźniemu.

Przeto modlitwy ich, chociaż były jak srebrzyste ptaki, wzbijające się ku niebu, nie dosięgły przeznaczenia. I boski Amon, którego nie dochodził żaden głos z ziemi, oparłszy ręce na kolanach, coraz więcej zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej boskości, a na świecie coraz częściej rządziła ślepa moc i przypadek.

Nagle faraon usłyszał głos kobiety.

— Psujak!... Psujaczek!... wracaj, zbytniku, do chaty, bo już pora na modlitwę...

— Zarazę... zaraz!... — odpowiedział głos dziecięcy.

Władca spojrział w tym kierunku i zobaczył ubogą lepiankę pisarza od bydła. Właściciel jej przy blaszkach zachodzącego słońca kończył pisać swój rejestr, jego żona rozbijała kamieniem pszenicę na placki, a przed domem, jak młody koziołek, biegał i skakał sześćioletni chłopczyna, śmiejąc się, niewiedomo z czego.

Widać upajało go pełne woni powietrze wieczoru.

— Psujak!... Psujaczek!... chodź mi tu na modlitwę — powtarzała kobieta.

— Zaraz! zaraz!...

I znowu biegał i cieszył się, jak szalony.

Nareszcie matka, widząc, że słońce zaczyna pograżać się w piaskach pustyni, odłożyła swój kamień i, wyszedłszy na dziedziniec, schwyciła biegającego chłopca, jak żrebaka. Opierał się, lecz wkońcu uległ przemocy. Matka zaś, wciągnawszy go do lepianki, czempredzej posadziła na podłodze i przytrzymała ręką, ażeby jej znowu nie uciekł.

— Nie kręć się, — mówiła — podwin nogi i siedź prosto, a ręce złóż i podnieś do góry... A niedobre dziecko!...

Chłopak wiedział, że już nie wykręci się od modlitwy, więc, aby jak najprędzej wyrwać się znowu na podwórze, wzniosł pobożnie oczy i ręce do nieba i cieniutkim a krzykliwym głosem prawil zadyszany:

— Dziękuję ci, dobry boże Amonie, żeś tatkę chronił dzisiaj od przygód, a mamie dał pszenicy na placki... I jeszcze co?... Żeś stworzył niebo i ziemię i zesłał jej Nil, który nam chleb przynosi... I jeszcze co?... Aha, już wiem!... Jeszcze dziękuję ci, że tak pięknie na dworze, że rosną kwiaty, śpiewają ptaki, i że palma rodzi słodkie daktyle. A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię, jak ja, i chwałą lepiej ode mnie, bom jeszcze mały i nie uczyli mnie mądrości. No, już dosyć...

— Złe dziecko! — mruknął pisarz od bydła, schylony nad swoim rejestrem. — Złe dziecko, niedbale oddajesz cześć Amonowi.

Ale faraon w czarodziejskiej kuli dostrzegł zupełnie co innego. Oto modlitwa rozsztykowanego chłopczyzny jak skowronek wzbiła się ku niebu i, trzepocząc skrzydłami, wznosiła się coraz wyżej i wyżej aż do tronu, gdzie wiekuisty Amon, z rękami na kolanach, zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej wszechmocy.

Potem wzniosła się jeszcze wyżej, aż na wysokość głowy bóstwa i śpiewała mu cieniem dziecięcym głosem:

— A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię, jak ja...

Na te słowa pogrążone w sobie bóstwo otworzyło oczy i padł z nich na świat promień szczęścia. Od nieba do ziemi zaległa niezmierna cisza. Ustał wszelki ból, wszelki strach, wszelka krzywda. Świszczący pocisk zawisnął w powietrzu, lew zatrzymał się w skoku na łanie, podniesiony kij nie spadł na plecy niewolnika. Chory zapomniał o cierpieniu, zbłąkany w pustyni — o głodzie, więzieniu — o łańcuchach. Ucichła burza i stanęła fala morska, gotowa zatopić okręt, I na całej ziemi zapanował taki spokój, że słońce, już ukryte poza widnokreślami, znowu podniosło promieniającą głowę.

B. Prus („Faraon”).

Jakie uosobienia znajdziesz w tem opowiadaniu?

4. Przed Madonną.

Jest jeden cichy, wiejski kościółek ustronny,
Gdzie w ołtarzu Maryja w złocistej sukience
Skrzyżowała na piersi swoje ciemne ręce,
Zasłuchana w hymn ciszy, wiecznie jednotonny.

Tam na ołtarzu stoi bez i jaśmin wonny,
Świetlane smugi kurzów kłębią się w jutrzence,
Przez okna napływają rozgwały ptaszące,
A blask plecie słoneczną koronę Madonny.
Tam razem z gołębiami pod kościelnym dachem
Modlitwy dusz zmęczonych sennie się kołyszą,
Upajają się białych jaśminów zapachem,
Drżą, owiane blaskami wielkimi i ciszą,
I jak gołębie, w locie zmartwiałe przestraczem,
Przed obrazem Maryi bezszelestne wiszą.

Bronisława Ostrowska.

Współczesna poetka polska.

Do czego porównywa autorka modlitwę?

5. Z dziennika ucznia.

22 grudnia.

Jestem więc znowu w domu. Przyjechałem o zmroku, ale bez przygody. A jadąc przez las od stacji, pomyślałem sobie, jakby to było, gdyby nas wilki opadły: konie pędzą, wilki wyją, wpadamy na dziedziniec — no, ale przyjechałem zupełnie spokojnie. Hania i Irka wybiegły do sieni, za niemi mama, nawet ojciec się zjawił i tak jakoś spojrział na mnie, że mi się jasno i ciepło zrobiło. Lubię szkołę, naukę, kolegów i nauczycieli, lubię nawet miasto w zimie, ale dom to jednak jest coś zupełnie innego. Nie mieć domu, rodziny — jakże to smutno, okropnie! Dobrze mi jest w szkole, bardzo dobrze, nie chciałbym się jej wyrzec, pragnę się uczyć, kocham to zbiorowe życie, to wspólne całej klasy dążenie do czegoś, a często całej szkoły, — a jednakże, odkąd tu jestem, tak mi dobrze, tak dziwnie, że naprawdę chwilami bałem się, że się rozpłaczę. Życie ma ogromne skarby dla człowieka. Może nie dla każdego, i to jest właśnie smutne, ale dla mnie, dla tylu innych. Najpierw dom rodzicielski — to

całe królestwo miłości, szczęścia, czegoś tak dobrego, że nie umiałbym tego nawet nazwać. A potem dobrodziejstwo nauki i jej zdobyczy. Dobrodziejstwo wspólnego życia i pomagania sobie w każdej pracy i potrzebie. Kiedy o tem pomyślę...

23 grudnia.

Ojciec przerwał mi wczoraj pisanie, przeczytał ten kawałek dziennika, i potem rozmawiliśmy długo o tem wszystkiem, co mi się na myśl nasunęło pod wpływem powrotu do domu. Co to znaczy rozmowa z rozumnym człowiekiem, ileż ja wczoraj przez te kilka godzin skorzystałem! Po prostu zrozumiałem wiele rzeczy, na które patrzałem dotąd prawie z bezmyślnością dziecka. Bo, co prawda, rozumiałem, że wielką dogodnością, a nawet dobrodziejstwem jest życie w społeczeństwie, podział pracy, korzystanie z wiedzy, wynalazków, odkryć, do których ludzkość doszła, ale ani razu nie przyszło mi na myśl, że nikt nie ma prawa korzystać z tego darmo, że kto bierze, a nie wzamian nie oddaje, jest dłużnikiem nieuczciwym i pozbawionym godności, który dług swego nie spłaca. Po raz pierwszy zupełnie jasno zrozumiałem, co to znaczy obowiązek względem społeczeństwa, jaki wielki dług zaciągamy w dzieciństwie i młodości, i że sumienne wypłacenie tego długu jest zadaniem naszego życia i dopiero daje prawo do szacunku.

10 stycznia.

Ogromnie się zmieniłem przez te kilka tygodni: zdaje mi się, że przyjechałem tu dzieckiem, a odjeżdżam prawie człowiekiem. Wszystkie siły czuję w sobie podwojone: z jakimś nieznanym mi dotąd zapalem chcę się uczyć i pracować, zdobyć wiele — a potem spłacić ten dług ogromny, spłacać go życiem całym, sumiennie, uczciwie, abym mógł powiedzieć sobie kiedyś

wedle sił swoich spełniłem wszystkie obowiązki, mam poczucie, że zasługuję na szacunek.

Co zawdzięczamy ludziom? Względem kogo dług zaciągamy w młodości? Komu go później spłacać jesteśmy obowiązani? Co to jest dziennik?

6. Ojciec Zadżumionych.

(Wyjątek).

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Małeńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów¹⁾
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów²⁾;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczką przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiewa —
Wszystko tam leży, pod kopułką Szecha³⁾.
A ja samotny wracam — o boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie⁴⁾ wszedł anioł pomoru.

¹⁾ Wielbłąd jednogarbowy. ²⁾ Ajer — tatarak.

³⁾ Poeta mówi tu o grobowcu szeika czyli naczelnika pokolenia u Arabów. Chowano w nim zmarłych na dżumę.

⁴⁾ Ludzie, którzy przybywają z miejsc, dotkniętych zarazą, zwykle bywają zatrzymywani na granicy i muszą tam spędzać pewien okres czasu, póki się nie okaże, iż są zdrowi. To się nazywa odbyć kwarantannę.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: — Starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: — Starcze! gdzie są twoje córki?
Najprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje, — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha;
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać mię będą, — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodę z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci;
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: — Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić, jak pies, bo ogień mam w łonie... —
To mówiąc, wodę wypiszy ze dzbana,
Powalił się tu, jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować —
Krzyknąłem wściekły: — Niech nikt się nie waży! —
Porwałem trupa i rzuciłem straży,

Aby go wzięła na żelazne zgrzebla
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebla.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Juljusz Słowacki.

Jeden z najznakomitszych poetów polskich. Żył w wieku XIX-ym, współcześnie z Mickiewiczem i Krasińskim. Ur. w Krzemieńcu 1809 r., zmarł 1849 r. w Paryżu.

Co znaczy wyrażenie: „Trzy razy księżyc odmienił się złoty”? „Płócienny dwór”? „Anioł pomoru”?

7. Mój ojciec.

Mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny. W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery, lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym zwyczajów układem, tak wszystko cichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. Ja w tem wzrosłem i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. Kiedy ojciec książkę otworzył, matka szła po cichu, na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najczęściej, lub które nieruchomie z robotką w kąciu zasiadło.

Pewnego dnia i ja zostałem, przerzucając ostrożnie karty starego dzieła, w którym były wszystkie wizerunki królów polskich. Och! mój Boże, jak ja to pamiętam. Cyprjan gniewał się na nie, a szczególnie, że Wandzie dano rogatą czapkę, a Jadwidze ogromną fryzję, w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem: mnie codziennie jak coś nowego bawiły myszy, gryzące Popielę, i ogromna peruka Wiśniowieckiego, i łańcuchy Zygmunatów; bo też przyznać

trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym patrzałem pryzmatem ¹⁾.

Tego dnia jednak na połowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca bardzo uważnie się wpatrywać. Patrząc ciągle, spostrzegłem, jak naraz ojciec brwi zmarszczył, a taki groźny twarz jego przybrała wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na rękę i przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie, głośnie westchnienie z piersi mu się wydawało.

— Ojcie, ojcie, co ci jest? czy cię co boli?— spytałem, prędko biegnąc ku niemu. Ojciec smutno się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremniebym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu na owym męskim, pełnym siły i dobroci obliczu. Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykłe poważne zamyślenie i surowość jakąś, lecz zato w całym rysunku ust dość wydatnych było tyle tkliwej słodyczy, tyle pieszczoty prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda, że też nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

— Ojcie, ojcie, co cię boli?— powtórzyłem z płaczem nieledwie.

— Mnie to boli — rzekł ojciec, wskazując na książkę.

¹⁾ Pryzmat — graniastosłup trójkątny ze szkła, rozszczepiający promień słoneczny na 7 barw. Patrzeć przez pryzmat — widzieć coś w tęczyowych barwach.

— Szkaradna, niegodziwa książka!— zawołałem oburzony i rzuciłem ją na ziemię.

— Żle robisz, synku— odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

— A cóż to jest, ojcie?

— Historia.

— A cóż jest w tej historii?

— O mój synku! wszystko, czego już niema, wszystko, co jest, wszystko, co będzie, co się znajduje w książkach, do tej książki podobnych.— A kiedyś się dziwił bardzo, ojciec pokazał mi kartkę, na której różne znaczki były, i powiedział, że za pomocą tych znaczków mogę kiedyś wiedzieć, co robili umarli, słyszeć, o czym mówiono najdalej, lub najdawniej, widzieć aż poza krańce ziemi i nieba, aż po głębie duszy ludzkiej. Ja też co prędzej wszystkich nauczyłem się znaczków, ich użycie sam ojciec mi wskazał. Pamiętam, kiedy pierwszy raz dał mi do złożenia te słowa: „Mama cię kocha”, to mi potem odebrał elementarz, kazał oczy zamknąć i wyobrazić sobie mamę w tej chwili, gdy, nad moim łóżeczkiem schylona, budzi mnie pocałowaniem na dnia dobrego życzenie. Później obiecał mi, że w kilku literach zobaczę dużo kwiatów, drzew, owoców, i dał mi przeczytać „ogród”. Później na wyraz „gwiazda” przypomniał mi, jak to ona małeńka drżącym światelkiem gdzieś wysoko na niebie migocze, a powiedział mi jednak, że gwiazda—to świat. I tak nauczyłem się czytać od niego wyraz każdy obrazem, uczuciem i myślą.

Narcyza Żmichowska. („Poganka”).

Poetka polska w. XIX-go, ur. 1819 r., zmarła 1876. Pisywała pod pseudonimem (przybrane imię) Gabryeli.

W jakim celu uczymy się historii?

Wyplsy polskie. Klasa III.

8. TREN X.

Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziiała?
 W którą stronę, w którąś się krainę udała?
 Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona
 I tam w liczbę aniołków małych policzona?
 Czyliś do raju wzięta? Czyliś na szczęśliwe
 Wyspy zaprowadzona? Czy cię przez teskliwe¹⁾
 Charon²⁾ jeziora wiezie i napawa zdrojem
 Niepomnym³⁾, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
 Czy, człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
 Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
 Czyli się w czyściu czyścisz, jeśli z strony ciała
 Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
 Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwszej była,
 Niżej się na mą ciężką żalność urodziła?
 Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żalności!
 A nie możesz-li w onej dawnej swej całości:
 Pociesz mię, jako możesz, a staw się przede mną
 Lubo snem, lubo cieniem lub marą nikczemną!⁴⁾

Jan Kochanowski.

Największy poeta polski wieku XVI-go.

Co to znaczy: tren? Kiedy i dlaczego Kochanowski treny napisał?

Czy język tego trenu różni się od dzisiejszego języka? Wybierz te wyrazy, które się różnią i wytłumacz ich znaczenie.

9. Biała szata.

Na karę hańbiącą wyrokiem skazany,
 W kajdanach w więzieniu węgierski legł graf.

¹⁾ Teskliwy — smutny.

²⁾ Charon — przewoźnik dusz zmarłych przez rzekę zapomnienia.

³⁾ Zdrój niepomny — źródło, odbierające pamięć życia (w mitologii greckiej rzeka Leta).

⁴⁾ Nikczemny — znikomy, nikły.

On ziemi węgierskiej chciał rozkuć kajdany
 I chciał ją powrócić do dawnych jej praw:
 Bo krew w nim zawrzała, bo w długiej niewoli
 Swe pęta i bratnie najmocniej on czuł,
 Lecz zmogła go przemoc — i uległ złej doli,
 I wyrok okrutny w kajdany go skuł.

Dwadzieścia lat ledwie graf przeżył na ziemi
 I musi zhańbiony pożegnać ten świat;
 Nie śmierć go przeraża marami groźnemi:
 On jak wyzwoleniec zgonowi jest rad;
 Lecz strach mu umierać na stryczku hańbiącym,
 Gdy ludu dokoła zgromadzi się rój;
 Strach wiedzieć, że wkrótce nad trupem gorącym
 Wron stado rozpocznie biesiadę i bój.

Gdy przyszła doń matka zboleła i blada,
 On do niej tak mówił: „O zdrowa mi bądź!
 Jam syn twój jedyny, i świat mi wypada
 Porzucić tak wcześniej i przemoc złą kłaść!
 A ze mną bez śladu zapadnie w mogilę
 I przyszłość, i przeszłość, i imię i ród;
 Porzucić mam ciebie i wszystko, co miłe:
 Och! czemuż zgon dzieckiem nie zabrał mię wprzód?

Jam nie drżał, wiesz, matko, w walk wrzawie, w bitwę
 I śmiało szedł naprzód i w ogień i w bój... [pyle,
 Lecz wobec tej hańby upadnę na siłę —
 I zadrży przed katem jedyny syn twój!”
 Chcąc natchnąć synowi pociechę i siłę,
 Tak matka mówiła: „O synu, nie drż!”
 Ja pójdę do króla ze łzami, mój miły,
 I lży mu poniosę na okup twej krwi...

Więc nie drż: płacz matki masz w swojej obronie,
 I gdy cię nazajutrz powiedzie tam kat,
 Patrz na mnie, ja będę stać wprost na balkonie

I dam ci znak doli kolorem swych szat.
Gdy w czarnej strokana wystąpię odzieży,
To znak, że dla łez mych nie zmiękczył się tron.
Wszak przyjmiesz śmierć mężnie, jak przyjąć należy,
Za prawa twe, więzy, tortury i zgon?

Lecz jeśli przez tłumy zobaczysz mię w bieli,
To będzie ci znakiem radosnym ten strój,
Że wrogi na matki błagania zmiękczeł,
Że życie twe u nich wyprosił płacz mój.
I choćby ci stryczek na szyję włożyli,
I wyrok wypełniać zaczynał już kat,
O, nie drżyj! bądź pewny, że wkrótce, po chwili
Powrócą ci wolność, otworzą ci świat”.

Graf usnął i przespał spokojnie noc całą,
I śnił mu się wolny, otwarty dlań świat,
Bo we śnie spostrzegał przez tłum szatę białą,
Gdy stryczek na szyję zakładał mu kat...
I dzwony zabrzmiały, lud skupił się rojny
I w ciszy na miejsce okrutnych szedł scen,
I grafa już straży otoczył tłum zbrojny
I wiódł go: on wierzył w głos matki i w sen.

I mnóstwo go oczu łzawionych żegnało,
I mnóstwo zań dobrych modliło się dusz,
Niewiasty nań kwiaty rzucały nieśmiało,
Za męstwo go wieńcząc ostatni raz już!
Graf na nic nie patrzył, bo wprost na balkonie
Dla spojrzeń swych ważny, jedyny miał cel:
Tam matka stojąca ukryła twarz w dłonie,
Lecz kolor szat zbawczy—ubrana jest w bieli

I serce młodzieńcze radośnie zadrgało,
Wszedł śmiało na pomost, gdzie z stryczkiem kat stał,
I głowę z uśmiechem pod stryczek dał śmiało,
I zawisł na stryczku, a jeszcze się śmiał.

Cóż matka? Cóż odzież znaczyła jej biała?
O, święte jej kłamstwo—świat odda mu cześć!
Tak, matka go zwiodła, bo matka oń drżała,
By nie drżał, gdy będą na szafot ¹⁾ go wieść...
Z węgierskiego.

Wytłumacz wyrażenia: doń, dlań, zań, nań, oń.

10. Podanie o Janie i Cecylji.

I. Było to w starych czasach, w sto lat może po tem, jak naród litewski przyjął wiarę chrześcijańską, kiedy w te strony przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji²⁾, i to tylko można było poznać i z mówienia ich i z ubioru, że przybyli z *Polszczy*. Dla jakiej przyczyny porzucili swój kraj rodzony i aż tu przywędrowali—zarówno niewiadomo było. Kiedy spotykający ich ludzie pytali ich o nazwiska, odpowiadali, że przy chrzcie świętym nadano im imiona: „Jan” i „Cecylja”. A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd i dla jakiej przyczyny wędrują,—mówili: „Szukamy puszczy!” Wiadać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod Bożem okiem. Chodziły o nich głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospółstwie bywa, a ona, czy to szła, czy stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Ale jak tam było z ich początkiem, wszystko jedno, dość, że nietrudno znaleźć to, czego szukali.

Cały tutejszy kraj zalegała podtenczas nieprze-

¹⁾ Szafot — rusztowanie, na którym spełniają karę na skazanych. ²⁾ Kondycja — stan, stanowisko społeczne.

byta puszcza; tylko Pan Bóg nasiał co niemiara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad, w których trudnili się różną przemyślnością. W jednych miejscach, nad jeziorem lub rzeczulkami siedzieli rybaki i bobrowniki; w innych, tam, gdzie stały lasy lipowe, pszczelniki miód i воск pracowitym zwierzątkom odbierali; niektórym król nakazał, aby dla niego hodowali sokoły, i od tego poszło, że nazywali się sokolnikami; a innych wolnością obdarował, aby tylko wszelkie posylki jemu sprawiali, i dla tej przyczyny mieli nazwanie bojarów. Ogrody mieli, ale najwięcej rzepe w nich sadzili i len w wielkiej obfitości siali, bo, owiec nie mając i wełny nie znając, odzieży płótnianej tylko używali. Zboże zaś rzadko gdzie zobaczyć można było, i to przy miastach, a w głębokiej puszczy jeszcze gdzieś nikt nie słyszał o niem.

O pieniądzach to jeszcze gdzieś nikt nie wiedział, a jak kto chciał sobie co potrzebnego kupić, dawał skóry, zdarte z ubitych bobrów, niedźwiedzi, lisów, kun i innych zwierząt, albo troszkę miodu i wosku, albo przyswojonego bawołu, karmną świnię, i co tam zresztą kto chciał. Chaty ich nazywały się numy i były bardzo biedne, bez pieców i kominów, bo tym leśnym ludziom nieznana była jeszcze mularka.

Jan i Cecylja, wzdluż puszczy przeszedłszy, poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów, ale nigdzie im się nie podobało tak, jak tutaj nad brzegiem tego Niemna. Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednym Bożem okiem pozostać. Może już tak im było przeznaczone, aby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i nasz ubogi, ale długowieczny ród ufundować...

Podtenczas nie było w tem miejscu żadnego ka-

wałka zaoranej ziemi, ani żadnego ludzkiego ple-
mienia. Z tej strony rzeki i z tamtej, na prawo i na lewo, naprzód i w tył, rosła jedna tylko puszcza. Jan i Cecylja upatrzyli sobie właśnie to miejsce, gdzie stał dąb taki stary, co może i tysiąc lat miał wieku, i pod tym dębem zbudowali sobie najpierwej chatę, czyli takoz numę, bez pieca i komina. Odrazu inszej zbudować nie mogli.

On zrąbał drzewa, oprawiał kłody i budował, a ona zbierała orzechy i dzikie jabłka, gotowała ryby, doila bawolicę, którą on rychło sobie oblaskawił, naprawiała odzież, a gdy wieczór przyszedł, i on położył się pod dębem, z oszczepem i łukiem napiętym przy boku, by zawsze od dzikiego zwierza się obronić, siadała przy jego głowie, śpiewając i grając na harfie. Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała, i ręce z początku miała takie białe, by lilje. Ale krótko tego było, bo, pracując ciężko, w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach i tak wyrosła, zmężniała w sobie, że podobną się stała do płowej lani. Jak pierwsza matka ludzkiego rodu, miała ona włosy złociste i tak długie, że pokryć nimi mogła siebie i swoją harfę; gdy też późnym wieczorem nad spracowanym i senliwym mężem śpiewała, on, choć znużony, pieścił się z jej włosami, a potem o wschodzie słońka zdrowy i wesół do roboty wstawał, bo siły miał wzmocnione i serce pocieszone przez nią.

II. Jednakowoż pomimo kochania nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że innym ludziom i pomysłu o nich byłoby trudno. Wszystko tu było nie tak, jak teraz, ale okropnie dziko... Po puszczy chodziły stada żubrów, turów, niedźwiedzi, dzików i wilków; w gałęziach czały się drapieżne jastrzębie i krogulce, szerokimi skrzydłami łopotały krzywodziobe

orły. Nocami wyły puszczyki, a po drzewach wieszały się rysie, w ciemności oczami jak latarnie świecące. Czasem kruki i kawki czarną chmurą zakrywały niebo, a dzikie konie napelniały zacisza leśne grzotem kopyt i przeraźliwym rzeniem. Nad rzeką i na wszelkich mokrych miejscach leżało się mnóstwo obrzydłych żab, węzów i jaszczurek. I rzeka ta nie była taka, jak teraz: głębinię i prędkość miała ogromniejszą. Wody rozlewały się daleko i o ziemię biły, koryta w niej sobie porzuc, czego te parowy pamiątką ostały.

Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo; dość, że znieśli i przemogli. Prawda i to, że narządził do wszelkich robót i myśliwstwa przynieśli z sobą, albo różnym sposobem zrobili sobie dobre i mocne. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody, grzyby; do rzeki po napój przybiegały jelenie, daniela i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było; u góry żył lud wiewiórek; a u dołu skrywała się mnogość zajęcy, łasic i kun; w wodach mieszkaly wydry, i bobry domki sobie budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć albo oszczep w rzekę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już teraz wcale tu niema.

Do tego i lubości było tu nadmiar. Słowicze śpiewy umilały noce, a jaskółcze i gołębie gminy same przez się szukały przytułku pod dachem numy. Podczas płochliwa sarna ugłaskać się pozwoili i wienie potem chodziła przy boku swojej pani. Wszelako tam bywało: ciężko i mile, straszno i bezpiecznie. To tylko jest pewnem, że nacierpieli się nadmiar głodu, chłodu, strachu i zasepu najedli się do sytości.

Może dwadzieścia roków minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej, aż po puszczy puściły się pogłosy o tej parze ludzi, że przemysłnością swo-

ją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasiali i inszych różnych roślin nasadzili, że dom sobie zbudowali widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodził; że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, jakich na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. Poszli tedy do nich ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się: jak też tam czyniły się takie cuda... A jak raz przyszli, to już na długo przy nich ostawali, przypatrując się różnym dzielom i przemysłom. Niektórzy prosili się, aby ze wszystkim już ostać przy nich dla wspólności i pomocy; ale Jan i Cecylja wprędce doczekali się rodzonych pomocników. Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wychodowało nad brzegiem tej wody, w cieniściach tej puszczy, pod okiem jednego Boga.

Jeden z tych synów pojął sobie żonę u rybaków, drugi ją wybrał pomiędzy sokolnikami, trzeciemu przeznaczenie dało bojarkę, czwartemu bobrowniczkę, piątemu pszczelarę, a szósty, handlując rybami, przywiózł sobie dożgonną towarzyszkę aż z miasta Grodna. Skąd synowie pojnowali żony, stamtąd przybywali mężowie dla córek i, poślubiwszy je, nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie pobudowali chaty, a tnąc las coraz bardziej, uprawiali pola. Tak przeminęło lat osiemdziesiąt, albo może i więcej od tego dnia, kiedy Jan i Cecylja pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postavili...

Aż pewnego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy samemu królowi donieśli, jakie to dziwy dzieją się gdzieś w kraju litewskim, w najgęstszej puszczy, tuż nad samym brzegiem Niemna. Panował podówczas król, dwoma imionami: Zygmunt i August nazwany. Zapalczywy był myśliwiec i właśnie w tej porze, kiedy mu to doniesienie zrobiono, bawił się polowaniem w swoich knyszyńskich lasach. Zmiar-

kował zaraz, że od Knyszyna do tego miejsca, o którym jemu ludzie rozpowiadali, droga była niebardzo daleka. Łowczym na apel zatrąbić, a panom jechać za sobą rozkazał, i puścił się w drogę. Jechał i jechał, a panowie za największym z panów jechali, aż raptem zobaczyli jakoby koniec puszczy. Drzewa rzedniały i rozstępowały się, jakoby jadącym z drogi ustępując. Król spojrział przez te otwory, krzyknął aż z zadziwienia i żartobliwie do panów swoich zawołał:

— Hej! Hej! Waszmość panowie, widzi mi się, że tu ktoś dla mnie nowe królestwo gotuje!

III. Aż tu wszyscy, wyjechawszy z lasu, stanęli, oczom własnym wiary nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, teraz leżała wielka równina, żółtością ścierniska po zżętem zbożu pozostałego okryta. Na ściernisku, by wysokie domy, stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pod przyszły zasiewek; a wśród pola na gładkich łąkach hasały stada obłaskawionych koni, pasły się trzody krów ryżych i białych owiec. Na dwóch pagórkach dwa wietrzne młyny łopotwały wielkimi skrzydłami, a lipowe gaje rozlegały się od brzęczenia nieprzeliczonych rojów pszczelnych. Sto domów, przedzielonych ogrodami, sznurem wyciągało się wzdłuż rzeki, z ich kominów, by z kadzielnic kościelnych, sto *złotnych* dymów podnosiło się prosto do nieba. Na jabłoniach i śliwach liścia widać nie było za czerwonością i liljowością owocu; po zielonych trawach suszył się len, i bielily się sztuki płócien, a przed chatami na gałęziach i płotach wysychały ufarbowane przedziwa wełny. Ptactwo domowe, ziemne i wodne, grzebało się w piasku, lub z hałasem leciało nad rzekę, od której powracający rybacy wychodzili z za góry.

Król jechał naprzód, oglądając się wokół i weso-

ło, dziwiąc się wszystkiemu, co tylko zobaczył. Koń był pod nim arabski, ognisty, z rzędem, kapiącym od złota i drogich kamieni. Nad czołem królewskim świeciło na kołpaku brylantowe pióro, a drogie purpury i gronostaje spadały z ramion królewskich aż prawie pod końskie pętlce. Wokół niego i za nim jechali hetmany, senatory i inne pany. Za nim jechali także sokolniki, na dłoniach trzymając zakapturzone sokoły, hardonosa służba i bystrookie strzelce. A łowcowie złotne trąby wciąż do ust przykładali i rogłosnem graniem rozgłaszali królewskie przybycie szerokiej równinie, długiemu Niemnowi i aż zaniemeńskim głębokościom boru.

Jako też ze stu domów i ze stu ogrodów, z pola, z łąk, z rzeki pozbiegali się ludzie, patrząc na niewidziane rzeczy, i podziwiając, i oczekując: co z tego będzie? A król ich zapytuje:

— Czy żywie jeszcze rodziciel was wszystkich?

— Żywie i w zdrowiu przebywa—odpowiedział najstarszy syn Jana i Cecylji, który przed króla wystąpił, sam już zmarszczkami cały poorany i siwy, jak gołąb.

— A rodzicielka czy żywie?—pyta znów król.

— Żywie i w zdrowiu przebywa.

Król podonczas rzekł:

— Radhym na nich pojrzał.

Wedle królewskiego żądania wnet się stać musiało.

Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuki i prawnuczki wyprowadzili parę rodziców. Więcej, niżli stuletnie te starce szli same przez się, niczyjej pomocy nie potrzebując, w śnieżystych lnianych sukniach, by dwa białe gołębie, jedno przy drugim. On opierał się na toporze, w długim kiju oprawionym; ona, zsiwiałe włosy po pas rozpuściwszy, głaskała biegnącą przy niej sarenkę. Kiedy już wobec króla sta-

neli, wszyscy zdumiali się, bo król, kolpak swój zdjąwszy z głowy, powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sypnęły się gwiazdy.

— Ktoś ty, starcze?—zapytał Jana—odkąd przyszedłeś? jak się zowiesz i z jakiej kondycji pochodzisz?

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi, śmieie odpowiedział:

— Przyszedłem tu od stron onych, któremi przepływa Wisła; nazwisko moje oznajmie tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niska była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem; ale oto ta małżonka moja z wysokiego domu zstąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielać.

Odpowiedź tę posłyszawszy, król myślał długo, aż, odwróciwszy się do panów, co wokół zgromadzeni byli, rzekł:

— Dufam, że waszmościowie uprzejmie pochwalicie, a przyszły sejm sprawiedliwie zatwierdzi dekret¹⁾, który zaraz chcę tu ogłosić.

Panowie, myśl królewską odgadując i potakując głowami, razem krzyknęli:

— Inaczej nie może być, miłościwy panie! Sami tego żądamy i o to waszą królewską mość upraszamy.

Wtedy król odwrócił się do Jana:

— Ty, starcze, według własnego żądania beziemiennym zostaniesz i, jakeś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale, żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzętom odebrał, zawojowawszy ją, nie mieczem i krwią, ale pracą i potem; żeś pierś jej dla

¹⁾ Wyrok.

mnogiego ludu otworzył, przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając: przeto dzieciom twoim, wnukom i pra-wnukom, aż do najdalszych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego, nadaję nazwisko, od bohaterstwa twego wywiedzione.

Tu, z prawicą, wyciągniętą nad zdumiałym ludem, król donośnym głosem wypowiedział:

— Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową—i wszystkich praw, stanowi rycerskiemu odpowiednich, odtąd aż do wygaśnięcia swego używać ma i takowe wykonywać. Nobilituję¹⁾ was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem Pomian, który jest żubrową głową, na żółtem polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał żubra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole...

Działo się to w roku tysięcznym pięćsetnym czterdziestym dziewiątym.

Eliza Orzeszkowa. („Nad Niemnem”).

Powieściopisarka polska XIX-go i początku XX-go w.

Czy to opowiadanie pisane jest takim językiem, jak mówimy? Czy takim, jak Pod gruszą? Mój ojciec? Sposób pisania nazywamy *stylem*.

Wy tłumacz przysłowie staropolskie: łatwiej zburzyć, niż postawić, łatwiej zepsuć, niż naprawić.

11. HEJ, SIEWACZE!

Przeorały raz i drugi
Ziemie naszą ciężkie plugi;
A po każdym skiba czarna
Czeka siewu, czeka ziarna.

¹⁾ Nobilitować — nadawać szlachectwo.

Hej, siewacze, błogi czas!
 Czemuż dotąd niema was?
 Burze wstrząsły ziemi łonem,
 Wiatr przeleciał nad zagonem,
 Spadły z nieba żyzne deszcze,
 A was dotąd niema jeszcze!
 Hej, siewacze, na wasz trud
 Czeką ziemia, czeka lud!
 Kości ojców, ich mogiły
 Pola nasze użyźniły,
 Słonko wschodzi nam powoli,
 Białe rosy drżą na roli...
 Hej, siewacze, błogi czas!
 Stara ziemia czeka was!

Marja Konopnicka.

Poetka polska XIX-go i początku XX-go w.

Czy tylko pola obsiewamy? Co znaczy przysłowie: „Człowiek nie samym chlebem tylko żyje”?

12. Nad strugą.

Śliczne to było miejsce: ciche, ustronne, cieniste, nawet po trochu ciemne.

Przezrocza struga wodna wila się między drzewami. Nenufary, kołysane lekkim ruchem wody, chwilały łagodnie białym kwieciami; pochylając się ku sobie, zdawały się całować; nad szerokimi ich liśćmi, leżącymi niby tarcze na powierzchni wody, wily się w powietrzu ciemno-szafirowe koniki, o skrzydłach szerokich i szeleszczących, a tak delikatne i wątłe, że słusznie je wodnemi panienkami nazywają; czarne motyle z białą żalobną obwódką siadały na ostrzach tataraku. Na rudawem tle torfu kwitły błękitne nie-

¹⁾ Lilje wodne.

zapominajki; tu i owdzie szumiała kępka wysmukłej trzciny, na której powiew wiatru wygrywał piosenki. Po brzegach rosły posępne krzaki kaliny, a pod krzakami pstrzyły się główki konwalji, przyłasczek i dzwonków leśnych; biedrzyca zwieszała białe główki ponad przezroczystą wodą; srebrne niteczki ostróżki, wyciągnięte z biegiem strumienia, płatały się niby cienkie a długie warkocze; zresztą—samotność—ot, ustroń dzika, zapomniana przez ludzi, spokojna a zaludniona tylko przez światy ptaków, kwiatów i owadów.

Henryk Sienkiewicz. („Sielanka”).

Powieściopisarz polski XIX-go i początku XX-go w., ur. r. 1846, zm. 1916.

Jaka jest różnica między wyrazami: struga, strumień, potok, źródło, źródło, rzeka? (synonimy). Jaki to jest opis?

13. RUSAŁKI.

Od pól rusałki lecą	W perłowych mgieł pomro-
We mgłach i wód oparach,	[czy,
Ogniki łapią błędne	A dziecko na nie patrzy,
Po bagnach i moczarach.	Otwiera wielkie oczy.
Nad gajem wiklinowym	Zdumione patrzy cicho
Taneczny wiją krąg,	Na ich taneczny krąg,
A wiatr po łąkach szemrze,	A wiatr po łąkach szemrze,
A kwiaty pachną z łąk.	A kwiaty pachną z łąk.
Od pól rusałki lecą,	Od pól rusałki lecą
Miesięczną cichą nocą,	Miesięczną cichą nocą,
I łąki rosą srebrzą,	I łąki rosą srebrzą,
I gaje rosą złocą.	I duszę dziecka złocą.
Od pól rusałki lecą	

K. Tetmajer.

Współczesny poeta polski.

Co to znaczy rusałki?

14. Rozumne rady.

Nie odkładaj do jutra, co masz zrobić dzisiaj.
 Nie proś innych o to, co sam zrobić możesz.

Zajmij się naraz jednym tylko przedmiotem.
Dokończ zawsze jednego dzieła, nim zaczniesz drugie.

Nie rozporządzaj pieniędzmi, dopóki ich nie masz w ręku.

Nie kupuj tego, czego nie potrzebujesz, dlatego tylko, że tanie.

Gdyś rozgniewany, przerachuj do 10, nim mówić zaczniesz; gdy jesteś w uniesieniu, przelicz do stu—a nie popełnisz ani głupstwa, ani występku.

15. Szkoda czasu i atłasu.

Gdy Stanisława Poniatowskiego obrano królem, jeden z miernych poetów napisał na atłasie długie wiersze z życzeniami i powinszowaniem. Król przyjął dar uprzejmie i nagrodił poetę, ale gdy go spytano później, co sądzi o tym utworze, odpowiedział:

— Szkoda czasu i atłasu.

Czy każda praca przynosi pożytek? Daj przykład pracy użytecznej i bezużytecznej. Jakie znasz jeszcze anegdoty? Co to znaczy anegdota?

16. Do moich dziewczynek.

Dziewczynki moje, o moje kwiatki!
Z kolebki dziecka, od piersi matki
Jak rąco biegną po życia drodze;
Ach! po tej samej, z której ja schodzę!
Znam ją tak dobrze! znam każdy kamień!
I każdą ścieżkę błędnych omamień:
Wiem, gdzie jest cięższa, a gdzie wygodna,
Wiem, gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna;
Mogłabym przestrzedz, powiedzieć tyle...
Stójcie, dziewczynki, stójcie na chwilę!
Lecz między nami, jak świat od świata,
Daleka przestrzeń, bo długie lata —

A ludzie krzyczą, śpiewają, piszą,
Gdy ja zawołam, ach! czy dosłyszają?

Dziewczynki moje, wy się spieszycie,
Każda z was myśli, że dalsze życie
Oddać jej musi, jak płatnik wierny,
Ze skarbów świata procent niezmierny.
A starzy na to kiwają głową:
Dla starych szczęście—to kłamstwa słowol
Lecz ja wam powiem: jest **szczęście** przecie,
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
Szczęściem są wasze lata niewinne,
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,
Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów:
Czy chleb powszedni na jutro gotów?
Czy w zdroju uciech nie wyszła woda?
Czy do wieczora dotrwa pogoda?
Błogosławione pierwsze dni wiosny!
Błogosławionyś wieku radosny!
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,
O tobie Bohdan poeta śpiewa:

„Żeś sen na kwiatach, żeś sen nasz złoty,
„Żeś ideałem wiary i cnoty”.

Lecz od tych marzeń, od tej swobody,
Jest większe szczęście, o wieku młody!
Jest większem szczęściem ten głos ponętny,
Stłumiony, korny, a nie namiętny,
Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,
Wymodli kiedyś: „Ja kocham ciebie”.

A niżli głos ten, niż ta zyskana,
Więszem jest szczęściem miłość doznana:
Gdy własne serce silniej uderzy,
Gdy czuje, że mu cieplej i szerzej,
Że się w nim, jakby ze snu, zbudziły
Nowe zdolności i nowe siły...

A większem szczęściem od tej miłości
 Jest wielkie szczęście ludu całego;
 Prawo Chrystusa w rzeczywistości;
 Ze słowem Bożem — chleb dla każdego;
 Z życiem na ziemi — miejsce wśród tłumu;
 Ze światłem słońca — światło rozumu;
 Z pamięcią przodków — win odpuszczenie,
 I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie!...

Dziewczynki moje! niech każda wierzy,
 Że jej się takie szczęście należy;
 Niech za niem goni, niechaj go szuka:
 Piękność, cierpienie, radość, nauka —
 To w pomoc tylko danem wam było,
 Aby się takie szczęście ziszcilo.
 Lecz wy daleko!... A tam inaczej
 Może im szczęście kto wytłumaczy?
 Może je złudzi inną nadzieją?
 To, co im mówię, czyż zrozumieją?
 O, gdyby mogły dziewczynki moje!..
 Lecz ja daleko, daleko stoje...
 I jeszcze dalej smutna odchodzę. —
 Szczęść, Boże, lepszej dziewczynce drodzej!

Narcyza Żmichowska.

Gdy autor wzywa osoby lub przedmiotu, do którego mówi, to nazywamy *apostrofa*. Wybierz stąd apostrofy.

17. Na odlocie.

I. Jest na północy kraina ogromnie dzika, bogata jeno w torfowiska, bagna, ostrowy¹⁾ i kępy, przesiąknięte wodą. Świat to zimny, strasznie pośepny—ojczyzna ślimaków wodnych, ryb, szczeżuj, pijawek, płoszczyc, nartników²⁾ i innych dziwolągów, którym

¹⁾ Wyspy. ²⁾ Płoszczyc, nartnik — owady wodne.

woda lubuje. Trawy szorstkie, brudno zielone, tną tu za dotknięciem i rzezą, jak noże. Rzęsa, czerwień, błotnica¹⁾, sity, trzciny, tataraki bujnie rosną na tej glebie. No i gdzieś—rokicina albo krzak olszyny.

Tutaj na jesieni zebrały się w jedno stado rodzinne liczne żorawi. Stawili się starcy leciwi²⁾, choć jeszcze dostatecznie lotni. Przybyli wodzirejowie druzyn, jarzy, zamasyści, w sile wieku. Matki troskliwe przyspiąły³⁾ z młodzieżą, latoś⁴⁾ wylęgła w gniazdach i rokującą nadzieje świetne. Właśnie więc pełen wagi nadzwyczajnej miał stanowić losach Rzeczypospolitej.

Bo oto ziemia, ojczyzna luba gniazd żorawich, poczęła stygnąć, obumierać i zapowiadać niedostatek środków do życia. Trza iść w świat, szukać kawałka chleba! Ej, co tam! Obec⁵⁾ żorawia ma mędrców radzieckich, zdolnych rozstrzygnąć, którądy, dokąd należy podążać, i jacy wodzowie poprowadzą ufny pątnicze⁶⁾.

Czas schodził i coraz nowe drużyny swojaków—każda z wodzem na czele, przylatywały od wschodu, od północy dalekiej. O, wiele, wiele jest żorawi, rozrzuconych w świecie szerokim! Ale jeden obyczaj, jedna myśl ożywia wszystkich rozpierzchnych i jednocy. Teraz, na jesieni, wszyscy bez wyjątku—ktokolwiek przebywa w tych krajach—stają jak jeden do narady wspólnej.

Gwarno było dokoła zastępów sejmujących. Opośdalał stado gęsi, zgromadzonych także w celach odlotu, wiecowało wśród szumu, plusku, i okrzyków gęgliwych, towarzyszących każdej uchwale zapadłej.

Czajki, jako ptaki niesamodzielne, poderdując

¹⁾ Rzęsa, czerwień, błotnica—rośliny wodne. ²⁾ Leciwy — podeszły w lata. ³⁾ Przyspiąły—przybyły spieszenie. ⁴⁾ W tym roku. ⁵⁾ Obec—lud, zgromadzenie. ⁶⁾ Pątnik—pielgrzym, wędrowiec.

i chichocząc, oczekiwały, co też postanowią bądź żórawie, bądź gęsi. Poco układać plany podróży odległych, skoro można za ogonami innych polecieć, choćby na skraj świata?...

Kaczki dzikie z właściwą sobie obojętnością na wszystko, co nie jest żerem, gorliwie przetrząsały wody i zarośla. Niektóre z nich, już nasyczone, wybuchały krzykiem namiętnym: „Tak, tak, tak!”

Kurki zielononogie wyprawiały się wieczorami po dwie, po trzy, na piechotę w podróż za granicę. Ciekawy sposób pielgrzymki: chylkiem od rowu do rowu...

Bekasy długodziobe w różnych porach dnia, po krótkiej naradzie, odlatywały rodzinami, skrzecząc marudnie: „Chce jeść!” Tłustsze zostawały do czasu, w nadziei, że, poszcząc, stracą sadło i wtedy dopiero odlecą.

Nury srebrzyste pływały w milczeniu na wodach większych, chelpiąc się ze swych czubów, trzepocząc skrzydły małemi.—„My tam nie zamierzamy szukać wiatru po świecie”.

Czasem orzeł przeleciał nad okolicą i napędził wszystkim strachu, innym razem lis, mimo strażę czujne, zapolował z powodzeniem na gąskę, pogrążoną w marzeniach sennych. Jakież to wstyd dla gąsiorów!...

Nareszcie drużyny żórawie przestały nadciągać: zebranie było pełne, więc mogło wydawać uchwały obowiązujące. Przeplatano sobie mozolne zajęcia życia obywatelskiego igrzyskami publicznymi: były to popisy zręczności i siły, wyprawiane w powietrzu albo na ziemi. Występował naprzykład wesołek jakiego obrotu, wyginał szyję i w podskoku rażnym dosięgał głową ogona. Niebawem zjawiali się inni, otaczali go kołem, podskakiwali, kręcili się w kółko na jednej nodze, machając skrzydłami. A nie, to naj-

sprawniejsi wylatywali w podniebie tak wysoko, że tylko oko żórawia mogło ich dojrzeć, i tam naśladowali gonitwę orłów.

Swoboda ruchów, siła i gibkość ciała budziły podziw w gromadzie. Czyste igrzyska olimpijskie!

II. Rozrywka krzepiła umysły ptaków radnych, a przeto ważne uchwały wiecowe żwawo posuwały się do kresu. Przedmiotem sporów najgorętszych była droga, którą zamierzano przebyć. Wszystkie bowiem drogi prowadzą na „wyraj”¹⁾, ale jedna jest najkrótsza. Ptacy starsi, doświadczeni, wielce przeznorni, doradzali podróż bezpieczniejszą—o ile można—ponad lądem stałym: w razie potrzeby ma się zawsze pewny punkt oparcia pod stopami. Młodzi, junacy zuchwali, zapaleńcy, przekładali podróż ponad-morską, pełną trudów i—na wypadek burzy—ogromnie niebezpieczną. Z pierwszymi połączyli się ptacy lękliwego serca i młodzież, która uległa silnym namowom matek, dbałych o losy potomstwa. Każdy, kto czuł w sobie odwagę i pochop ku doświadczeniu przygód nadzwyczajnych, stawał po stronie przeciwnej. Słowem, cała tężyzna żórawia znalazła się pod sztandarem z hasłem „morze”. Starcy przedrzwali ich, mianując kaczkami.

I oto wielka obec żórawi rozpadła się na drużyny pomniejsze, które—każda pod swoim wodzem—obradowały już oddzielnie. Jednomyślni co do celu głównego, różnili się tylko co do środków...

Miano już wyruszyć i każdy przygotował skrzydła, gotowe do odlotu na dany znak przez wodza. Wtem od stepu, z poza bagien, zabrzmiał jakiś chrapliwy głos żórawia. Cała gromada zwróciła oczy w tę stronę. „Widocznie spóźnił się na wiec jeden z panów

¹⁾ Wyraj—ciepłe kraje, do których ptactwo odlatuje na zimę.

braci!” Niedługo czekano. Ptak, nawpół biegnąc, nawpół lecąc, z wrzaskiem żalonym, tęskliwym, przebiegał się do swoich przez bagna. Stał między nimi, i wszyscy starsi wiekiem natychmiast go poznali; jeno nieskorzy coś do powitania, zdawali się wzrokiem zdziwionym wyrażać myśl taką:

— Jakże zmieniony, niepodobny do siebie!

Był to starzec zgrzybiały, niegdyś powszechnie znany z dzielności junak nad junaki, hetman mnogich wypraw zamorskich, strażnik pieczolowity i rajca mądry gromady żórawiej, pradziad pokoleń licznych. Stał w obec i głosem drżącym, ochrypłym, w którym się odbijała boleść i rozpacz, powitał zgromadzenie. Miał jedno oko wybite, drugie bez blasku, jakby mgłą białawą powleczone. Brakowało mu górnej połowy dzioba, a skrzydła, wystrzępione i opuszczone, prawie się wlokły po ziemi. Nogi, z pazurami do cna startymi, gięły się niedołężnie pod ciężarem ciała.

Słońce i gwiazdy oznajmiły mu, że o tej porze gromada rodzima wiecjuje w sprawie odlotu. Pędził kaleka dniem i nocą, aby się stawić na sejmie, a potem lecieć daleko z swoimi.

Teraz widział, że uchwały wiecowe już zapadły. Więc zbliżył się do ufca, który właśnie przedsiębrał wyprawę nadmorską, najzuchwalszą. Chciał powiedzieć:

— Bracia, i ja polecę z wami!

Junaki boże z politowaniem spojrzali na starca, a wódz ich krewko poskoczył i odpędzał wiarusa od gromady.

— My polecimy raczej orłów, a niedołęstwo twoje upośledzi i może opóźnić nasz polot. Nie z nami, starcze, nie z nami!

Gabał potem drugą, trzecią, dziesiątą drużynę, każda dawała mu odprawę bardzo surową.

— Przeżyłeś już swoje, sterałeś siły i, syt sławy, wyczekuj śmierci na barłogu ojczystym. Poco ci tulać się i ginać kędyś za morzami? Zostań tu, głód i zimno przyjdą niebawem, dobiją cię spokojnie.

Stary załkał. Hasła odlotu padły. Szum skrzydeł, granie cudnej pieśni żórawiej przeszły powietrze. Jakże dobrze jest lecieć i śpiewać w gromadzie!

Właśnie na niebo błękitne bez skazy wychodzi księżyc i pierwsze gwiazdy. Drużyny odlatywały na różne strony w szeregach długich, stykających się pod kątem ostrym. Żóraw stary pozostał samotny, wyciągnął szyję, rozpostarł skrzydła, wydał okrzyk rozpacz i biegł nieustannie, spoglądając w górę ku swoim, wrzeszcząc w niebogłosy. Cóż, kiedy biedny nie mógł wznieść się do lotu!

Wypadł na bagniska, pędził przed siebie, aż ugrzązł w błocie i padł na piersi, zranione tęsknicą srogą. Klucze żórawi ukochanych zniknęły mu ze wzroku, ich granie brzmiało jeszcze w uszach.

Bekasy skrzeczały po bagnach, gęsi gęgały wrzaskliwie, kaczory trąbiły grubo, czajki, chichocząc, zrywały się do odlotu, nury uroczyście snuły się po zwierciadłach wodnych. Księżyc oblewał światłem okolicę.

A stary hetman żórawi, ugrzęzły w błocie, spokojnie wyczekiwał śmierci.

Któż tam z mających cele życia dba o starca, będącego na schodzie żywota?

Adolf Dygasiński.

Uczony i powieściopisarz polski z końca XIX w.

Objasnić wyrazy: leciwy, przyśpiąć, obec (rzeczown.), derdać, wesolek, wyraj, gabać, ufy patnicze.

Czy sprawiedliwy był wyrok żórawi? Co to znaczy krzywda?

Odróżnij ustępy opowiadające od opisowych.

18. Żórawie.

Nad puste ścierniska i ugory,
 Nad pożółkłe lewady¹⁾ i jary,
 Odlatywały klucze żórawiane...
 Długie, długie, rozwiane na bezmiary,
 Obląkane,
 Leciały po szarem niebie...
 Przez mgłę bezdenną,
 Nad nagie pola i bory,
 W pustkę beznadziejnie jesienną
 Odlatywały, nie patrząc poza siebie...
 Sznury za sznurami, sznury za sznurami,
 Hen, hen,
 Leciały nad polami
 Niknące,
 Jak sen... jak sen...

Bronisława Ostrowska.

Czem się ten wiersz różni od innych? Czy poezja na tem polega, żeby się końcówki wiernie z sobą zgadzały? Czy możemy zaliczyć do poezji utwory, pisane nie wierszem?

19. Deszcze jesienne.

Deszcze się rozpadały na dobre.

Świat zwolna zatapiał się w szarych, mętnych szklivach deszczów, że tylko obrysy borów i wsi majaczyły blade, niby z przemięklej przedzy utkane.

Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne.

Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przenikały do głębi, aż drzewo każde, żdźbło każde dygotało w bezmiernym bólu.

¹⁾ Lewady—puste miejsca, otoczone wierzbami lub topolami.

A z pod ciężkich chmur, skłębionych nad ziemią, z pod zielonawych szarug, wychylały się chwilami szmaty pól poczerniałych, przemiękłych, rozplaszczonych—to wybłyskiwały strugi spienionej wody, płynącej brózdami, albo czerniały drzewa samotne na miedzach—jak przygięte, nabrzmiałe wilgocią, trzęsły ostatnimi łachmanami liści i szamotały się rozpacznie, niby psy na uwięzi.

Drogi opustoszałe rozlały się w błotniste, gnijące kałuże.

Krótkie, smutne, bezsłoneczne dni wlokły się ciężko przegniłymi smugami światła, a noce zapadały czarne, głuche, rozpaczliwe bezustannym monotonnym chlupotem...

Przerażająca cichość ogarnęła ziemię.

Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory.

Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących z cicha.

Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypila barwy, zgasila światła i zatopila w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennem marzeniem, a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrewniałych, z pustek obumarłych i włókł się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach pod krzyżami, co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach, gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i lkały w męce,—do opuszczonych gniazd zaglądał pustymi oczyma, do rozwalonych chałup,—na umarłych cmentarzach tłukł się wśród mogił zapomnianych i krzyży pogniłych i płynął światem całym:—przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe, i zaglądał do chat, do obór, do sadów—aż bydło ryczało z trwogi, drzewa się przyginały z głuchym jękiem, a ludzie wzdychali żałośnie,

w strasznej tęsknocie — w nieutulonej tęsknocie za słońcem.

Władysław Reymont („Chłopi”).

Współczesny powieściopisarz polski.

Co to jest opis właściwy czy artystyczny? Wyszukaj uosobienia.

20. Na Anioł Pański.

Na Anioł Pański biją dzwony:
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, Osmętница ¹⁾...

Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżycy...
Na wód topiele i rozchwieje ²⁾,
Na omroczone, śpiące gaje...
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...

Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony;
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...

¹⁾ Smutek uosobiony. ²⁾ Pustki, które wiatr przewiewa.

A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i obłokach...

I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy z dala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą —
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu —
Może za rzeczną płynąć falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...

A mrok się rozpościera dala,
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży;
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonał ziemię do rubieży ¹⁾,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona...
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Kazimierz Tetmajer.

Jakie dźwięki naśladują zwroty: „Na Anioł Pański biją dzwony i t. d.” Jakie uczucie ten wiersz maluje?

¹⁾ Do granic horyzontu.

21. Wyrąb lasu.

Świat był jeszcze zmartwiałły od nocnego chłodu, pełen sennej głuszy i spowity w lute¹⁾ i szkliste mgły.

Cichość zalegała bory, ziąb przeciągał ostry, i słaby brzask zórz oczerwieniał czuby i sypał się gdzieniegdzie na śniegi blade.

Jeno na Wilczych dołach grzmiały huki wałających się raz po raz drzew, bicie siekier i przeszywający, zgrzytliwy pisk pił.

Walili bór!...

Więcej, niżli czterdzieści chłopów pracowało od samego świtania, kieby to stado dzieciółów spadło na bór, przypięło się do drzew i kuło tak zawzięcie i zajadle, że drzewa padały jedno po drugim, poręba rosła, pocięte olbrzymy leżały pokotem, niby łan strutowany, a jeno jakiś niekaj, niby te osty kwarde, sterczały smukłe nasienniki²⁾, pochylające się ciężko, jako matki żałośnie płaczące nad pobitemi; jakiś niekaj szeleściły smutno krze³⁾ niedocięte, to jakaś drzewina-mizerota, której topór nie chycił, dygotała trwoźnie,—a wszędy na płachtach śniegów podeptanych, niby na tych całunach ostatnich, leżały pobite drzewa, kupy gałęzi, wierzchoły martwe i kłoce potężne, obdartymi poćwiertowanym trupom podobne, zaś strugi żółtych trocin rozsączały się w śniegach, kieby ta żałobna krew lasu.

A wokół nad porębą, niby nad grobem otwartym, stał las zbitą, wyniosłą i nieprzeniknioną ciżbą, jako te przyjaciół, krewniaki a znajomkowie, co gęstwą stanęli pochyłoną i w trwożnym milczeniu, z tłumionym krzykiem rozpacz, nasłuchują padających w śmierć i patrzą zdętwiali na nieubłaganą kośbę.

¹⁾ Luty — srogi, okrutny. ²⁾ Nasiennik — tu znaczy: drzewo zostawione na nasienie. ³⁾ Krzaki.

Bo rębacz szli naprzód nieustannie, rozwiedli się w szeroką ławę i zwolna, w milczeniu, wpierali się w bór, zda się niezmęczony, którego posepną, wyniosłą ścianą pni zwartych zastępował im drogę, a tak przysłał ogromem, że zginęli zgoła w cieniu konarów, jeno topory błyskały w mrokach i biły niestrudzenie, jeno świst pił nie ustawał ani na chwilę, a co trochę drzewo się jakieś chwiało, i zagała, kiej ten ptak, zdradnie pochwycony we wnyki¹⁾, odrywało się od swoich, było gałęziami i z jękiem śmiertelnym padało na ziemię—a za nim drugie, trzecie, czwarte...

Padaly sosny ogromne, już od starości ozieleniałe, padaly jedle, kieby w zgrzebne kapoty przyodziane; padaly świerki rozłożyste, padaly i dęby bure, brodami siwych mchów obrosłe—kiej te starce, których pioruny nie zmogły i setki lat nie skruszyły, a topory na śmierć powiedły, a inszych zasie tyle, podłejszych drzew, któż to wypowie ile, a jakich padało!

Las marł z jękiem, drzewa padały ciężko, jak te chłopcy w boju ściśnięte, a parte jedne przez drugie, nieustępliwe, krzepkie, jeno że bite mocą niezmęczoną, iż ni „Jezus” krzyknąć nie krzykną i wraz całą ławą się chylą i w lutą śmierć padają.

Jęk jeno rozbrzmiewał po lesie, ziemia drgała ciągiem od zwalonych drzew, siekiery waliły bez przestanku, zgrzyt pił nie ustawał, a świst gałęzi, niby ten wzdych ostatni, przedzierał powietrze.

I tak szły godziny za godzinami, a coraz nowe pokosy drzew zalegały porębę i robota nie ustawała.

Sroki krzyczały, wieszając się na nasiennikach; to czasem stado wron przeciągnęło z krakaniem nad tem polem śmierci; to zwierz jaki wysuwał się z gęstwiny, stawał na skraju i długo wodził szklistem

¹⁾ Wnyki — sidła.

oczami po skołtunionych dymach ognisk, po drzewach padających, a dojrzawszy ludzi, z bekiem uciekał.

A chłopcy rąbali zawzięcie, wżerając się w bór, kiej te wilki, gdy stada dopadną, a ono się zbije w kupę i zdrętwiałe śmiertelnie, pobekujące, czeka, póki ostatnia owieczka nie padnie pod kłami.

Władysław Reymont.

22. C i e ń.

Idę ścieżyną i mijam zboża

Łany złociste —

Pod stopy śle mi zachodnia zorza

Światła rześiste,

Krwawi przede mną miękkie trawniki,

Ruń aksamitną,

Ubraną w jaskry, mchy, rozchodniki,

W rosę błękitną;

Złocista przestrzeń chyli i gnie się

I w takt kołysze,

A lekki podmuch z oddali niesie

Szelest i ciszę...

W oczach się mieni rozkołysana

Rytmiczna fala,

Gdy, w znikającej zorzy skąpiana,

Ognie, rozpala...

Dokoła kłonią poważnie kłosy

Wysmukłe żyta,

Tuli się kąkol, chwieją stokłosy ¹⁾

I mak rozkwita.

Bławat oczami patrzy siwemi

Na mnie z ukrycia —

Idę i marzę tu na tej ziemi

Słoneczność życia...

¹⁾ Stokłosa albo stokłos — rodzaj trawy.

Śnie... tędy Boska przechodzi stopa...

Zboża się kładą...

Nagle ujrzałem w życie twarz chłopca,

Śmiertelnie bladą...

Władysław Orkan.

Współczesny poeta i powieściopisarz.

Jak nazwiesz takie wyrażenie: „Bławat oczami patrzy siwemi na mnie z ukrycia”?

23. Za broną.

Slimak wzuł grube buty z podkowami, wziął sztywną sukmanę, przepasał się twardym rzemieniem, na głowę włożył wysoką czapkę z barana i powoli wyszedł na podwórko. W tabaczkowej sukmanie i czarnej czapie wyglądał, jak niski pień sosnowy, okopcony u wierzchu.

Wrota stodoły były otwarte, i jeszcze, jakby na przekór, wyglądało z nich kilka snopów słomy, wabiących Slimaka do drzemki. Ale chłop odwrócił głowę i spojrzał na jedno ze swych wzgórz, gdzie tego właśnie ranka zasiał owies. Zdawało mu się, że na zagonach widzi żółte ziarna, bardzo wystraszone i daremnie usiłujące się skryć pod ziemię przed stadem wróbli, które dziobały owies.

— Zjadły wybyście mnie do szczętu! — mruknął Slimak.

Ciężkim krokiem zbliżył się do szopy i wydobył dwie brony. Potem wyprowadził ze stajni swoje kasztanki. Jeden z nich ziewał, drugi ruszał wargą i patrzył na Slimaka przymrużonemi oczyma, mówiąc w duchu:

— Nie wolałbyś, chłopie, sam zdrzemnąć się i nas nie włóczyć po górach? Małoż to nabiegaliśmy się wczora?

Slimak na taką radę pokiwał głową. Zaprzął

kasztanki do jednej brony, przyczepił do niej drugą i pojechał z wolna.

Patrząc na nich przez wierzch stajni, zdawało się, że křepey chłop i para kasztanków ze zwieszonymi łbami włóczą się po błękitnie niebieskim, sto kroków tam i sto kroków napowrót. Ile razy dochodzili granicy zasianego pola, zrywało się przed nimi gniewnie świergocące stado wróble i jak chmura leciało poza nich, na kraniec przeciwny. Czasami siadało z boku, zawsze krzycząc i dziwując się, że Ślimak zasypuje ziemią tyle pięknego ziarna.

— Głupi chłop! głupi chłop... Cóż to za głupi chłop!...—wołały wróble.

— Aha!—mruknął Ślimak, wywijając batem.—Żebyś ja was słuchał, darmożjadów, to nawet wy zmarnielibyście pod płotem. Oni tu jeszcze będą wydziwiali, próżniaki!...

Już to wesela nie miał Ślimak przy swej pracy, ani uznania. Niedosć, że wróble z wrzaskiem krytykowały jego robotę, że kasztanki wzgardliwie wywijaly mu ogonami pod nosem, jeszcze brony, zamiast iść naprzód, opierały się z całych sił, i lada kamyk stawiał mu przeszkody. Co kilka kroków utykają znudzone kasztanki, a gdy Ślimak krzyknie: „Wio, dziecił!”—konie wprawdzie ruszą, ale znowu brony buntują się i w tył ciągną. Nawet ziemia stawia mu opór, niewdzięczna.

— Od świni gorsza!—oburzył się chłop.—Żebyś tak świnię skrobał zgrzeblem, jak ciebie bronami, nietylko spokojnieby się układała, ale jeszcze chrząknęłaby na podziękowanie. A ty wciąż się jeżysz, jakbym ci robił krzywdę!

Za znieważoną ujęło się słońce i rzuciło ogromny snop światła na popielatą rolę, na której tu i owdzie widać było plamy ciemne albo żółtawe.

— Oto patrz!—mówiło słońce.—Widzisz ten płat czarny? Tak czarne było całe wzgórze, kiedy twój ojciec siewał na niem pszenicę. A teraz spojrzysz na ten żółty płat: tu już glina wychyla się z pod czarnoziemiu i niezadługo obsiedzie ci wszystkie grunta.

— A cóżem ja temu winien?—odparł Ślimak.

— Nie tyżes winien?—szeptala z kolei ziemia.—Sam jadasz trzy razy na dobę, a mnie—jak często karmisz? Daj, Boże, raz na osiem lat! A dużo mi dajesz? Piesby zdechł na takim wikcie¹⁾. I czego ci żal dla mnie sieroty?—Oto—wstyd powiedzieć—skąpisz mi bydłecęj mierzwy!...²⁾

Skruszony chłop zwiesił głowę.

— Sam sypiasz, jeżeli cię żona nie spędzi, i po dwa razy na dobę; a mnie—jaki dajesz wypoczynek? Raz na dziesięć lat, i to jeszcze bydło mnie depcze. I ja mam być z twojego bronowania kontenta? Spróbuj nie dać siana, nie wyściel obory krowom, tylko je skrob szczotką, a zobaczysz, czy będziesz miał mleko.

— Oj, la Boga, la Boga!—wzdychał chłop, uznając, że ziemia ma rację.

Ale, pomimo skruchy, nikt go nie pożałował w strapieniu. Owszem, chwilami zrywał się wiatr zachodni i, zaplątany między zeschłe badyle na miedzy, świstał mu w ucho:

— Nie bój się, dam ja ci, dam!... Sprowadzę taki deszcz, taki potop, że resztę czarnoziemiu wypłucze ci na gościniec. Żebyś własnymi zębami bronował, i tak jeszcze z roku na rok będziesz miał coraz mniej pociechy.

Niepróżno wiatr groził. Za ojca nieboszczyka, za starego Ślimaka, zbierano w tem miejscu po dziesięć korcy pszenicy z morgi. Dziś i za siedem korcy

¹⁾ Żywność. ²⁾ Nawóz.

żyta trzeba dziękować Bogu; a co będzie za dwa, za trzy lata?...

— Ot, chłopska dola!—mruknął Ślimak.—Pracuj, pracuj, a zawsze tylko z jednej biedy wleziesz w drugą. Inaczejbym ja gospodarował, żeby tak doczekać jeszcze jednej krowiny i choćby tej oto łączki.

Wskazał batem łąkę przy Białce.

— Głupi chłop! Cóż za głupi chłop!—świergotały wróble.

— Patrzej, jak glina wypycha ci czarnoziem!—pokazywało słońce.

— Głodzisz mnie, nie dajesz wypoczynku...—stękała ziemia.

— Durny ty, durny!—warczały z gniewem zębate a leniwe brony.

— Chi! chi!—śmiał się wiatr w zeschłych badylach.

— Ot dola!—szepnął Ślimak.

Utopił palce we włosy, aż mu czapka zsunęła się na lewe ucho, i wstrzymał konie, chcąc rozejrzeć się i smutne myśli pogubić gdzie na polach.

— Ileż to ja mam gruntu?—medytował.—Dzie sięć morgów, a w tem łąki ani okrucia. Gdybym obsiewał co rok tylko sześć albo siedem morgów, a resztę ugorował¹⁾, z czegożbym wykarmił moją biedotę? A parobek—on tyle zjada, co i ja, i, choć kulawy, bierze piętnaście rubli zasług. Magda mniej zje, ale i tyle robi, co pies napłakał. Całe szczęście, że mnie choć wołają do dworu, czy jaki Żydzina zgodzi z furmanką, czy kobieta sprzeda masła i jaj, albo wieprzka utuczy. I co z tego razem? Miłosierdzie Boskie, jeżeli schowam do skrzyni za cały rok pięćdziesiąt rubli. A przecie, kiedyśmy się pobrali, i setce

¹⁾ Pozostawiał nieobsianą.

nie dziwował się człowiek... Dajże tu ziemi nawozu, kiedy ci ledwie starczy chleba dla własnej gęby, a siano i owies musisz kupować we dworze.

— Niech tam se już idzie, jak i szło do tych czasów!—zakonkludował¹⁾.—Łatwiej być księdzem na włóce, niż dziadem na zagonie. Żebym ja tak miał więcej bydła i łąkę, to dworu nie prosiłbym o łaskę i koniczyńbym nawet posiał...

Bolesław Prus. („Placówka”).

Czy to jest opis, obrazek, czy opowiadanie? Co myślisz o tym chłopie?

Jak są tu przedstawione: słońce, ziemia, wiatr, wróble i t. p. Co znaczy: łatwiej być księdzem na włóce, niż dziadem na zagonie?—gdyby wielkość płaciła, toby krowa zająca chyliła?

24. Na fujarce.

A czemu wy, chłodne rosy,

Padacie,

Gdym ja nagi, gdym ja bosy,

Głód w chacie?...

Czy nie dosyć, że człek płacze

Na ziemi,

Co ta nocka sypie łzami

Srebrnemi?

Oj, żebym ja poszedł ino

Przez pole,

I policzył łzy, co płyną

Na rolę...

Strachby było z tego siewu

Zać żniwo,

Boby snopy były krwawe

Na dziwo.

Przyjdzie słonko, na niebiosy

Wschodzące,

¹⁾ Zakończył mowę.

I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyszło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże! *Marja Konopnicka.*

25. Szkoła wiejska.

I.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
Musiał się uczyć, bo jest wesoły,
Musiał za pilność pochwałę dostać,
Bo zuchowato najeżył postać
I tak sam w sobie odwagę nieci:
— „Mówił ksiądz pleban: „Chłopskie wy dzieci,
„Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę
„Rozwiemożnicie waszą potęgę”.
Jeśli to prawda... mocny mój Boże,
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień, i w nocy, w wieczór i rano,
Aż zgłębię wszystko, co napisano;
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał jak sztych litery.
Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze
I być wielmożnym sam sobie każe.
Lecz czemuż będę na Bożym świecie?
Pozostać chłopem nie można przecie,
Cała nauka poszłaby marnie...

II.

„Ot tak, na zmianę
Ja ekonomem sobie zostanę;
Będę bił ludzi... Brzydko bić ludzi!
Będę za bracią znał ich kochaną,

Jak w katechizmie wydrukowano;
Będę miał dla nich i miód i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo;
Zapuszczę wasy jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I tabakierkę ze srebrnej cyny,
I cztery konie, tłuste mierzyny,
I kupię brykę, i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łąać męża przez cały dzionek.
Pan łąe sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednej osobie...
Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
Inne rzemiosło sobie obiorę.

III.

„Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robi żołnierzy.
Tacy wąsaczeli Przy Pańskim grobie
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Mają kaftany robotą cudną,
Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno;
Lecz zato pióra, co zdobiają głowę,
Jedne błękitne, drugie różowe.
Malarz im za to dał nogi krzywe,
Że mieli serca nielitościwe.
Nakupię pędzli i farb niemało:
Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą
Z chatami, z groblą, z rzeczka i paszą.
Będzie kościółek, będą mogiły
I organisty domek pochyły,
Gołąbki latać będą nad wieżą,
A brzoźka wonią oddychać świeżą,

Rzeczka szczebiotać swoje paciorki,
I szumieć będą jodłowe wzgórki.
A nad tem wszystkiem obłok poranny,
I widać postać Najświętszej Panny:
Pana Jezusa mając na łonie,
Ku naszej wiosce wyciąga dłonie
I błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościółek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę, kwiatem pokrytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który zbliżka, albo zdaleka.

IV.

„Bo tam z za góry, ledwie widzianej,
Z chorągiewkami jadą hułany.
Boże mój, Boże! co za koniska!
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska...
Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużej!
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w hułany!
Strój będzie złoty—lecz mniejsza o to,
Tu mi nie idzie o jasne złoto;
Wąs będzie duży, — co mi wąsiska!
Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska:
Jak wróci z krzyżem ku swojej strzesie¹⁾.
Toż to rodzicom radość przyniesie!
Ojciec się splotze, a matka powie:
— „Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!”
Wartość dać życie za taką chwilę!...
A jak się czasem w mustrze pomylę,
Albo mi szablą zgruchoczą ramię,

¹⁾ „Strzesie” dla rymu „przyniesie”. Mówi się strzesze,

Albo mi kula głowę odłamię,
Albo, co gorsza, nie dopuść Boże,
Na bojowisku strach mię przemoże,
I drapnę z placu gdzieś w gęste jodły,
A ludzie krzykną: — „Podłyż ty, podły!”
To dla rodziców z piasku przykrycie,
A dla mnie hańba na całe życie.
Nie!... choć w hułanach dobrze się zdawa,
I piękny mundur, i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

V.

„Gdzież mi obliczyć? nie z moim wiekiem—
A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
Człowiekiem trudno... trudno hułanem,
A więc... cóż robić? zostanę panem.
Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią;
Za to odpiszę wszystkie szarwarki¹⁾
I dam każdemu wódki dwie czarki.
Potem przyjedzie architekt²⁾ biegły,
Kaze nazwozić czerwonej cegły,
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszyl obłoki.
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy,
Będę pił wino, co strzela korkiem,
Jeść marcepany z kwaśnym ogórkiem.
A jak mi matka w starej siermiędze
Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
— „Daj mi, panoczku, daj zapomogę!”

¹⁾ Obowiązek naprawiania dróg i mostów. ²⁾ Budowniczy.

Mnie zarumienią ich smutne twarze—
To z mego domu wypchnąć ich każę.

VI.

„Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
Oddal ode mnie myśli nieczyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy!
Myśl nieczłowiecza przyszła do głowy,
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mnie ksiądz pleban jutro spowiada;
Jam grzech mój ciężki, pogardę wami,
Gotów oplakać krwawemi łzami...
A przez nauki, wzięte korzystnie,
Toż to się silnie bracią uściśniesz!
Toż to nakupię elementarzy,
Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecz: — „Mój mały, widać, żeś człowiek!
„Idź uczłowieczać rodziną wioskę!
„Idź gładko orać skibę ojcowską!
„I z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
„Ze starą matką sadzić buraki;
„Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
„Idź w Imię Ojca, Syna i Ducha!”

VII.

„Otóż polecę, toż będą radzi!
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siał je będę na naszej niwie,
Pan Bóg nie Rymsza, wzrośnie szczęśliwie!
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy:
Wyrosną kłosa aż pod niebiosy,
A Pan Bóg niwę tutejszej włości
Nakarmi chlebem aż do sytości!
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Spłaczę się ojciec, spłaczę się matka;

Taka łza w sercu perłą powraca...
Toż moja książka!... toż moja praca!
„Chciało mnie zrobić zachęcenie wieszce:
Panem, hułanem i czymś tam jeszcze:
Ja, choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!”

Ludwik Kondratowicz.

Poeta polski w. XIX-go, pisywał pod pseudonimem Władysława Syrokomli. Umarł 1862 r. w Wilnie. Najpiękniejsze jego utwory czerpią treść z życia ludu wiejskiego.

Taki prosty obrazek z życia, wierszem opowiedziany, nazywamy *gawędą*. Przeczytaj *gawędę* Syrokomli: „Janko Cmentarnik”.

Jak nazwiesz takie wyrażenia: *lulka* długa jak *gałąź brzozy*; *wąsy* jak *miotły* duże?

26. Wigilja Bożego Narodzenia.

Wies zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzal domów, pól i sadów, jedno tylko światelka migotały ostro, a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u kormornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu—sноп zboża, okrywano ławy płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczora, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasuwac jakby dymami silnymi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest! Jest!—wrzasnął naraz Witek.

Wyrzał na to Boryna, wyrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści, że była, tuż nad wschodem i, zda się, rosła w oczach, jarzyła się coraz bystrzej, coraz bliżej była, aż Rocho ukleknął na śniegu, a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betlejemską gwiazdą, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte Imię Jego pochwalone.

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca ich zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością, i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty.

A gwiazda olbrzymiała, błękitne smugi szły od niej, niby szprychy świętego koła, iskrzyły się po śniegach i świetlistymi drzazgami rozdzielały ciemności,—a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne nieprzejrzana gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą płachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździemi.

— Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem cie stało!—rzekł Rocho.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa, Rocho w pośrodku, Pietrek, Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba jej było o jadło i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta chwila zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich; pojedli go ze czcią, kieby ten Chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym!—powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, bo to dzień cały o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie, w mące obtaczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również omaszczona, a na ostatek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej maki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprażone. A przygryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z makiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo, i mało kiedy jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyste, jakby między niemi leżało to święte Dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświetlał izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamarzniete szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jagus nagotowała kawy, to osłodzili ją suto i popijali zwolna...

Aż Roch wyjął z zanadrza książkę, okręconą w różaniec, i zaczął z niej czytać cichym, a głęboko wzruszonym głosem:

„W Judejskiej ziemie, w Betlejem, niebardzo podłem mieście, narodził się Pan w ubóstwie, na sianie, w stajni lichej, między bydlątkami, co w tej radosnej nocy cichej były mu bratami...”

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wzmacniał i rozmadlał, i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanję wygłaszał, a wszyscy siedzieli

w milczeniu pobożnem, w ciszy serc zasluchanych, w drzeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerzem odczuciu łaski Pańskiej, narodowi danej.

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam, w tych krajach dalekich, między obcymi, a w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przenajświętsza! myśleli, i serca były współczuciem, a dusze się zrywały i niesły we świat, jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie; do świętych nówek Dzieciątka przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka zapłakała rzewnie nad Pańską niedolą, a Jaguś, wsparłszy twarz na dłoniach, też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce.

— Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

— Dziw, że to nie zamarzło!

— I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć! — powiadali, rozważając, gdy skończył, a Rocho im na to:

— Bo ino ochfiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to jużby zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie.

— Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc Narodzenia i każde bydlatko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między niemi Pan się narodził, kto ino bezgrzeszny zagadnie — ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z niemi czujące, więc i opłatkami trza się z niemi podzielić...

Ruszyli wszyscy do obory, a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały, głamiąc powoli, ale na światło i głosy jeły postękiwać,

zbierać się ciężko do powstania, a odwracać ciężkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować; jeno jutro rano doić nie można, aż wieczorem, straciłyby mleko.

Jagna połamała opłatek na pięć części i, przychylając się nad każdą krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w gębule, na szerokie, ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zagadnęła Józka.

— Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby, a Roch mówił:

— Kuźde stworzenie, trawka kuźda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana — wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie, że Pan się narodził.

I długo, długo mówił, że lepiej i ksiądz na ambonie nie potrafi.

A tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i wyszli oboje.

Wsunęli się do obory, pomiędzy krowy. Przyklękali przy największej, jakby przy matce całej obory, tchu im brakowało, serca przenikał strach święty, ale dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąco:

— Siwula, Siwula!...

Nie odrzekła ni tem słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchala gębula, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada.

Przyklękali przy drugiej, i znowu Witek zapytał, ale już z płaczem prawie...

— Łaciata! Łaciata!...

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamarłym tchem, ale nie nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grzeszniśmy pewnie, to nie usłyszemy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

— Prawda, prawda, grzeszne my, grzeszne... Mój Jezus... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki a i ten rzemień stary...—Nie mógł mówić więcej, płacz go chycił, żal i to poczucie winy, a Józka też mu wtórowała, i tak płakali społem.

Ale w izbie nikt nie spostrzegł ich braku, śpiewali teraz pieśni pobożne, że to nie czas przed północkiem na kolędy.

Wł. Reymont. („Chłopi”).

Podobnym językiem mówi lud na Mazowszu czyli Mazury, i mówili tak dawniej Polacy. Jest to *gwara* mazurska.

Przysłowia mazurskie: Warszawiak w pracy, a wilk u pługa, jedna z obu posługa. Lepsza wody szklanka, niżli Warszawianka.

27. Przyjście Chrystusa.

Lud, czekający na swego Mesjasza,
Nie zwrócił oczu na dziecinę małą
I do biednego nie zajrzał poddasza;
Mniemał, że Zbawcę, którego czekało
Tyle pokoleń, ujrzy ziemia nasza
Odrazu ziemską okrytego chwałą,
Jak na wojsk czele—niewiernych rozprasza.
Mniemał, że wszystko będzie przed nim drżało,
Że nawet głowy ugną się książęce,
Zdając mu władzę nad światem... więc jeśli
Usłyszał, że się narodził w stajence,
I, że mędrcomie dary mu przynieśli,
Pytał ze śmiechem: — Jakto? ten syn cieśli
Ma rządy świata ująć w swoje ręce?

Adam Asnyk.

Poeta polski w. XIX-go. Ur. 1838, um. w Krakowie 1897 r.

28. Z b ó j e.

— Dawno już temu będzie, bo tyle років, co ich jest od Narodzenia, chłop jeden, gospodarz bogaty, szedł sobie z jarmarku, gdzie sprzedał parę tęgich ciółków. Talary miał dobrze schowane w cholewie, kij niezgorszy w garści, i krzepki też był, że może we wsi najmocniejszy, ale się spieszył, aby przed nocą do domu się dostać, bo podówczas zbóje kryły się w lasach i pocziwym ludziom drogę zastępowały.

Latową porą musiało to być, bo bór był zielony, pachnący i żywymi głosami rozbrzmiały, a wiatr był duży, to drzewa się kołysały i szum srogi szedł górą. Pospieszał chłopina, jak ino mógł, a rozglądał się strachliwie dookoła, ale nie nie dojrzał... chojary ino stały przy chojarach, dęby przy dębach, sosna przy sośnie, a nigdzie żywej duszy, tyle co te ptaszyska przeciągały między pniami. Strach go brał coraz bardziej, bo przechodził koło krzyża, przez taki gąszcz, gdzie się i oczami nie przecisnął, a kędy właśnie najczęściej zbóje następowali, to się przeżegnał, pacierz w głos mówił i w dyrdy pobiegł...

Już się szczęśliwie wydostał z wysokiego lasu, już ino tą karłowatą sośniną a jałowcami się przebiegał, już nawet widział pole zielone, rozkołysane, już mu plusk szedł od rzeki, skowronki śpiewały, już ludzi zoczył przy pługach, a nawet boćki, jak kluczem ciągnęły na bagniska, a nawet poczuł z wiatrem sady wiśniowe, co były kwitły... gdy wtem z tych krzaków ostatnich wyskoczyli zbóje! Dwunastu ich było i wszyscy z nożami! Bronił się, ale wnet przemogli, a że pieńię lży oddać po dobroci nie chciał, a krzyczał, to powalili go na plecy, przygnietli nogami, podnieśli noże i już mieli go żgnąć... a wtem skamienieli zagnała i zostali tak z podniesionymi nożami, zgar-

bieni, srodzy, a nieruchający się—i wszystko się w ten mig zatrzymało w miejscu... Ptaki pocichły i wisiały w powietrzu... rzeki stanęły... słońce jakby zakrzepło... wiatr zmartwiał, drzewa ostały, jak je był wicher przygiął... zboża także... bociany zaś kieby wrosły w niebo z rozłożonymi skrzydłami... nawet ten chłop orzący stał z podniesionym batem — świat się zalał w to oczymgnięcie i skamieniał.

Jak to długo było, niewiadomo — aż rozległ się nad ziemią anielski śpiew:

— „Bóg się rodzi, moc truchleje!”

Ruszyło się naraz wszystko, ale zbroje poniechali chłopą, widząc w tym cudzie przestroge, i razem już poszli za tymi głosami anielskimi do stajenki onej, pokłonić się Narodzonemu! wraz z nimi co ino żyło na ziemi i w powietrzu.

Wł. Reymont. („Chłopi”).

Wybierz stąd wyrazy i zwroty ludowe i objaśnij, co znaczą.

Jak nazwiesz takie opowiadanie: podaniem, baśnią czy legendą? i dlaczego?

29. Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły. Wiódł łotrowskie życie,

Więc, ażeby pokutę zaczął należycie,

Zrzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,

Znalazł na polowaniu znajomego wilka.

Trzeba pomódz bliźniemu! Za pracę usługną

Zjadł kawał mięsa: gardzić nie można jałmużną.

Spotkał jagnię nazajutrz, samopas idący,

Chciał upomnieć, nastraszyć, zabił je niechcący.

Nazajutrz, widząc ciele, że z krową nie chodzi,

Zabił je: takich grzechów cierpieć się nie godzi.

Nazajutrz, gdy się pasły z krowami pospołu:

—Niech się dłużej nie męczy!—zjadł starego wołu.

I tak cierpiąc przykładnie z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

Ignacy Krasicki.

Poeta i bajkopisarz w. XVIII, z czasów Stanisława Augusta. Arcybiskup gnieźnieński.

Jak się nazywa taki utwór? Wymień znane ci bajki. Jaką wadę ośmiesza tu autor? W jaki sposób to czyni? Jeżeli, chcąc coś zganić lub ośmieszyć, nadajemy słowom swoim wprost przeciwnie znaczenie, to sposób ten wypowiadania myśli nazywamy *ironją*. Wskaż zwroty ironiczne.

30. Wesele.

I. Doman wedle obyczaju przysłał swaty; naznaczono dzień wesela. Zdjęto koło, na tyce zatknięte nad chatą, oznajmijające parobczakom, że tu coś było do wywiezienia.

Mila dobrała sobie drużek sześć, których się powstydzić nie mogła, bo wszystkie były hoże, młode, świeże i wesołe, a żadna nad nią piękniejsza nie była.

Doman też sześciu družbów prowadził z sobą, wszystkich kmiecych synów dorodnych, z których każdy suknią, kołpaczkiem, pasem i koniem mógł się pochwalić, zręcznością, przytomnością i siłą.

Poszły zaprosiny od dworu do dworu z wieńcami i śpiewami, wedle dawnego obyczaju, od ojca dziewczyny i od pana młodego.

W przeddzień wesela wszystko było w pogotowiu. Chata wybielona, wykadzona jałowcem i ładanem¹⁾, posypana kosaćcem, u drzwi powieszono wianki, wszystkie naczynia postawiono nowe. Około dziewczyny, jak zwykle zasepionej i smutnej, kręciły się druchny wesołe i przybrana macierz stara. Strojna była Mila na ten dzień ostatni w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie i kolce, które od ojca miała; dziewicze kosy, pozaplatane starannie, raz ostatni ją zdobiły.

¹⁾ Ładan — rodzaj żywicy.

W chacie już od rana nie ustawały pieśni na chwilę, bo każda godzina tych dni uroczystych miała swoją, którą odśpiewać musiano.

Przed przybyciem młodego zaczęto już korowaj miesić, placek weselny, na którego przyjęcie piec się dopalał jasno i wesoło.

Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedem miarek mąki, jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną, a każdemu sypaniu i laniu nowa pieśń towarzyszyła.

W takt potem pieśni białemi rękami ciasto ugniaty niewiasty, śmiejąc się i żartując z narzeczonej, w której smutek udany niebardzo kto wierzył.

Z pieśnią się odbył taniec wkoło dzieży, w której ciasto rosło, z pieśnią poczęto lepić misternie korowaj ofiarny, na którym spleciona kosa panny młodej siedziała, i ptaszki, i pozatykane gałązki zielone, jagódki czerwone, kłosy dojrzałe...

Gdy korowaj był skończony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono, rzucając z nim razem kukułki, z ciasta urobione, ptaszki poświęcone bóstwu żywota—Żywi.

Zamknięto wówczas piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczyście na ulu, zasłanym ręcznikami, i druchny poczęły nucić smętny śpiew pożegnalny, zamykający w sobie całe dzieje młodości, żal po domowych progach, źródle, z którego wodę czerpała, ogródku, gdzie rutę sadziła, po dobrych braciach, po ojcu i macierzy kochanej, po złotych dniach majowych.

Mili płynęły znów łzy z oczu, gdy jej kosy rozplatanano. Pana młodego jeszcze nie było. Brat miejsce jego zasiadał przy siostrze, jako dawny jej stróż, opiekun i obrońca ze krwi i prawa.

II. Zmierzchało już, gdy zatętniał na drodze i, plaszcząc w dłonie, druchny wołać zaczęły:

— Księżyc jedzie młody!

Księżycem dnia tego był Doman, któremu sześciu młodzieży na koniach towarzyszyło, w kołpakach futrzanych z piórami, w pasach kowanych, w opończach suto bramowanych, z ręcznikami bogato sztytami przez ramiona.

Pan młody krasą i odzieżą wszystkich przechodził. Konia pod sobą siwego miał z długą grzywą, odkrytego sukнем czerwonym, któremu na łbie świecił czub błyszczący. Pas na nim cały był z kółek złotych, pod szyją zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem.

Na stajanie od chaty puścili się ku niej cwalem, a gdy u progu stanęli, aż ziemia zatętniała.

Broniono im przystępu zrazu, niby najeźdźcom i gwałtownikom, nie dawali im przejść progu, musieli się opowiadać i okupić. Dopiero ich przepuszczono, gdy podarki dali. Doman wiele ich wiozł z sobą, a gdy z krasnej chusty wysypał u nóg młodej, dziewczętom aż się zaiskrzyły oczy. Były tam zamorskie klejnoty, pierścienie, naramienniki, naszyjniki, korony na głowę, szpilki i parę garści pieniążków srebrnych, i droższe może nad nie paski malowane, pstre wstęgi. Był i kubek jakby złoty, i naczynko przezroczyste niby z lodu, a słońce na wskroś przez nie patrzyło.

Tymi darami okupił sobie młody miejsce przy dziewczynie, którego mu brat ustąpił. A tuż i korowaj wynoszono i różgę weselną zieloną, całą we wstęgi przybraną, w blaszki, pióra i strzępki, z sztytem ręcznikiem krasnym.

I znowu brzmiała pieśń napół żalosna, pół wesoła: żal za domem, przecucia pracy ciężkiej, molidwy do bogów i wróżby.

Wtłoczyli się też zaraz za młodym do świetlicy grajki weselne. Chata już pełna była, jak nabił. Mirsz stary częstował i prosił, bracia z dzbankami chodzili i poili, piwo i miód nalewano nieustannie. A że w izbie miejsca wkrótce nie stało, chłopcy i dziewczęta koło wiedli w podwórku, gdzie gędzba usiadła na przyźbie.

Pieśni a pieśni lały się jedna po drugiej, prześpiewano tak niemal noc całą. Nocka była letnia, gwiazdzista, ciepła, nikomu się spać nie chciało. Starzy chyba siedząc zdrzemnęli się po miodzie na ławach, gędzba nie ustawała.

III. O słońca wschodzie ruszył cały pochód na uroczysko¹⁾ pod dęby święte; stary ojciec miał im tam pobłogosławić. Drużby na konie posiadali, pannę młodą na wóz wsadzono, cały sukmem okryty, cały kwiatami obwieszany. Za nią jechały, nucąc a zawodząc, druchny, goście, tłum ciekawy.

U starego dębu młodzi szli po kolei wszystkich prosić o błogosławieństwo: padli ojcu do nóg, przybranej matce, wszystkim stojącym dokoła, aż do małych dzieci. Potem, za ręce się pobrawszy, kołaczem się łamali, włożono im korony na głowy, pili z kubka jednego, dłoń w dłoni siedem razy dąb święty obeszli dokoła, i ojciec ich trzykrotnie ziarnem obsypał, a poza nimi stojąca drużyna ciągle pieśni nuciła weselne.

Wylano bogom ofiarę, odpędzono czary i uroki, kadzono zieleni, rzucano liśćmi, kropiono wodą i orszak cały nazad się puścił do chaty.

Tu zabrzmiały pieśni nowe a inne. Dziewczęciu rozplatano włosy, kosę dziewiczą obcięto i głowę czepcem osłonięto, a gdy biała namitka²⁾ otoczyła

¹⁾ Uroczysko—nasyp z ziemi w kształcie ogromnego kopca.

²⁾ Namitka—ubranie głowy z płótna, dawniej u Słowianek, dziś na Rusi jeszcze noszone.

czoło młodej, łyzy się jej z oczu rzuciły żalodne. Zegnały ją drużki dziewice... ale gęslarz głośniejszy w struny uderzył, i płaczu słyszać nie było.

Do skoków stawać musieli weselni i na gwałt się weselić, aby wieczór ten złą dla życia nie był wróżbą.

Zanucono pieśni chmielowe, bo też chmiel w głowach panowanie swe rozpoczynał.

— Chmielu, ty mój chmielu, jak ty psujesz głowy, świat był wczoraj czarny, dzisiaj mi różowy...

Całą tak noc tętniała od skoków chata Mirszowa, tętniało i rozlegało się podwórko.

Już słońce wstawać miało, gdy ujrano z pola spiesznym krokiem idącą o kiju starą babę. Stawała niekiedy, oglądała się, jakby przelekła, podnosiła kij i wołała coś przeraźliwym głosem, ale słów dosłyszeć nie było można, bo dudarz grał donośnie, i gęslarze śpiewali, a młodzież, hasając, pokrzykiwała.

Wiedźma coraz żywiej biedz zaczęła zdyszana, poznano w niej zdalą Jarułę.

— Co jej jest?—zawołał stary Mirsz—leci, jakby oszalała...

— E! ona tak zawsze!—śmiali się inni—gotowa jeszcze pójść w skoki...

A Jaruha szła, biegła, oglądała się poza siebie i kijem kędyś pokazywała. Włos miała rozwiany, nogi pokrwawione. Dobiegłszy pod same wrota, krzyknęła:

— Uciekajcie! uciekajcie! Jedzie, toczy się smok, gadzina! Pomorcy idą! Wrogi tuż za mną wślad...

Usłyszeli wszyscy, ale nikt nie chciał wierzyć własnym uszom.

— Tuman się toczy, dymy kłębią, tętni ziemia. Uciekajcie! uciekajcie! komu życie miłe! Ludzie, ratujcie się! Pomorcy idą!

Podniosła ręce obie do góry, krzycząc, i upadła zmęczona.

Stary Mirsz popatrzał w dal milczący i wpadł do chaty.

—Kto żyw, na konie!— zawołał.— Jaruha przybiegła z wieścią, nawala Pomorców się toczy. Uciekać! Stara oszalała może, może stado owiec za Pomorców wzięła. Niech kto jedzie, podpatrzy. Tumany jakieś widać w dali.

Popłoch padł na taneczników, jak gdy kania się nad stadem kuropatw uwiesi, ale głowom zagrzany niebardzo się wierzyć chciało. Mężniejsi się ku drzwiom rzucili, a dziewczęta i niewiasty do komory—krzyki zastąpiły śpiewy.

Doman też wypadł z chaty, za rękę wiodąc Mile przestraszoną i płaczącą, która, czoło i oczy tuląc w dłonie, wołała:—O doloż moja!—o dolo!

Młodzież biegła po konie na paszę. Ale cóż mogła ta mała garstka przeciwko nawale nieprzyjaciela? o obronie myśleć było niepodobna, chyba o ucieczce jednej.

Doman do szopy biegł po siwego. Miła za nim z rozpuszczonym włosiem, ręce łamiąc, we łzach cała. Nie myśląc już o drugich, mąż ją wpół chwycił i na konia rzucił, skoczył nań sam, wybiegł przed chatę, obejrzał się, krzycząc na swoich:

— Za mną, druhy!

Za górą coraz silniej tętniało i dzikie słyszeć się dawały okrzyki. Chmura Pomorców i Kaszubów leciała z tumanem kurzawy, pędząc nad jezioro. Niekiedy z tego obłoku migły głowy i dzidy.

Jaruha, zmęczona, jak martwa leżała na ziemi, dysząc sił ostatkiem. Chata, przed chwilą brzęcząca weselem, stała otwarta i pusta, z korowajem obłamanym na stole, z kadziami piwa i beczkami niedopite-

go miodu. W podwórku nie było żywej duszy, psy u wrót ujadają.

Józef Ign. Kraszewski. („Stara Baśń”).
Powieściopisarz polski w. XIX.

Objasnij wyrazy: ładan, uroczysko, namitka.

Jakie znaczenie mogą mieć wyrazy: koło, korona, baba, kosa, zawodzić? (*homonimy*, wyrazy mające parę znaczeń).

Przysłowia wielkopolskie: Kto ma żytko, ma wszystko. Niema ryby bez ości, niema człeka bez złości. Spokojny, jak kobiałka za wozem.

31. Wiesław.

Już miły wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe płasy i śpiewanie;
Parskając, konie biegną po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu.
Biją druźbowie w podkówki ze stali;—
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł Starosta, zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym znaleźć przyjaciela!
Witajcie do nas, wy z Proszowskiej ziemi,
Nie chcecie gardzić dary ubogiemi,
Spożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
Rozlicznym tańcom i precudnym strojom,
Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi,
Bo, choć strudzeni, widzę, żeście młodzi”.
Na to Halina przystępuje młoda,
W całym weselu najpierwsza uroda,
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje.
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba”.
A przytem uśmiech jakowys uroczy

Zwrócił na siebie wędrownika oczy,
 I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
 Okiem i duszą został przy Halinie.
 Wchodzi do izby na wesołe tany,
 Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany.
 Potem Starosta, zarządca wesela,
 W te słowa drużbom porady udziela:
 „Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu;
 Niech idzie w tany, niech też po swojemu
 Skrzypkom zanuci, dziewczę wybierze,
 Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze”.
 Wziął sobie druchnę, której wdzięk uroczy
 Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
 Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
 Halina w płasach rękę mu podaje,—
 Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali,
 Nuca i biją w podkówki ze stali.
 Wiesław się za pas ujął ręką prawą
 I płaś lekko przed Haliną żwawą;
 W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
 Ojcom za stołem skłonił się przystojnie,
 Tupnął i głowę nachylił ku ziemi,
 I zaczął nucić słowy takowemi:
 —Niechże ja lepiej nie żyję, Patrzajże mi prosto w oczy,
 Dziewczę, skarby moje! Bo widzi Bóg w niebie,
 Jeśli kiedy oczka czyje Że mi ledwo nie wyskoczy
 Milsze mi nad twoje Serduszko do ciebie.
 Bierze Halinę, i tak wokoło,
 Przodkując drużbom, tańczy wesoło,
 A gdy ku skrzypcom znowu powróci,
 Staje i w płasach tak przed nią nuci:
 —Czemuż ja w Proszowskiej Krew nie woda ludźmi włada,
 Małe zaznał dziecię? [ziemi Bo któż sercem rządził
 Byłbym między krakowskimi Człowiek pragnie i układa,
 Najszczęśliwszy w świecie. A wszystko Bóg sądzi,

Halina w płasach przed nim ucieka,
 On, w ręce bijąc, goni z daleka.
 A gdy dogoni, znowu z nią wróci,
 Staje i w płasach tak dalej nuci:
 —Nie uciekaj, dziewczę lube, Krąży ptaszek w ciemnym le-
 Moje sto tysięcy, Gałązek się czepia, [sie,
 Dogonię ja moją zgubę Aż dognany, piórka niesie,
 I nie puszcze więcej. Gniazdeczko ulepia.
 Sam teraz w płasach przed druchną stroni,
 A ona za nim wesoło goni;
 A dogoniony, gdy znowu wróci,
 Staje i w płasach tak dalej nuci:
 —Gospodarzu, nie dasz wiary, Grajcie, skrzypki, bo się smu-
 Jak konie oplacę: W oplakanym stanie, [cę
 Wydałem ja twe talary, Z konikami do dom wróć—
 Moje serce stracę! Serce się zostanie.
 Dłoń mu podała, a on wokoło,
 Przodkując drużbom, tańczy wesoło,
 A gdy do nowej piosneczki stanie,
 Skrzypek drzemiący zakończył granie.
 Na to Halina, zapłoniona cała,
 Między teścine za stół uciekała.
 Wiesław Staroście i matkom się kłania.
 Słychać wokoło pokątne szemrania.
 Długo się Wiesław gościnnie weselił;—
 Już się też dzionek nad górami bielił,
 Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
 Wciąż mając w uszach i śpiewki i granie,
 W sercu niepokój, a myśli jedynie
 Krążą niewolnie przy pięknej Halinie.

Kazimierz Brodziński.
 Poeta polski z pierwszej połowy XIX w.

Taki pogodny obrazek z życia ludu wiejskiego nazywa się
sielanką. Przeczytaj całego Wiesława.

32. W wiejskiej chacie.

(Wyjątek z „Balladyny”).

Chata wdowy. Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami.

W d o w a. Zakończony dzień pracy, moja Ballady-
Twoje rączki od słońca całe się rozpląną, [dyno!
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka,
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą.

Alina. Nie, nie, nie! jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoją główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osa
Do białych kwiatków, ani go od włosa
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki,
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła.
O! biedna matko!

W d o w a. Dobrze moje córki!
Z wami to nawet ubożyzna miła;
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem... a kto wie? a może
O was już słyhać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewic—niech i kuchta dworu
Albo koniuszy—zajeżdża kareta...
I mówi do mnie:—Pocziwa kobieto,
Daj mi za żonę jedną z córek.—Panie!
Weź Balladynę, piękna jak dziewanna.—
Tobie się także, Alino, dostanie
Rycerz na męża—ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą.

W rzeczulkach woda goni się za wodą.
Mój królewicu, żeń się z Balladyną.

Balladyna. Gdzie ty mój grzebień podziałś,
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy? [Alino?

Alina. Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha.

Matka (do Balladyny). Dobrze ty mówisz! Chata
A mnie się marzy Bóg wie nie co... Ale [taka licha,
Bogu się także w wiekniestej chwale
Musi coś marzyć... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia...

Balladyna. Ach! słyhać jakiś turkot na roz-
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia. [łogu,
Pięć koni... złota kareta... ach, kto to?
Jedzie aleją... Jak to pięknie złoto
Między drzewami błyska!... Ach! mój Boże,
Co im się stało?... wśród naszego mostu
Powóz prrr... stanął... i ruszyć nie może...

W d o w a. Pewnie chcą konie napoić.

Balladyna. Ot, właśnie
Pan poi konie na drodze po prostu...

W d o w a. Ha! jeśli pić chcą...

Alina. Już słoneczko gaśnie,
Trzeba zapalić sosnowe luczywo...

Balladyna (biegnąc od okna). Ach, lampę za-
[świeć... ach, lampę... co żywo...
O! gdzie mój grzebień? (Słyhać pukanie do drzwi).

W d o w a. Cóż to? co?... ktoś puka.

Otwórz, Bładyno.

Balladyna. Niech siostra otworzy.

W d o w a. Prędzej otwórzcie, ktoś do chaty stuka.

Alina. Ach! ja się boję...

W d o w a. Niech wszelki duch Boży
Boga wychwala... ja odemknę chatę —

(*Patrzy przez dziurkę od klucza*)

O! jakie stroje złocisto bogate! (*otwiera*).
Czy w imię Boga?

(*Kirkor wchodzi*).

Kirkor. Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod mojem załamał się kołem,
Szukam schronienia...

Wdowa. Proszę poza stołem,
Mój królewicu, siadać—proszę siadać.
Chata uboga,—raczyłeś powiadać,
Że powóz... O! to nieszczęście! — Dziewczeta!
To moje córki, jasny królewicu —
A to już dawno człowiek nie pamięta
Takich przypadków, chyba przy księżycu
Młynarz, co jechał przeszłej wiosny —

Balladyna. Matko!
Dosyć — daj panu mówić.

(*Wchodzi Skierka¹⁾ niewidzialny dla aktorów*).

Kirkor. Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń... czy to córki
Wasze grywają na lutni?

Wdowa. Przepraszam —
Nie... królewicu...

Skierka. Z niewidzialnej chmurki
Sympatycznymi kwiaty²⁾ poukraszam
Obie dziewczęta, bo moja królowa
Nie powiedziała, do której naklonić
Serce Kirkora... Muzyka echowa
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;

¹⁾ Postać fantastyczna, przysłana przez bajeczną królowę
Gopla, ażeby w sercu Kirkora wzbudzić miłość dla jednej z dziew-
cząt. ²⁾ Kwiaty, posiadające czarodziejskie własności.

A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje,
Że jednym sercem dwa serca pokocha.

(*Wkłada wieńce kwiatów na głowy dziewczętom—słychać muzykę*).

Wdowa. Może królewic chce odpocząć trocha?

Kirkor (*z zadziwieniem i niespokojnością*). Od-
począć, kiedy dźwięki takie cudne
Słyszę... Dziewice, wasze są to pieśni?...
Słyszę śpiewanie...

Alina. Czy się panu nie śni?
Tu w chacie — cicho —

Kirkor. Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego!...

Skierka (*na stronie*) Czar działa...

Kirkor. Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?...
To pewno wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczora, dają takie wonie?

Balladyna. Lecz my nie mamy wieńców.

(*Wchodzi sługa Kirkora, bogato ubrany*)

Sługa. Naprawione
Koło w powozie —

Kirkor. Wyprządz z dyszla konie,
Ja tu zostanę — (*sługa odchodzi*).

Wdowa. Cóż to za zjawienie?
Królewic w chacie! Na jakim on sienie
Spać będzie?... Jego listki róży cisną —

Kirkor (*do siebie*). Prawdę wróżyłeś, pustelniku
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną, [stary,
Gdzie dach słomiany...

Skierka (*do siebie*). Zakończony czary...

Kirkor (*do wdowy*). Słuchajcie, matko! na świat
Szukać ubogiej i cnotliwej żony; [wyjechałem
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa... O! gdybym dwa trony —

Ach! powiem raczej, gdybym miał dwa serca!
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę...
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać... Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach! czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia? Dziś nie umiem
Wybrać...

W d o w a. Ja ciebie, panie, nie rozumiem...

K i r k o r. Proszę o rękę jednej z córek... Może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogroiny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach? — Otóż Kirkor—to ja!
Proszę o jedną z córek...

W d o w a. Córka moja?...

Ja dwie mam córki — ale Balladyna...

K i r k o r. Czy starsza?

W d o w a. Tak jest — a młodsza Alina
Także jak anioł...

K i r k o r (do siebie). Jaki wybór trudny!
Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny,
Niby listkami brzoza przyodziana;
Ta z alabastrów — a ta zaś różana,
Ta ma pod rzesą węgle — ta fijołki,
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem.
Lecz którą kochać? którą tylko lubić?...
Niech się przynajmniej z ust różanych dowiem,
Która mnie kocha?... (Do dziewczę) Moje smukłe łanie,
Czy mnie kochacie?

B a l l a d y n a. Ach! ja ci nie powiem:
Nie... ale nie śmiem wymówić: tak, panie—

Ale ty zgadniesz, choć będę milczała,
Zgadnij, rycerzu.

K i r k o r (do Aliny). A ty, rózo biała?

A l i n a. Kocham...

K i r k o r. Obiedwie kochają.

W d o w a. Zapewne,

Ze muszą kochać! — tożby to dopiero,
Gdyby nie kochać rycerza, co szczerą
Mógłby za żonę wziąć sobie królową!
Piękny i śmiały.

K i r k o r. Któraż z was, dziewice,
Będzie mię więcej kochała po ślubie?
Jak będzie kochać? lubić, co ja lubię? —
Jak mi rozchmurzać gniewu nawałnice? —

B a l l a d y n a. O panie! jeśli w zamku są czelu-
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz [ście,
Wskoczyć — to wskoczę. Jeśli na odpuszcie
Książd nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, którymi się zmażesz.
Jeżeli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę...
Czegoż chcesz więcej?...

W d o w a. Weź! weź Balladynę!
Szczerą, jak złoto.

K i r k o r (do Aliny). A ty, młodsza dziewo,
Co mi przyrzekasz?

A l i n a. Kochać i być wierną.

K i r k o r. Ach nie wiem, której oddać rękę lewą
Jako szwagierce — a której z pierścieniem!
O! gdybym ujrzał tę gwiazdę przedsterną¹⁾,
Co wiodła króle do Dzieciątka żłobu!
Serce mam jedno, a ciągnie do obu.

¹⁾ Przedsterna — wytykająca kierunek, idąca przodem przed
sterem.

Którą odrzucić? której być małżonkiem?
Obie kochają, więc niesprawiedliwość
Poniesie jedna, jeśli wezmę drugą.
W obojgu jedna prostota i tkliwość...
W obojgu miłość jednaka zasługa...
Którą tu wybrać?...

Alina. Jeśli mnie wybierzesz,
Szlachetny panie, to musisz obiecać,
Że mię do zamku twojego zabierzesz
Z matką i siostrą... Bo któż będzie matce
Gotować garnek? kto ogień rozniecać?
Ona nie może zostać w biednej chatce,
Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
Patrz! ona siwa, jak różyczka biała.
O! widzisz, panie—musisz także ze mną
I matkę zabrać —

Kirkor. O! jakąż tajemną
Rozkoszą serce napelnia... o miła!...

Wdowa. Lecz Balladyna to samo mówiła
W sercu i w myśli. Wierzaj mi, rycerzu,
I Balladyna kocha matkę starą.

Kirkor. Jużem był wybrał, i znów mi w pukle-
rzu

Balladyna. Byłabym poczwarą,
Niegodną twojej ręki, ale piekła,
Żebym się matki kochanej wyrzekła.
Prócz matki, siostry, wszystko ci poświęcę.

Kirkor. Oślepionego chyba losu ręce
Wskażą mi drogę.

Skierka (*śpiewa do ucha Wdowy*).

Matko! w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

Wdowa. Coś matce staruszce
Przyszło do głowy... Mój ty królewicu,
Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny,
I niechaj malin szukają po lesie.
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.

Kirkor. Wyborna rada... O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczem nieskłócone,
Dnie rozkoszami przeplatane z cnotą.
Tak, moja matko — niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbanami na głowie.
A my w lipowym usiadyjemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor. — Sądź sam, wielki Boże.

Wdowa. Królewic znajdziesz w tej chateczce
Pachnące siano, zakryte bielizną. [łoże,
Wierzaj mi panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka—proszę do alkowy.

Kirkor (*klaszcze, wchodzi służa*).
Przynies z powozu puchar kryształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo—(*sługa odchodzi*).
Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone...
(*Odchodzi do alkowy*).

Juljusz Słowacki.

Czy to jest opis, czy opowiadanie? Jeżeli autor nie opowia-
da nam zdarzeń, lecz przedstawia je w rozmowie i działaniu osób,
to utwór taki nazywamy *dramatycznym*.

Określ różnicę charakterów Aliny i Balladyny.

33. W lesie.

Kasia znalazła koszyk, pocałowała ojca w rękę
i wyszła.

Uszedłszy z pół wiorsty od chaty, skrzyła w bok i weszła w bór. Ale zaraz na ścieżce spotkała smolarza.

Więc szli razem po ziele, co je na jutrzejsze święto do kościoła nazbierać mieli.

A tymczasem z boru rozległo się dźwięcznym echem od sosny do sosny szczekanie psa, i po chwili przybiegł Burek, który, wymknąwszy się z chaty, gonił tropem za Kasią. Przybiegł zziębnięty, z radością wielką skoczył ogromnymi łapami na Kasię i na smolarza, a potem spojrzał na jedno i drugie swymi mądrymi i łagodnymi oczyma, i począł kiwać radośnie ogonem. Potem puścił się wielkim pędem, zataczając większe i mniejsze koła, wreszcie zatrzymał się, szczeknął raz jeszcze radośnie i ruszył w las, oglądając się co pewien czas na chłopaka i dziewczynę.

Kasia przyłożyła rękę do czoła i, spojrzawszy w górę między liście, na jasne słońce, rzekła:

— O dla Boga! A toć już słońce ze dwie godziny po południu, a ziela niema ani kruszyny. Idź ty, Jasiu, w lewo, a ja pójdę w prawo, i zbierajmy. Trzeba nam się spieszyć, na miły Bóg.

Rozłączyli się i poszli w las, ale szli niedaleko od siebie i równolegle, tak, że jedno drugiemu nie schodziło z oczu. Na paproci, jakby na zielonej fali, między sosnami migąła pstra spódniczka i żółta chustka Kasi.

Tymczasem Burek zwietrzył na drzewie wiewiórkę, więc stanął przed pniem, podniósł oczy i paszczę w górę i począł czekać. Wiewiórka, siadłszy na gałęzi, nakryła się figlarnie ogonkiem, podniosła łapki do pyszczka i, trąc nosek, zdawała się grać palcami na nim i żartować sobie z gniewu Burka. Kasia, ujrzawszy to, roześmiała się dźwięcznym, srebrzystym śmiechem, smolarz za nią, i tak też pełno było

w lesie gwaru i nawoływań ludzkich—i echa—i śmiechu—i radosnego wesela....

Czasem, chwilami, zapadała cisza, tylko zagadał szumem bór, wietrzyk zabrzęczał w listki paproci, zaskrzypiały stare konary sosny—i cisza!

Wówczas to słyhać było wyraźnie miarowe uderzenia dzięcioła: „Kuj-kuj-kuj, kowalu!” Zdawało się, że niby ktoś stuka do jakichś drzwi, i za chwilę tajemniczy głos leśny zapyta:

— Kto tam?

To znów zaświstała wielkim głosem wiewiórka; dudek najeżył złotą koronę na głowie i, roztworzywszy długie jak igła dziobek, huknął: „hu! hu! hu! hup, hup!” W leszczynach klaskały makolągwy, zielone sikorki wily się między zielonymi liśćmi; czasem na wierzchołku sosny załopotala w czarne skrzydła kryjąca się przed upałem do boru wrona.

Godzina była popołudniowa, pogoda przejasna, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios—ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach, najbłękitniejsza w środku. Na niebie stało wielkie złote słońce, przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali wyraźne oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem całą krainę: na polach kłaniało mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie żdźbła owsa drżały, niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przedziwo z kądzieli Bogarodzicy.

Pomiędzy łąkami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleniły się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w mu-

rawie dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka, pokryta żółtymi kwiatami kaczeńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocia.

W lesie jednak, między sosnami, gorąco już było i cichość wielka. Zdawało się, że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy, i zboża, i trawy stanęły nieruchome. Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków, i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodyczy, niby rozmarzenie się natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu, Bóg wielki radował się dobrotliwie radością pól, lasów, łąk i wód.

H. Sienkiewicz („Sielanka”).

34. Jaskółka.

Za morza powracał... ach, leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż, ty bosa gromadko! sza, dziecił
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...
Ach, leci, ach, leci! powraca z za morza
Do naszej wioskowej zagrody
I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
I łąki, i pola, i wody.
— Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
Dziś wracam z piosenką radosną...
Cóż słyszeć nowego? czy zdrowi? czy cali?
Czy żyją staruszki, jak jabłoni zsiwiali?
A Kasie, Maciusie, czy rosną?
Ach, cóż to? te same, jak widzę, kłopoty
I bieda, jak była przed laty!

Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,
I dach się zapada garbaty...
Przez strzechę zamszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułaczą.
Na twarzach znękanie i niechęć, i troski,
Na ustach piosenka niedoli,
A dzieci wzrastają, jak płonne te kłoski,
Na dzikim ugorze zbujałe wśród wioski,
Bez myśli, bez czynu, bez woli.
Stęskniona leciałam przez morze z nadzieją
Wiosennych błękitów i słońca,
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją,
I wichry lodowe czatują z zawieją,
Tu zima i zima bez końca...
Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
U okien skrzydłami czarnemi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną
Wieściami powitać dobreimi?
I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę
Pod strzechą szczęśliwą wieśniaczą?
I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
Jak chrzymem¹⁾, na życie naznaczą?
O słonko, świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
Rozbudzić się ze snu nie może...
O, więcej daj światła, i więcej daj ciepła,
I rosy ożywczej, o Boże!

Marja Konopnicka.

Jaka jest myśl w tym wierszu?
Jaki to utwór: liryczny czy epiczny? Co to znaczy utwór
epiczny?

¹⁾ Święty olej, którym namaszczały przy bierzmowaniu.

35. Bitwa.

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte¹⁾ przekonał Bartka początkowo tylko o tem, że w bitwie jest się na co gapić, a niema co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu i jego pułkowi z karabinem u nóg, u stóp wzgórza, pokrytego winogradem. Zdała grały armaty, zbliżka przelatywały pułki konne z tętentem, od którego się ziemia trzęsła, migały to chorągiewki, to kirasjerskie²⁾ miecze. Nad wzgórzem, po błękitnem niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym nappełnił powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa jak burza przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pułki, a w przerwy między nimi nadbiegały co koń wyskoczy armaty, które wyprzegano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórz. Cała dolina nappełniła się wojskiem. Teraz na wszystkie strony grzmiały komendy, latają adjutanci. W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Zdała dochodzi niewyraźny jakiś trzask: to kartaczońce już słyszą.

Nagle jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w tej chmurce coś

¹⁾ Pod Gravelotte w r. 1871 była bitwa między Niemcami a Francuzami. W wojsku pruskiem walczyły wtedy pułki polskie z W. Ks. Poznańskiego. ²⁾ Kirasjer—żołnierz ciężkiej kawalerji, noszący pancerz blaszany (kirys).

syczy, śmieje się zgrzyta, rzy i wyje. Chłopi wołają:—Granat! granat! Tymczasem pędzi ten ptak wojny, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot, jakby się świat walił, i pęd, jak od uderzenia wiatru. Zamieszanie powstaje w szeregach, stojących w pobliżu armat, rozlega się krzyk i komenda:—Szlusuj!

Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć: stać! czekać!

A tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty... Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, nad tym ogniem wyją granaty i krzyżują się w powietrzu. Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi nieporuszony.

Kule bzykają, niby muchy, lub przelatują ze strasznym świstem w pobliżu. Coraz ich więcej: świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk:—Jezu! potem:—Szlusuj! znów:—Jezu!—Szlusuj! wreszcie jęk nieprzerwany, komenda coraz spiesniejsza, szeregi się ściskają, zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się?—pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać!—odpowiada Bartek, szczękając zębami.

A jednak stoją obaj, i nie przychodzi im nawet do głowy, że możnaby zemknąć. Kazali im stać i kwita. Bartek jednak sądzi, że go zabiją, i powtarza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją!—odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspokajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie robi. Uspokojony pod tym względem, stoi

cierpliwiej, tylko czuje okropne gorąco, i pot zlewa mu twarz.

Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych nie ma już kto wyciągać. Piechury się zbliżają. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczynają ogarniać rozpacz. Nie mogą już ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całej siłą o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. On wiedział zresztą, że raz kozie śmierć, ale miło mu to usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza, że bitwa zamienia się w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeżliwszy ani razu, jest do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają w nieładzie. W szeregach czuć wahanie. Ziemia pod ich stopami staje się miękka, ślizka od krwi, której surowy zapach miesza się z wonią dymu. Oddechom brak powietrza. W szeregach powstaje szmer.

Nagle jakiś głos poczynają mówić:

— Pod Twoją obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się, święta Boża Rodzicielko!...

Chór polskich głosów na polu zagłady woła do Patronki Częstochowskiej:—Naszemi prośbami nie racz gardzić!—A z pod nóg wtórują mu jęki:—O Maryjo! Maryjo!

I wysłuchała ich widocznie, bo w tejże chwili na spienionym koniu przybiega adjutant, rozlega się komenda:—Do ataku broń! hura! naprzód!—Grzebień bagnetów pochyła się nagle, szereg wyciąga w linję i rzuca ku wzgórzom szukać nieprzyjaciela.

Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu, zamieszania i jęków, głośniejszym nad trąby biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!” Ogarnia ich zapal, płomień bije im na twarze, idą jak burza, giną, ale z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca i nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi. Na górze wre ogień coraz straszniejszy, na dole trąbki grają.

Nagle salwy francuskich wystrzałów umilkły.—
Doszli zuchy!

Według *Henryka Sienkiewicza*.

W których ustępach tego urywka jest *humor*? W których zdaniach cz. teraźniejszy lub przyszły użyty jest zamiast przeszłego?

36. Chłopskie serce.

W tłumie na mrozie stanęła pod ścianą,
Okryta starą mężowską sukmaną.

Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrzac upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzelek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha;
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka była posepna i cicha;
I tylko usta zacięte, drgające,
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny
I bić w niebiosy, i wstrząsać to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.
Sąsiad przemówił do niej „Pochwalony!”

Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym;
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męco,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzała na drzwi zamknięte, przed siebie.

O pochwalony! o błogosławiony
Bądź ty mi, Chryste, co przebite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony
Z przydrożnych krzyżów!—tyś jest Bóg nędzarzy!
Ty liczysz kędyś w błękitnem twem niebie
Wszystkie gryzące łyzy troski i bólu,
Co żłobią brózdę wśród zwiedłych tych twarzy...
O! pochwalony bądź, boleści Królu!

Z trzaskiem otwarto drzwi sali; w natłoku
On jeden tylko był widny jej oku...
Jej Jasiek... dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany.
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu; był gipszy i bledszy,
A łyzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły.
— „O matko!” — „Nie płacz! Pan Jezus przemieni...”
Tyś głodny; weź to, posil się na drogę...”
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: „Nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!” Jak chusta zbladła,
Lecz rozłamała chleb — i z synem jadła.

A wtem wydano ostatnie rozkazy —
Marsz zabrzmiął; jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów, i chaty, i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty...
Hej!... nie zobaczyć już tego w żołniercel...
Powstał zgiełk, lament... Jaśka tylko matka
Bez łyzy, bez skargi trwała do ostatka,

Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą iść miały rekruty...
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
— „Dziecko!” — krzyknęła raz tylko i zbladła,
I zatoczyła się — i martwa padła.
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

Marja Konopnicka.

Co to znaczy: tragiczny? Co w tym obrazku jest tragicznym? Porównaj ten obrazek z „Pod Gruszą”.

37. Powietrze.

Siedział Rusin pod modrzewiem; słońce piekło,
jakby ogień. Patrzy zdala, że coś idzie; patrzy znowu — to niewiasta.

Cała płachtą owiniona, na wysokich nogach chodzi. Zląkł się zrazu, chciał uciekać; ale widmo długą ręką zatrzymało zlekniętego.

— Znasz powietrze? Ja to jestem! Weź-że mnie na barki swoje i obnoś po całej Rusi, nie pomijaj wioski, miasta, bo wszędy zawitać muszę. Ty nie lękaj się niczego: zdrowy będziesz wśród umarłych.

I długie ręce przewiesza na szyję biednego kmiecia. Szedł więc Rusin, lecz zdziwiony, że ciężaru nie czuje, spojrzy za się, ale widzi, że na barkach siedzi widmo.

Przyniósł najpierw do miasteczka. Po gospodach tańczowano, wesołość na każdej twarzy. Ledwie zatrzymał się w rynku, niewiasta powiała płachtą, — wnet ustały rzeźwe tany i wesołość znikła z twarzy. Kędy spojrzy wystraszony, niosą trumny, w dzwony dzwonią; cały cmentarz napełniony, niema już gdzie grzebać ludzi.

Na rynku stosami trupy leżą nagie, nieopogrzebione! Poszedł dalej. Gdzie wieś przejdzie, tam zostają

puste domy; z bladem licem, drząc z bojaźni, uciekają zewsząd ludzie, a po drogach, lasach—konający w bólach krzyczą.

Na wysokiem wzgórzu stała wioska, kędy mieszkał wieśniak, co nosił powietrze; tam miał żonę, drobne dziatki i stare rodzice swoje.

Zakrwawiło mu się serce, więc okraża wioskę swoją; silnie pochwycił niewiastę, by mu z barków nie uciekła. Spojrzy — widzi Prut niebieski, za nim wszędy coraz wyżej stoją góry zielonawe, dalej czarne, aż najwyższe białe śniegiem. Spieszy prosto więc do rzeki, skacze, cały się zanurza, chcąc utopić i niewiastę, by uchronić od pomoru i od klęski ruską ziemi!

Sam utonął, lecz powietrze, co niesione nie ciążyło i utonąć też nie mogło, przestraszone tą odwagą, uciekło w lasy, na góry! Tak ocalił swoją wioskę, rodzice, żonę i dziatki i resztę tej ruskiej ziemi, gdzie nie poniósł złej niewiasty.

K. Wł. Wajcicki („Klechdy”).

Pisarz XIX-go wieku.

Wskaż przykłady poświęcenia w historii. Czy każdy zdolny jest do poświęcenia? Co daje do niego siłę?

38. Samolub.

Umierał raz samolub, z ócz łzy mu się lały...

— Ach — jęknął — czemu ze mną nie umrze świat cały!

Jan Imański.

Współczesny satyryk.

Kto jest samolubem?

39. Kurniawa¹⁾.

Kurniawa. Między wiatrem, między pędzącem powietrzem a śniegiem niema rozdziału:—nie wydaje się,

¹⁾ Inaczej: zadymka, śnieg suchy w połączeniu z wiatrem.

że to wiatr niesie śnieg, tylko że leci jakaś biel, wyjąca i szumiąca. Przed oczami migają z zachodu na wschód pasma białych nici—to większe płatki, a z niemi leci pył—para śnieżna; leci, czepia się wszystkiego na drodze, spada na ziemię, na lasy, na dachy i znowu ze świstem porywa się i niesie smugami, rozszerzającemi się w górze i rozpylającemi się w białym tumanie. Wiatr rzeźbi. Niesie śnieg zbitą lawą, wpada na chatę, na szopę, uderza o nią, cofa się, rozmiata przed sobą szeroką, półkolistą fosę i stoży nad nią coraz wyższą zaspę. Jej brzegi zginają się, jak grzbiety fal, mających się zwalić w zwojach piany. Za płotami stoży olbrzymie zasy, które przecinają drogi i ogrody; nad potokami przelatuje równo, ubijając gładką powierzchnię, której brzegi zginają się białemi ślimacznikami nad ciemną wodą. Na dachach domów i szop wszędzie osadza się ta potężna rzeźba skryształizowanego ruchu. Zmarzłe i rozniesione na pył głębiny mórz zasypują lasy, równają wąwozy, zatykają gardła pieczar i wszędzie rzeźbią z niezachwianą logiką ten sam kształt skamieniałej fali.

We dnie świat jest lecącą bielą,—w nocy zdaje się, że szary mrok zmienił się w proch, w jakieś lekkie strzępy i leci z szumem, świstem, jękiem i furkotaniem gwałtownem. Promień światła, wykradający się z małego okna, sięga daleko w tę ruchomą cinę i wygląda jak kometa, zbląkana w wirze zgasłych i zmielonych na lotny pył światów. Po nocy, w której nic nie widać, przychodzi dzień, w którym widać tylko śnieg, tylko biel, tylko te smugi, lecące z zachodu na wschód, tylko te piany roztrzępane w pył, w parę, i tylko stożące się coraz wyżej zasy, tylko potężniejsze ślimacznice, zwinięte nad potokami, na zrębach skał, na strzechach dachów.

Wiatr cichnie, ale śnieg pada dalej, lekko niesiony,

wykończa robotę kurniawy. Na lesie zawisa okiść coraz cięższa, coraz szczelniejsza. Ociężałe gałęzie obwisają coraz bliżej pnia, smreki stają się smuklejsze, spiczastsze, dolne konary przychwytuje i więzi stożący się coraz wyżej od ziemi garb śnieżny. Na małych polankach, na młodym lesie tworzą się dziwaczne szczyty indyjskich pagód i bizantyjskie kopuły, z których, jak krzyże, sterczą śmigle wirchowce. Gdzieindziej wyrastają potworne lby białe, wyciągają się ręce w białych rękawicach, tłoczą się jakieś białe cielska, zdaje się, że to jakaś rada przedwiecznych wielmożów brodatych, kołtuniastych, zasiada w olbrzymich szubach z białych niedźwiedzi, krytych białym, przetykanym srebrem aksamitem. Na kominach zwisają olbrzymie czapy, a na każdej tyczce w płocie siedzi kołpak jednako schwiany ku wschodowi; po żerdziach wiją się długie, puszyste, białe węże. W widłach konarów osiadają potworne gniazda, gałęzie, oblepione śniegiem, rozpinają się w szarem powietrzu, jak strzepy grubych, potarganych sieci; na kamieniach, sterczących z czarnej, snującej się cicho wody, wyrastają białe, wydęte kępy śnieżyste.

I tak trwa dni kilka, aż któregoś wieczora śnieg spadający rzednie, staje się coraz suchszy, wyraźniej w nim widać kształtne gwiazdki kryształów,—z szarej przędzy, wiszącej na niebie, zaczyna przecierać się złotawa poświata i lazurowy pobrzask — mróz tężeje.

Stanisław Witkiewicz.

Malarz i pisarz polski XIX-go i początku XX-go w.

Czy to jest opis ścisły? Wybierz z tego ustępu porównania.

„Na kominach zwisają czapy, na każdej żerdzi siedzi kołpak, w widłach konarów białe gniazda”—czy tu o czapach i gniazdach mowa? Takie porównania nazywają się *przenośnie*. Wyszukaj kilka przenośni.

40. W Pieninach.

(Z „Pieśni o domu naszym“).

Jak cudowna modra żmija,
Hen! Dunajec się przewija;
Jak odwieczne grają dумы,
Tak tam szumią jego szумы.

Jak dwa mury—w pion dwie skały:
W górze niebo—w dole woda —
Łódka szybka, jak myśl młoda,
A na łódce sternik śmiały.

Stara orłów to dziedzina:
Tutaj Czorsztyń—tam Niedzica —
Nowotarska hen! dolina —
Nad Tatrami łyskawica.

A tu stoi łódź u brzegu,
Góral wita cię z uśmiechem —
Nie myśl długo—skocz z pośpiechem
I płyn, bo już łódka w biegu. —

Gdy cię chwycą modre tonie,
I na przepaść łódka bieży,
Silniej drgnie ci serce w łonie,
Mocniej dusza twa uwierzy:

W skarby ziemi, w skarby nieba,
W siebie, w Boga i człowieka, —
I uczujesz, że potrzeba
Wierzyć, kochać było z wieka
Ziemię — Boga — i człowieka...

Modre tonie i kipiele
Gdy zagrają wkoło ciebie,
Tak ci duszę porwą śmieie,
Jakbyś skrzydła miał, i w niebie

Miał się oprzeć na tej łodzi,
 Jakbyś w chmury z tej powodzi
 Miał wylecieć z łódką spodem
 Nie żeglarzem — lecz aniołem.

Wincenty Pol.

41. Przewodnicy tatrzańscy.

I. Pod ścianą domu, na długiej ławie, rozpięra się cały szereg górali, rozrzucając białe cuhy¹⁾ i wyciągając zgrabne nogi. Skrzydła kapeluszy rzucają wielkie cienie na ich twarze, na piersiach — przypięta do rzemienia tórbki — połyskuje wielka blacha mosiężna, ręce wsparte na ciupagach, fajka nabita habryką²⁾ kurczy się z pod nosa — to przewodnicy.

Cały ten tłum, od pierwszego spojrzenia, zainteresowuje niezwykłą siłą charakteru.

Co za typy!

Zdaje się, że tu przeszła jakaś nawałnica ludów, ras rozmaitych, zostawiając pierwiastki najróżnorodniejszych odrębności indywidualnych, występujące z całą siłą i czystością, lub też zmieszane w sposób najsprzeczniejszy i najdziwniejszy.

Na tle dwóch krańcowych typów: jednego o wąskiej, długiej twarzy, garbatym nosie, wielkiem czole, rysach wykończonych, skórze delikatnej i długich czarnych włosach, — drugiego o twarzy okrągłej, wydatnych policzkach, płowym włosie i jasnych oczach — na tle tem przesuwają się cała galerja charakterów ludzkich, od wykwintnego piękna do karykaturalnej brzydoty.

Tu, potrzęsając długimi, czarnymi, ociekłymi masełkami włosami, przechodzi prawdziwy Apasz amerykański,

¹⁾ Cuha — sukmana góralska. ²⁾ Tytuń.

kański, spalony od słońca, ze spojrzeniem odważnem i dzikiem, z ustami surowo zaciśniętymi. Tam — ta sama twarz wyciąga się w garbaty nos owcy, patrzy sennemi oczyma i kureczy płaczkliwie usta. Tu, wygolony markiz¹⁾ wersalski z wykwinutym uśmiechem, z ruchami pełnymi eleganckiej powagi, dumy i grzeczności, z pewnym odcieniem pobłażliwości uchyla kapelusza.

Tam znowu opasły prałat rozmawia z jakimś figurami drewnianymi gotyckich świętych, które, zdaje się, że tylko co zeszyły ze średniowiecznego ołtarza.

Tu — senny i smutny orzeł, z tęskniami oczyma, siedzi zadumany, obok wesołej i sprytnej twarzy polskiego chłopca, który z pod płowego wąsa śmieje się z jakiejś poczwary, na której twarzy zdaje się skupiać złość, wściekłość, zawiść i podejrziwość całego Podhala. Tam — twarz mędrca z ogromnem sklepieniem czaszki, okolona długim, białym włosiem, patrzy łagodnie i rozumnie, — owdzie ruszają się karykatury, mogące ozdabiać rączki lasek i parasoli.

Górale, mając nadzwyczaj proporcjonalne członki, małe stopy i ręce, odznaczają się przytem niezwykłą zwinnością, lekkością i dobitnie akcentowaną celowością ruchów. Przymiotów tych nie można kłaść wyłącznie na karb warunków, w jakich żyją. Przy tych samych wpływach zewnętrznych Tyrole (np. z okolic Meranu) są ciężcy i niezgrabni. Ręce i nogi ich nie mają nic elastyczności i ruszają się jak drewniane pedały, a przecież tu i tam człowiek żyje nad przepaściami, wśród skał pionowych i stromych głazów.

Te same wpływy zewnętrzne w różnym stopniu oddziałują na różne rasy ludzi.

II. Przewodnik tatrzański, ten tak oryginalny i

¹⁾ Markiz — stopień szlachecki we Francji.

sympatyczny w stosunkach z podróżnym człowiek, o ile z jednej strony miał w sobie wrodzone, rasowe przymioty, o tyle też z drugiej strony jest typem urobionym przez prof. Chałubińskiego. On — z dzikich koziarzy, kłusowników, „zbójnikowatych chłopów”, porobił tych opiekunów starannych, te niańki prawdziwe, którym z zupełnym spokojem i ufnością powierza się każdy turysta¹⁾.

Przewodnik polski różni się tem od przewodników alpejskich lub Szwabów z węgierskiej strony, że jest on istotnym towarzyszem, rzeczywistym opiekunem; że jego ambicją, honorem jest, żeby podróżnemu było jak najlepiej. Rzadki, prawie niebywały i okrywający hańbą wypadek — jest „ostawienie” pana, opuszczenie, niechęć.

Nietylko wskazywanie drogi jest jego obowiązkiem. On prawie idzie za „pana”, dodaje mu energii, utrzymuje w nim siłę, odwagę, dobry humor, myśli o tem, żeby on w porę jadł, pił i odpoczywał.

Wodzenie po górach jest fachem, dziś już ujętym w pewien systemat, i młodzi przewodnicy odbywają rodzaj terminu, chodząc z początku jako „chłopi”, tylko do noszenia ciężarów, przy starszych, doświadczonych, umięjących już „gazdować z panami”.

Dobry przewodnik ma swoje i bardzo słuszne pojęcia o psychologii²⁾ „pana”. Wie on, że zawieszony nad przepaścią, albo postawiony nosem przy prostopadłej ścianie, na którą każą mu się wdrapywać, „dólski” człowiek gubi równowagę wewnętrzną i zewnętrzną i albo się zwali, albo też straci władzę w nogach ze strachu. To też Wojtek nigdy i niczem nie da poznać, że jest w kłopotcie. Czasem, gdyby był sam, zdjąłby kierpcie, przeżegnał się i wyszedłby po granicę, po-

¹⁾ Podróżnik. ²⁾ Tutaj znaczy: stan duszy.

krytym szklącą lodową skorupą, ale w „panu” takie przygotowania mogą odrazu zabić ducha; więc też wynajduje inne sposoby wydobywania się z matni, i podróżny dopiero w domu, w Warszawie, nie śpiąc w nocy, gdy się mu przypomni ślizki dół, na którym stał ponad kilku tysiącami stóp głębi, doznaje paniki, chwyta się za materace łóżka, lub przez sen zaczyna wołać ratunku.

To też tylko bardzo „plony” przewodnik pokazuje zdaleka podróżnemu te ciężkie przeprawy, które go czekają.

W wielkiej płócienniej torbie na plecach dźwiga on całe gospodarstwo: kilkudniowy zapas żywności dla siebie i dla pana, plety, paltoty, koce, potrzebne na noclegach, zapasowe buty, odbiera od „pana” wszystko, cokolwiek mu ciężać może. W rękę niesie kotlik do warzenia „herby” (herbaty), tak nadzwyczajnie ważnej i potrzebnej na wędrówkach. Silna ciupaga służy mu do oparcia się, do nacinania stupai (schodów) w śniegu lub lodzie, do rąbania „sucharzy” (chróstu) lub kosodrzewiny na watrę (ognisko).

Stanisław Witkiewicz. („Na Przełęczy”).

Co to znaczy charakterystyka? Jaką charakterystykę tutaj mamy? Co to znaczy: typ polski? typ japoński? typ wieśniaka? typ marynarza? Czy możesz mi wymienić jaki typ?

42. Taniec zbójceki.

Hejże, chłopcy, hej!	Za orłami,
Z wirchów, ha! i kniej!	Kozicami,
Potokami,	Od krzaka, do krzaka,
Jeziorami,	Z buczaka na pniaka!
Wirszyczkami,	Posiejemy strach! Hej!
Turniczkami,	Zatrwoży się Lach! Hej!

Liptak¹⁾ skrzydła stuli,
 Jak trafion od kuli
 Ścierwożerczy ptak, —
 Gdy nas w orli szlak
 Z pałaszem na przedzie
 Janosik²⁾ powiedziel!
 Ach!
 Dziś nam tonąć w łzach:

Janosik nie żyje,
 Czarny dół go kryje,
 A pałasz ten rdzawy,
 Co wiódł do Orawy,
 Na wysokiej horze³⁾
 Zacięty w jaworze⁴⁾
 Hej!...

Jan Kasprówicz.

Współczesny poeta polski.

Czy wiersz ludowy różni się od tego, który układają poeci?

43. Wiatr halny.

Mały, nieznaczný obłoczek jasny na przeczystem niebie nad Czerwonym Wirchem jak ślimak pełźnie na niebiosa i rozplywa w ich przezroczy, za nim drugi; zwolna, niewiadomo skąd i jak, przy najpiękniejszej pogodzie bez wiatru, powstaje wał chmur. Nakoniec dolatuje pierwszy leciuchny oddech do Zakopanego i umiera, jak dech zemdlącego człowieka; za chwilę wtóry mocniejszy, trzeci mocniejszy i tak jeden za drugim,—a po każdym tylko mogilna cisza i gorąco, dławiające ołowiem, ciąży nad doliną, tylko dolatuje jakby daleki szelest tysiąca skrzydeł lub szum potoku. A wał chmur coraz grubiej i rośnie; już wygląda jak ołowiany łańcuch gór, a sam grzebień jak wielki bałwan na oceanie, zadzierzysty, rozchelstany, pryskający wielkimi zadziurami w górę i na wschód. I tak się kotłuje w tem czarnem cielsku dzień cały, gdy reszta nieba najcudowniejszej niebieszczy, i pogoda śmieje się nad krajem. Aż nakoniec pod wieczór, gdy słońce roztopia się

¹⁾ Liptak—mieszkaniec doliny Wagu, nienawidzony przez Podhalan. ²⁾ Janosik—zbójnik tatrzański. ³⁾ Górze. ⁴⁾ Według podania, ciupaga Janosika po jego uwięzieniu uciekła do lasu i utkwija ław worze.

w złotej lunie nad Osobitą, przychodzi nie podmuch, ale z rykiem i wyciem wielki szturchaniec na dolinę, i naraz zjawia się dziwny obraz: zdaje się, że zmienił się kierunek siły przyciągania: wszystko pionowe nachyliło się; ugięły się stare pnie jaworów i brzoźtów, czarne gałęzie smreków przegięły się prawie wszystkie w jedną stronę, nakłonił się czub ciemny lasu, a wszystko się szamocze, gnie, pasuje, jak człowiek machający rękami w rozpacz. Klapnęły drzwi i okiennice, jęknęły w węglach domy, ulżyło, zda się, podwalinom, bo wiatr ujął i dźwignął budowlę; mieszkańcy wał na dachy żerdzie i skole¹⁾; z potoku rwie wicher wodę i chłapie na drogę. Naraz cisza, jak uciął siekierą: dom osiadł węglem na podwalinie, stęknąwszy, jak człowiek ze złamanem żebrą przy wdechu; zakolęchały się dźwierze²⁾ i okiennice, sprościły pnie drzew, wróciły na swoje miejsce konarze smreków i słyszeć tylko dudnienie i szum, jakby tysiąca fal morskich, i narzekanie wzburzonego potoku, i widać grzywę bestji czarnej, czolgającej granią Tatr, jeszcze bardziej rozczochraną, rozwianą w wielkie kudły, zwiane w górę i na wschód, w wielkiem szamotaniu i miotaniu obrywane co chwila, a strzępy lecą w górę i toną, jak wata hygroskopijna³⁾ w wodzie, nikać bez śladu. Zapadł mrok nocy, dmuchnięcia i szturchańce przychodzą coraz częściej i trwają dłużej; świat cały wpadł w konwulsje nierównicy⁴⁾; gazdowie nie rozbierają się do snu; baby nie warzą wieczerzy, krowy i owce niespokojne, stłoczone na środku szopy. Bo wiatr halny to nie przelewki. Na Gładkiej przesunął cały dom o parę stajen; na Karpielewce dźwignął lipową ścianę tak, że wylekli mieszkańcy, z duszą

¹⁾ Skole—kamienie, skały. ²⁾ Drzwi. ³⁾ Oczyszczona chemicznie. ⁴⁾ Nierównica—epilepsja, wielka choroba.

na ramieniu, szparą pod spodkiem ujrzeni podwórze;
to znowu zdjął dach z izby i prasnął o ziem, zostawia-
jąc ludzi w łózkach pod gołem niebem; to rozdarłszy
ścianę szopy, część górną dźwignął; trzeba trafu, że
koń przez szparę wyścibił łeb: wicher szparę zawarł
ścianą, jak olbrzymią żuchwą¹⁾, i odkrajał głowę ko-
niowi. Lecz choć w trwodze, każdy cieszy się z wiatru:
on otwiera na ścieżaj wierzeje ciepła. Czego słońce
nie mogło dokonać tygodniami, ten gorący oddech
dokaże w ciągu jednej nocy. I oto z rana już widać,
że poginęły lukry lodowe na wirchach, przetajały
zasy po żlebach¹⁾, a popęczniały potoki. Stara
baśń ludowa o mocy trzech potęg: Słońca, Mrozu i
Wiatru, z pomiędzy których miał chłop oddać się naj-
mocniejszemu, okazuje się prawdziwą: wiatr prze-
wziął wszystko, reszty dokonało czerwcowe słońce.

Władysław Matlakowski.

Lekarz, uczony i artysta, zm. 1895 r.

Wybierz porównania i uosobienia.

Wytłumacz wyrazy: wirch, żleb, kosodrzewina, skole, grań,
dźwierze.

44. Ulewa.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,

Na sinej ich krawędzi,

Króluje w mgłach świszczący wiatr

I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,

I rosę z chmur wyciska, —

A strugi wód z wilgotnych paszcz

Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór

Zasłony spadły sine,

¹⁾ Szczęką. ²⁾ Żleb—koryto skalne, wgłębienie.

W deszczowych łzach granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic: — błękitów tło
I całe widnokręgi

Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień, i noc, i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany —
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz, i świszcze wiatr,
Głośniejszy potok gniewa,
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr
Dokoła grzmi ulewa.

El...y. (Adam Asnyk).

Co to znaczy *rym*? Które wiersze w *strof*ce tutaj rymują się
z sobą? Co znaczy *rytm*? Policz ilość sylab w każdym wierszu.

45. Widzenie górala.

Wojtek Samek z Zakopanego, zacięty strzelec na
niedźwiedzie, miał raz prawdziwe widzenie, po któ-
rem powiadali, że choćby był zły, do nieba pójdzie,
gdy mu Pan Bóg taką rzecz za życia ujrzyć pozwolił;
ale on zły nie był.

Nieszczęście chciało, że, wybrawszy się z dwoma
towarzyszami w Mięguszwieckiej dolinie świszta-
ryć, natrafił tam na siedmiu strzelców liptowskich i
dostał kulą w bok. Nie byłby on jej dostał, bo mieli
czas uciekać, i dwaj jego towarzysze uciekli, ale wo-
jenna dusza Wojtka nie chciała ustąpić z placu bez
strzału i bez okazania Liptakom, że oni syćka dzia-
dy, a Polacy hłopy — i zatrzymał się, by nohrubse-

go wziąć na cel. Bóg jednak nie pobłogosławił, bo strzelba nie wypaliła, czy proch na panewce zamókł, czy co, a natomiast jeden z liptowskich strzelców wpakował mu kulę pod żebra. Z nią ustąpił Samek z pola, świadomy, że ustępuje honornie, i przeszedł, ciekąc krwią, Mieguszwiecką przełęcz, przeszedł od Rybiego het popod Wołoszyn, nie jedząc i nie pijąc, bo nie było co, wszystko bowiem przy świstaczey jamie zostało, aż go nareszcie za Waksmundzką na perci¹⁾ znużenie zmogło, i o to tylko duszy swojej prosił, aby zeń nie uciekła, nim się do zbójeckiej chałupy dobieje. Tam też padł na cetynę¹⁾ po ostatniem czyjemś legowisku, zbójników albo strzelców, i został.

Wtedy — ale Boże hroń od gorącki z rany, ino z Boskiego dopuszczenia, dało mu się widzieć, czego żaden góral nigdy nie widział.

Słaby był tak od upływu krwi, że ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł, gdy nagle zdało mu się — a było to po zachodzie słońca, ciemnowo, bo mglisty był dzień i padał deszcz — że się jakiś cień pojawił we drzwiach, choć były zamknięte, a zarazem potem drugi. Jeden stanął po lewej stronie drzwi, drugi po prawej.

— Śmierć — pomyślał Wojtek — ale na kigozby djaska dwie przisły, dy jedna całemu światu, królom, biskupom i dochtom, nie dopiro hłopu poradzi? anik tyz tego nie słyszał, coby dwie jakie śmierci były, abo coby we dwók osobak hodziela...

Ale się zaraz dorozumiał, kto to przyszedł, bo ten cień, co na lewo przy drzwiach stał, powiada: — Duso ludzka, podź ku mnie.

A ten głos był taki, jakby kto na niesmarowanej osi zgrzypiał.

¹⁾ Perć — ścieżka górską. ²⁾ Cetyna — igły sosnowe lub świerkowe i drobne gałązki.

— Oho! — pomyślał Wojtek i wzdrygnął się. — Dy to djabeł, a to drugie pewnie śmierć, abo jaki pomocnik.

Ale w tej chwili odezwał się ten cień, co po prawej stronie drzwi stał: — Duso ludzka, podź ku mnie.

A ten głos był tak, jak sygnaturka w kościele.

Uradował się tedy Samek, bo poznał, że to nie pomocnik djabelski, ani nie śmierć, gdyż coby takiego pięknego głosu nie mieli. A i to cieszyło, że się cień ten wydawał o wiele jaśniejszym, niż drugi. Wpa-trzył się w nie dobrze Samek, oczy on miał bystre, strzeleckie, i rozeznął wielkie skrzydła nad jednego głową i nad drugiego, ale ten jaśniejszy miał takie, jak jaskółcze, a ten drugi takie, jak nietoperz. Wiedział już Samek, że to anioł i djabeł.

— Przišli po mojom duse — mówił do siebie. — Ktoz tu będzie mocniejszy?

Djabeł powiada: — Duso ludzka — mojaś!

A anioł zaraz: — Nie twoja, bo moja!

— Moja!

— Nie twoja!

Zaczęli się wadzić.

— Kradł! — powiada djabeł.

— Złodziejstwo hłopska rzecz. Nie ukradnie ten, co nie potrafi — odpowiedział mu anioł.

— Pił!

— To za swoje! Cyś mu pozyczał?

— Nie spowiadał się już coś ze trzy roki.

— To ksiendzowa sprawa, nie twoja. Jest hań plebon w Hohołowie od tego.

— Kie sie ozezłości, klnie.

— E, to na tobie! Dobrze robi.

— Świętym nie dowierz.

— Taj tyz i oni jemu. Wiem dobrze, bo my towarzysia, a tyś ku nim za podogonie!

Zgniewał się djabeł na to, rusza ku Wojtkowi ode drzwi.

— Podź, duso ludzka! Bierem cie! — zgrzypi i widły skądś z za siebie wziął i mierzy ku Samkowi.

A anioł do niego: — E beskurcyjo! Sto djabłów zjadło! Cozby jo za janiół był, cobyk ci haw rady nie doł!

I łap za widły ręką.

— Było sie cemu przypatrzeć — opowiadał Samek — bo choć janiół był, widno po nim, bucny, ale djabeł tyz nie słaby. Co sie ten z widłami siepnie¹⁾ ku mnie, to go zaś drugi zatrzymie. Ino mi to dziwno było, ze nijakiego hałasu nie robili. Gadać gadali tak po ludzku, ale coby udrypcili, to juz nie. Nic slyhno nie było. — Nakoniec anioł wydarł djabłowi widły i wyrzucił przez dach do pola — śladu w deskach nie było, tylko sie trochę zasmędziły²⁾ — a wtedy sie djabeł zwyrtnął i buch we drzwi. Uciekł.

— No, duso ludzka — rzekł teraz anioł do Samka — wybronilek cie.

— Bóg ci tyz zapłacić, janiółecku — odpowiedział Samek.

— Jakoz, Wojtek? Fces iść se mnom do nieba?

Poskrobał się Samek poza uchem, bo mu się jeszcze nie chciało ze świata schodzić, miał dopiero pod pięćdziesiąt lat, a głównie żal mu było tego niedźwiedzia z białą okową na szyi, co w Ciemnych Smreczynach siedział, i wesela u Sobczaków pod Gubałówką, na które proszony był, a tu takiej osobie nie rzecz się sprzeciwiać. Skrobie się więc za uchem i mówi: — E, cobyście mi by telo zelzyli, cobyk ino hań ku jednemu niedźwiedziowi zaleciał — niekze ta juz to wesele u Sobczaków bedzie wase, jak nimoze inacyj być.

¹⁾ Siepnie — szarpnie. ²⁾ Zaswędziły.

Nie mówilek mu ta, jaki ten niedźwiedź, abo ka, bo co sie ta janiół na strzelectwie rozumi.

A on powiedział: — No, to niekze sie stanie według słowa twego. Ostońże jesce i idź na tego niedźwiedzia.

I wznioł się na skrzydłach i wyleciał przez dach.

— Anik sie go nie zdążył spytać, jak mu na imie, cy je Serafin, cy Herubin, cy jaki, anik mu nie podziękował, — wyjechało to bez dań w pole, ino migło.

Ale ta widać inacyj Pon Bóg umyślił, jak on se mnom ukwalował, bok i tego niedźwiedzia zabił, ino mnie po tej kuli popuściło, i na weseluk był, i dotykcos zyjem, i moze jesce bedem żył nie jeden rok, ani nie dwa.

Kazimierz Przerwa Tetmajer.

(„Na Skalnem Podhalu”).

Język, którym mówił Wojtek z duchami, to — narzecze Podhalan. Zwróć uwagę na pisownię zgodną z wymową górali.

Czy wszyscy jednakowo wyobrażają sobie anioła? Czyje wyobrażenie maluje to opowiadanie?

46. Dziwożony¹⁾.

Strzeżcie się, o matki!

Tulcie wasze dziatki;

Pod okienkiem mara

O zdobycz się stara:

Czapeczka czerwona,

Kosa rozpuszczona —

Ach! to Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,

A jak wiatr pierzchliwa,

Podsunie się skrycie,

Ukradnie wam dziecię

I zniknie zdradziecko.

O matko! strzeż dziecko —

Czyha Dziwo-żona.

Góralko nadobna!

Nie biegaj z osobna

W zarosłej ustroni,

Strach stracha tam goni;

Czapeczka czerwona,

Kosa rozpuszczona —

Ach! to Dziwo-żona!

Jako śmierć złośliwa,

A jak wiatr pierzchliwa,

Pochwyci cię w lesie,

Pod ziemię zaniesie;

Bez Tatrów, bez słońca

Zostaniesz do końca,

Jako Dziwo-żona.

¹⁾ Mają to być istoty brzydkie i złośliwe, żyjące w Tatrach.

Niebogo! sieroto!
 Włosy ci rozplotą,
 Czapeczkę nasadzą,
 Słodyczkę jeść dadzą;
 Dla twego serduszka
 Za družkę, za družka
 Będą Dziwo-żony.

Dziewczę, biada tobie!
 Ty przed śmiercią w grobie.
 Tańczą z tobą mary,
 Twe hale — pieczary;
 Jak Krywań wysoki,
 Tak twój świat głęboki,
 Skoroś Dziwo-żoną.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
 Co świat Dziwo-żon nawiedzić mogą;
 Alabastrowe wszystkie opoki,
 Najdroższy kamień leży pod nogą;
 Wszystkie tam wody płyną kryształem;
 Każda kropelka spada perelką;
 Mosty ze złota, w państwie ich całem,
 A z dyjamentu każde światelko.
 Wielkie pod niebo są nasze skały;
 Perłami rosy toczą się nasze
 Jasne potoki, jako kryształy —
 A jak noc świeże bory i pasze.
 Bo u Dziwo-żon nasz kraj się kluje,
 Bo u nich każdy zdroj się poczyną,
 Bo je wypieszcza, bo im wartuje,
 Dzika, podziemna, lecz hal rodzina.

Seweryn Goszczyński.

Poeta polski, współczesny Mickiewiczowi.

Wybierz apostrofy, porównania i przenośnie.

47. Krasnoludek.

W pewnem dużem mieście, na lichem poddaszu
 mieszkał prawdziwy student; prawdziwy—to zna-
 czy, że był ubogi i kochał naukę. Na dole w tym
 samym domu mieszkał prawdziwy kupiec; a tu praw-
 dziwy—znaczy, że posiadał sklep duży, pełen dobrego
 towaru, i dom, który był także jego własnością.

Złym ludziom krasnoludki pomagać nie lubią, a
 nawet często szkodzą, aby ich ukarać; nie mieszkają
 też u nich. Dlatego stały pobyt krasnoludka szczę-
 ście i zaszczyt przynosi domowi, bo zarazem świad-
 czy o jego zacności.

Nasz krasnoludek zamieszkał u kupca, bo tu było
 wygodnie, ciepło i dostatnio, a każdego roku na gwiazd-
 kę zastawiano dla niego w sklepie na czyściutkiej
 serwecie całą miseczkę miodu i osełkę najlepszego,
 świeżutkiego masła. Stać było na to kupca, ale kra-
 snoludek umiał cenić tę pamięć i trzymać się sklepu,
 sumiennie chroniąc od zniszczenia, co w nim było
 najdroższego.

Raz wieczorem wszedł student tylnymi drzwiami
 od podwórza, aby sobie kupić świecę i kawałek sera.
 Zabrał sprawunki, zapłacił, a kupiec i kupcowa skinęli
 mu życzliwie na dobranoc. Było to bardzo uprzejmie
 z ich strony, gdyż kupiec miał sklep własny, i dom
 cały należał do niego, a kupcowa posiadała jeszcze
 dar wymowy!

Student uklonił się też bardzo grzecznie i szedł
 ku drzwiom, lecz stanął i zaczął uważnie czytać kart-
 kę papieru, w którą mu ser zawinięto. Była to kart-
 ta z bardzo starej książki, której ludzie nie powinni
 byli niszczyć, gdyż zawierała prawdziwą poezję.

— Mam tego więcej—odezwał się kupiec—jakaś
 staruszka przyniosła mi cały zeszyt tych kartek za
 odrobinę kawy; daj mi pan kilka groszy, a oddam ci
 resztę.

— O tak!—zawołał student—nie mam wprawdzie
 pieniędzy, lecz daj mi pan te kartki zamiast sera. Wy-
 starczy mi chleb na wieczerzę. Grzechem byłoby zni-
 szczyć taką książkę. Jesteś pan dobrym kupcem i
 zacnym człowiekiem, lecz na poezji znasz się chyba
 tyle, co ta stara beczka od papierów w kącie.

Było to powiedziane niezbyt grzecznie, szczególnie względem beczki, która mogła się obrazić, ale kupiec się rozśmiał, i student śmiał się także—przebież to tylko żarty.

Krasnoludek jednak oburzył się, że biedny student, który nie ma kawałka sera na wieczkę, śmie mówić podobne rzeczy człowiekowi, mającemu w sklepie śmietankowe masło i tyle nieporównanych przyśmaków.

To też, gdy noc nadeszła, sklep zamknięto, i wszyscy spokojnie zasnęli, wyszedł krasnoludek ze swojej kryjówki, udał się do sypialnego pokoju i wziął od pani dar wymowy. We śnie go wcale nie potrzebowała, a on mógł po kolei obdarzyć nim różne przedmioty.

Dzisiaj najpierw oddał dar wymowy beczce, w której mieściły się stare gazety.

— Czy to prawda—zapytał—że nie wiesz, co znaczy poezja?

— Jeszczebym tego nawet nie wiedziała!—odrzekła beczka.—Poezja to jest przecież to, co tak nierównie drukują zawsze u spodu w gazetach, a niekiedy wycinają potem nożyczkami. Ale to bardzo rzadko, i mogę cię zapewnić, iż więcej poezji znajduje się we mnie w tej chwili, niż w tym dumnym studencie. A przecież ja jestem tylko ubogą beczką w porównaniu z naszym panem, zamożnym kupcem!

— No, teraz mogę śmiało odpowiedzieć studentowi—rzekł do siebie krasnoludek i, nie zwłószcząc ani chwili, wymknął się na schody, na strych prowadzące.

W lichej izdebce świeciło się jeszcze, krasnoludek zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył, że student czyta podartą książkę, którą nabył w sklepie za kawałek sera.

Ale jakże tu jasność koło niego! Olśniewający promień tryska z kartek książki, niby pień drzewa, roz-

wija się w górze na tysiące gałęzi nad głową studenta, a każdy listek na nich pełen cudownego blasku, a kwiat każdy—jak śliczna żyjąca twarz dziecka dziewczęcy, bohatera, a owoc—to gwiazda. I wszystko śpiewa, dzwoni jakąś pieśnią nadziemską, której dźwięki płyną, jak słodka muzyka.

O takiej wspaniałości nie śniło się nawet nigdy krasnoludkowi, nie byłby uwierzył, że coś podobnego można zobaczyć na świecie, a tymczasem tutaj—w ubogiej izdebce...

Patrzył i patrzył przez dziurkę od klucza, wspinając się na palce i nie mogąc pojąć, ani nacieszyć się taką pięknoscą.

Nakoniec światło zgasło. Może student zamknął książkę, a może mu się świeca wypaliła, i poszedł spać. Krasnoludek jednakże nie odchodził od dziurki, gdyż cudowne pieśni i nadziemska muzyka brzmiały w izdebce ciągle, niby Boska kołysanka dla wybranego ducha.

— Nie przeczuwałem nawet, że tu takie czary!—szepnął wreszcie maleńki.—Mógłbym się tu przenieść i zamieszkać zupełnie...

Zaczął myśleć o tem, gdyż był istotą rozważną i mądrą. Nakoniec westchnął.

— A miód!—szepnął ze smutkiem.—Do jedzenia nie tu niema.

I zszedł po schodach napowrót do kupca.

W samą porę powrócił, gdyż niewstrzeżliwa beczka byłaby zupełnie zużyła dar wymowy pani kupcowej. Wygadała już wszystko, co się w niej mieściło, zaczynając od wierzchu, a teraz właśnie zamierzała powtórzyć jeszcze to samo na nowo, zaczynając od spodu. Krasnoludek spieszenie odjął jej wymowę i zwrócił pani kupcowej, w której ustach mogła wypocząć do rana.

Odtąd krasnoludek, skoro tylko błysnęło światło w oknie na górze, spieszył do dziurki od klucza, jak gdyby go kto ciągnął na łańcuchu. Tam ogarniało go dziwne uczucie wielkości i potęgi, jakby widział Boga samego, wśród burzy stąpającego po morskich bałwanach.

I zapominał, gdzie jest i co widzi, lzy płynęły mu z oczu, a serce wzbierało uczuciem dziwnie słodkiem i radosnem. Jakiemże szczęściem byłoby dla niego usiąść obok studenta pod drzewem jasności i widzieć, co on widzi, i czuć, co on czuje! Lecz tego mu nie wolno: on przyjął gospodę u kupca, tam jego miejsce a tu może tylko patrzeć zdaleka, przez dziurkę od klucza.

Nadeszła jesień,—w jesieni było bardzo zimno, wiatr wdzierał się przez szpary i ciał krasnoludka jak ostrym nożem,—lecz on czuł ból i zimno dopiero wtedy, gdy zagasło światło w lichej izdebce, gdy ucichły pieśni, które mu zabierały całą duszę.

Hu! wtedy czuł, że zimno! Kurczył się we czworo i ostrożnie suwał się znowu po schodach do ciepłego swego kącika. Tutaj było przyjemnie i wygodnie, tu mógł się wyprostować, ogrzać zziębnięte nogi!

A kiedy przyszło Boże Narodzenie, w sklepie, przy kasie, na czystej serwecie stała miseczka miodu i oselka masła. To mi kolęda—na rok wystarczy do śpiżarni!

Kupiec był znowu górą w sercu krasnoludka.

Pewnej nocy obudził go hałas okropny: stukano w okiennice bez delikatności, stróż nocny trąbił, uderzono w dzwony, rozległo się wołanie:—Gore! gore!

Wszyscy zerwali się ze snu strwożeni.—Gore? Gdzie gore?—Dom sąsiada się pali!

Pani kupcowa tak się przestraszyła, że wyjęła z uszu co prędzej kolczyki, aby schować je do kieszeni.

Kupiec wybierał ważniejsze papiery; służąca ratowała jedwabną mantylkę, którą za ostatnie zasługi kupiła: każdy najdroższą rzecz pragnął ocalić.

Krasnoludek podskoczył czempredzej w górę, do izdebki studenta, który stał spokojnie w otwartym oknie i patrzył na ogień, szalejący w domu sąsiada. Niech sobie patrzy,—on pochwycił książkę, która leżała otwarta na stole, schował do swojej czerwonej czapeczki i trzymał mocno oburącz na głowie.

Teraz niech reszta spłonie: skarb najdroższy uratowany i nie zginie, póki żyje opiekuńczy duch tego domostwa, mały krasnoludek. On go w niebezpieczeństwie uchronić potrafi, oho! już jest na dachu, siedzi na kominie i, przyciskając mocno czerwoną czapeczkę, patrzy na dom płonący.

I tak siedział, dopóki nie ugaszono ognia. W tej chwili wiedział dobrze, co najbardziej kocha, co mu jest tutaj najdroższem na świecie, komu służy, — o, wiedział!...

Ale kiedy ogień ugaszono, wrócił do rozsądku. Tak, to jest bardzo piękne i bardzo drogie—ale...

— Muszę służyć im obu—rzekł nakoniec.—Zupełnie kupca porzucić nie mogę, przez wzgląd na miód i masło!

H. Andersen.

Poeta duński wieku XIX-go.

Jakiego człowieka oznacza ten krasnoludek? Wskaż ustępy, w których jest humor,—ironja,—uczucie.

Co znaczyó: dwom panom służyć? na dwóch stołkach siedzieć? Czy jest szczęśliwy człowiek, który nie może wszystkiemi siłami służyć temu, co kocha?

48. Młynarz, syn jego i osioł.

Nie wiem, gdzie ja to czytał, ale mniejsza o to.

Miał jeden młynarz osła; tak zmęczył robotą,

Iż, nie wiedząc, co robić,

Wolał sprzedać, niż dobić.

Woła syna wyrostka, co go w domu chował,
I rzecze:—Żeby się nasz osieł nie zmordował

W długiej drogi przeciagu,

Zanieśmy go na dragu. —

Dźwiga stary i stęka, chłopiec jeszcze gorzej.

Im szli dalej, im szli sporzej,

Tem srożej trud uciemiażał,

Tembardziej im osieł ciężał.

Gdy to spostrzegli,

Ludzie się zbiegli,

Śmiechy się wzniosły:

—Wzdyc to trzy osły!

A ten najmniejszy, co jest na dragu.

Niekontent młynarz z zaciagu

Rozumu się poradził,

Syna na osła wsadził.

Aż pierwsi, co napotkał, nuż gniewać się o to:

—Ty na osle, niecnoto! —

Rzekli do chłopca — a stary pieszo!

Więc do kijów gdy się spieszą,

Aby ich złość nie uniosła,

Zsadził syna, siadł na osła.

Przechodziły dziewczęta, mówi jedna drugiej:

—Patrz, biedny chłopiec, jak do wysługi

Ten stary go używał

Dziecię z pracy omdlewa,

A dziad niemiłosierny

Pieszgo go iść przymusza! —

To starego gdy wzrusza,

Wsadził chłopca za siebie.

Że dogodził w potrzebie,

Jedzie, kontent z wynalazku.

Ledwo co wyjechał z lasku,

Znowu krzyk: — Jacy to głupi!

A kto od nich osła kupi?

Podróżą go udęcą,

Ciężarem go zameczą:

Chyba skórę sprzedadzą.

—Nieźle oni coś radzą —

Rzekł młynarz — chociaż i łają —

Więc z synem z osła zsiadają.

Aż znowu mówią przechodnie:

—A któż widział to, aby wygodnie

Osieł szedł wolno, a młynarz za nim?

Wybacz, bracie, że cię ganim,

Każdy z ciebie śmiać się będzie,

Jak się nie poprawisz w błędzie.

—Nie poprawię—rzekł młynarz—dość przymówek
[zniosłem.

Chciałem wszystkim dogodzić i w tem byłem osłem.

Odtąd, czy kto pochwali, czy mnie będzie winił,

Nie będę dbał nic o to: co chcę, będę czynił.—

Co rzekł, to się ziściło,

I dobrze mu z tem było.

Ignacy Krasicki.

Zrobić rozkład.

Jeszcze się ten nie urodził, co by wszystkim dogodził.

49. Księżę Józef i dzieci polskie.

Smutny, pelen gorzkich, niepokojących uczuć
jechał Poniatowski na czele swego korpusu, wezwany
rozkazem cesarskim z Mohylowa pod Smoleńsk.

Zachodziło przed nim słońce szeroką, ogromną
falą koło kręgu. W czerwieni niebios tonęła przed
nim kula słońca, złotoognista, za brzożami różowemi
i sinoponsowemi, schodziła wolno, w bezmierność.
Spokojna, pusta równie wchłaniała w siebie słońce
płomienne i wojsko błyszczące, które prowadził.
Zda się, za skraj ziemi, w otchłań płomieni.

Las na widnokręgu, od boku, palił się zorzą za-

chodu, w sreżodze purpurowej malował się taśmą olbrzymią—bez końca.

Poniatowski odwrócił głowę. Był sam. Dywizja kawalerji ciągnęła za nim powoli na zmęczonych koniach. Za kępą drzew, w pustce rzuconych, zabiełił się dwór, pobok wsi jakiejś stojący. Nie zwracając uwagi pod ogród mimo jechał książę.

Wtem z za parkanu ogrodu wychyliły się dwie różowe główki dziecinne, potem trzecia, znikły i znów wychyliły się ciekawe i zastraszone.

— Dzień dobry!—zawołał Poniatowski.

Główki znikły, jak ścięte, lecz znów się pokazały, z mniej przerażeniami oczyma.

— Swój! Polak!—wołał książę.

— Polak?—zapytał najstarszy chłopczyk.

— Polak.

— Nie Niemiec?

— Ani nic podobnego? — dodała dziewczynka.

— Nic, nic podobnego—roześmiał się książę.

Jest tatuś w domu?

Chłopczyk zawahał się, ale odpowiedział po chwili:

— Jest.

— A mamusia?

— I mamusia.

— I dziadzio, i babcia, i ciocia Bolesia, i mademoiselle. Piją kawę—dodała dziewczynka.

— Pobiegnijcie do tatusia i zapytajcie, czy hrabia Potocki, szef brygady księcia Józefa Poniatowskiego, który tu z wojskiem nadciąga, może odpocząć chwilę i czy kawy dostanie?

— Dobrze! Zaraz!—odpowiedział chłopczyk.

— Ach! To pan jest z wojska księcia Poniatowskiego!—zawołała dziewczynka.

— Pan jest z wojsta tsięcia Poniatowstiego! — powtórzył najmłodszy chłopczyk.

I wszystko troje pobiegli od parkanu wewnątrz ogrodu ku białemu dworowi.

Książę patrzył za nimi: starszy chłopczyk mógł mieć lat dziesięć, dziewczynka dziewięć, młodszy pięć.

Poniatowski podjechał powoli ku bramie podwórze. Stał w niej już średniego wieku szlachcic z wyłem przy nodze, w kapocie szaraczkowej.

— Mam honor adjutanta jego książęcej mości witać?—ozwał się serdecznie.

— Potocki—odpowiedział książę.—Pozwól waszmość pan, że się zaprosi na kawę.

— Sercem całem! Sercem całem! — odrzekł szlachcic. — Proszę!

Wjechał Poniatowski w bramę, konia mu parobek wziął, a on sam, przez pana domu zaprowadzony, do jadalnego pokoju wszedł, gdzie cała rodzina przy kawie zgromadzona siedziała. Pani, dwoje siwowłosych staruszków i młoda panna. Za krzesłem matki stały dzieci. Wszyscy byli wzruszeni zapowiedzianym gościem i powstał na powitanie.

— Jaśnie wielmożny hrabia Potocki, szef brygady korpusu księcia Poniatowskiego — rekomendował szlachcic.

— Mości panie hrabio — rzekła, podchodząc ku niemu, pani domu—szczęście to dla nas. Prosimy.

— Pałasz, panie hrabio, choć na moment odepnij—podjął szlachcic.

— Dobrze.

Chciał szlachcic pałasz odpięty własnoręcznie w kącie postawić, ale już stał przy Poniatowskim najstarszy chłopczyk i błagalnie nań patrzył.

Więc Poniatowski odpiętą broń w ręce mu podał, a dziecko w obu rękach małych ją trzymało, rozpłomienione całe i czerwone, zawstydzone i wzruszone do głębi duszyczki.

— Tadziu, postaw—rzekł ojciec.

Chłopczyk spojrział na ojca z wyrzutem, wahał się sekunde, zaniósł pałasz w kąć i stanął przy nim.

Ojciec skinął nań ręką.

— Ja tu... ja tu... będę pilnował — powiedział chłopczyk cichutko drżącymi, jak do płaczu, ustami.

Poniatowski dosłyszał, uśmiechnął się doń, a chłopcykowi oczy się zaszkliły.

Podano księciu kawę, a tymczasem dziewczynka wyszła z pokoju. Opowiadał księżę, jak na rozkaz Bonapartego po siedem mil dziennie drugi już dzień robią w dwie dywizje piechoty, szesnastą Zajączka i osiemnastą Kniaziewicza, i w dywizję kawalerji, podczas gdy siedemnasta dywizja, Dąbrowskiego, z brygadą kawalerji pchnięta została rozkazem cesarskim na obserwację Bobrujska, oraz osłanianie Mińska, gdy pojawiła się przed nim dziewczynka z pękiem kwiatów, zerwanych w ogrodzie, świeżych i pachnących, róż, narcyzów, lewkonji i rezedy i położyła mu je z dygiem obok filizanki. Poniatowski cofającą się za rączkę wziął i pocałował.

— Charmée — powiedziała, dygając powtórnie.

Poniatowski pił kawę, jadł do niej świeżą, doskonałą babę, i pachniał mu ten polski dwór, cichy i spokojny. Wisiały na ścianach portrety przodków w kontuszach, zbrojach pancernych i mundurach z herbem „Orlą” w bokach portretów, na tle malowanem. Poznał księżę dwa mundury—jeden artyleryjski, drugi mundur lansjera, dwaj ludzie młodzi, a portrety czarną krepą obwiedzione.

— Polegli? — zapytał.

— Bracia moi młodszy—odpowiedział szlachcic.— Jeden pod Ulm, drugi pod Saragossą. Jeszcze tu i trzecią pamiątkę możemy pokazać. Bolesiu...

Bładowa, o smutnej twarzy, przystojna panna, siedząca naprzeciw, wyciągnęła z za gorsu medalion, otworzyła i podała księciu.

Poniatowski rzucił oczyma na miniaturę i rzekł:

— Tę twarz widziałem — ale tak! Ten młodzieniec stał obok mnie trzeci w szeregu, kiedy z kabinem prowadziłem pierwszy bataljon pierwszego pułku piechoty do ataku w lasu fałęckim. On padł...

Cała rodzina otaczała już księcia.

— Dzieci! Wnuki moje!—zawołał siwy starzec.— Patrzcie! Oto wódz z pod Raszyna!

A najmłodszy chłopczyk ukląkł i pocałował wodza w but zakurzony i, podniósłszy ku niemu obie rączki, wypowiedział z zachwytem:

— Tsiąże Józef Poniatowski!...

* * *

Wzruszony wyjechał Poniatowski za bramę białego dworu. W ciężkiej, gorzkiej służbie, gdy dla trwania przy Napoleonie, odrzuciwszy wszystko, co mu proponował cesarz Aleksander przez Sanguszkę, przez Czartoryskiego, przez pułkownika Tolla, co zdawało mu się spływać tęczowym potokiem pomysłności dla niego, złotym potokiem szczęścia dla kraju, w armii francuskiej narażony był na upokorzenia, lekceważenie, zaniedbanie i piekące wyrzuty cesarza, że o chleb dla wojska się upomina, kiedy o Polskę walczyć idzie, a plany jego pewne, zbawcze i niezawodne wywołania pożaru w dawnej Rusi polskiej Napoleon jednym zaprzeczeniem zniweczył; gdy duszę jego żarła zmora złych przeczuć i posępnych myśli: te dzieci polskie wyrosły przed nim, jak kwiaty na gruzami zapełnionej drodze. Ten chłopczyk tam, pałasza jego w kącie pilnujący, ta dziewczynka ze swoim wyuczonym dygiem i swoją papuzią francuszą

czyzną, ta polska panna dziewięcioletnia, serce mu swoje całe w różach, lewkonji i rezedzie na obrus koło serwety kładąca, ten pięcioletni entuzjasta, ten poeta z wulkanem malutkiego serduszka w piersi dziecięcej: śliczna godzina życia, lilja pamięci. — Księżę Józefie, ty dla nas, dla nas idziesz walczyć—mówiły te dzieci—my nie mamy rycerza naszych serc, daj nam dźwięk imienia, od którego zawsze zadzwonią nasze serca, jak od srebra czystego. Niech imię twoje, Józefie Poniatowski, stanie się wzniosłą myślą naszych dusz. My chcemy być szlachetne, bądź nam wzorem. Pomnij, że wszystko można ludziom zabrać, lecz szlachetności duszy zabrać im nie można, i że udaje nieprzyjaciela, jeśli szlachetnością duszy pomiata. Pomnij, księżę Józefie Poniatowski, że jakakolwiek jeszcze przed nami dola, jakakolwiek tragedję bytu przyszłe nam wieki gotują: my chcemy mieć ciebie, jak naszą ukochaną gwiazdę na oczach, my, dzieci polskie, chcemy mieć swój ideał honoru, męstwa, bezinteresowności, pogardy wszystkiego, co niskie, miłości wszystkiego, co najwyższe, godności i bohaterstwa, niezłomności i ofiary, my, dzieci, współczesne tobie i te, co po tobie przyjdą, chcemy mieć w tobie rycerza myśli naszych bez trwogi i zmarznięcia. Pamiętaj o tem dziś, jutro i zawsze, i aż do końca, pierwsze ułanie Polski...

Według K. Tetmajera. („Koniec epopei”).

50. Śmierć słowika.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika;
Lecz chęć śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika. —

Och! niemasz tu cienia w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłonił
Och! niemasz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni! —
Och! niemasz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą —
Bo klatka lot cieśni.
Tu, zamiast wietrzyka, o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany;
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto ubrany;
Tu zamiast strumyka tłum, płynąc jak woda,
I tętni, i wrzeszczy;
Gdzie tutaj zacisze? gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczu?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi:
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.
Poczyzna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze,
Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyzna.
Wóz tętni po bruku... „O ja go przekrzyczę!”
Tak myśli ptaszyna.
I nutą wciąż wyżej a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniawszy swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.
Przypomniawszy swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;

Przypomniat serdeczne, długie rozhowory
Ze swoją jedyną —
Jak budząc się ze snu przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele,
I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czelel
„Przekrzyczę, prześpiwam niesforne te gwary,
„Pomimo hałasul
„Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!”
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmia krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekor w ulicznej ciasnocie
I ludniej i ludniej.
Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;
Pochwała tembardziej pierś jego rozdyma
I zapal rozżarza.
Niebacznyl twój tryumf oplacasz zbyt drogo:
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.
Słuchaczów, co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy,
Kto w dłonie zaklaśnie.
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszące,
Skrzydółka omdlały...
On tego nie czuje, bo w swojej piosence
Utopił się cały.
Całego słowika ogarnął szal pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej
Z sił swoich ostatka.

A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie, on sobie;
Aż pęknał od pienia gardziołek słowiczy
W ostatniej swej próbie.
Daremnie w drobnouchne skrzydełka szeleszcze,
Chwieje się i ślania;
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonaniam.
I ter, co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły;
A koło po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły!

Ludwik Kondratowicz.

Kogo może oznaczać ten słowik? Co to znaczy: alegorja?

51. Ranek w Łodzi.

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgiełkliwiej inne i darły się chrapliwymi, niesfornymi głosami, niby chór potwornych kogutów, piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje-kominy majaczyły w nocy, w mgle i deszczu,—budziły się zwolna, buchwały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, mrocowy deszcz, pomieszany ze śniegiem, padał wciąż i rozwlóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grząskiego

blota, na nagie drzewa, przytulone do murów długich, drżące z zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiekłych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto, i szumiał między gałęziami drzew niskiego, parterowego domu.

Nagle świstawki rozległy się i ryczały przez kilkanaście sekund z taką siłą, aż szyby brzęczały w oknach.

Tysiące robotników, niby ciche czarne roje, wypełzły nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta, niby wielkie śmietniska, i napłynęły Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek, błyszczących w świetle latarni suchym stukiem drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym, oraz chlupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, wypełniali trotuary, człapali się środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani zwolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistymi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyły się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podpierać i jakby chwiały się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza, pełna chlupotu deszczu

i coraz cichszych poświstywań wiatru, rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzieś w jakimś okienku na poddaszu, lub w suterrenach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistym, a za oknami fabryk rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Wł. Reymont. („Ziemia Obiecana”).

Co wiesz o Łodzi? Kto stanowi największą część mieszkańców? Porównaj życie robotnika fabrycznego i wieśniaka.—Wy-mień przyjemne i dobre strony życia na wsi i w mieście.

Znajdź wyrazy podobnego znaczenia (synonimy) do: zgiełk, praca, rój, kolumna, potężny, sylwetka.

52. Poranek w puszczy.

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła; w powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zalanych rosą, świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwiniętych. Nad strumieniami, wezbranymi jeszcze resztą wiosennej powodzi, złociły się lotociele¹⁾, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza, tylko ptactwo zaczęło się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywać się z noclegów... Już słyhać było świergot i świsty i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko ponad chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczu na polankę... popatrzało czar-

¹⁾ Lotociec—kaczeniec (gatunek jaskru).

nemi oczyma i pierzchnęło... Zatętniało za niemi — cicho znowu.

Z drugiej strony słyhać łamiące się gałęzie, zaszleścił łoś rogaty, wyrzał, podniósł słowę, powietrze pociągnął chrapami—zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad... I znowu słyhać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóz zaświeciło oczu dwoje— wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy, pierzchnął przelekły zając, skoczył kilka razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko zdala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły. Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańców puszczy rozeznac mogło szmer brzozy z listki młodymi, drzenie osiczyzny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, skrzyp sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy, i głośniejsze coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśń poranną.

Szare zrazu niebo błękitniało u góry, poślacało się u dołu; obłoczki białe, jak z rąbka obsłonki pościeli rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków, roztopiające się w dnia blasku. Nad strumieniami, jak dymy ofiarne, zakipiwały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniło, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków—wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki—wracało życie.

W promieniach wirowały, uwijały się, kręciły nie-

cierpliwie skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocząc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się zdala, dziecięcy-kowale już kuły drzewa.

Był dzień... J. I. Kraszewski. („Stara Baśń”).

Czy to poezja, czy proza? Dlaczego? Jaka jest różnica między porankiem na wsi a w mieście? Czy dzieła człowieka i jego siedziby zdobią kiedy naturę?

53. Ranek w górach.

Wyzłoczone słońcem szczyty

Już różowo w górze płoną,

I pogodnie lśnią błękity

Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy, skryte w cieniu,

Toną jeszcze w mgłę perłowej,

Co w porannem oświeceniu

Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,

I ta rwie się w chmuręk stada...

Jak pajęcza wiotka przędza

Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony

Świat przegląda coraz szerzej,

Z nocnych cichych snów zbudzony,

Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła,

Pod perlistą, bujną rosą;

Świerki, trawy, mchy i zioła

Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,

Coraz głębiej oko tonie;

Cudowności świat się piętrzy

W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
 I swem łonem świecą czystem,
 W granitowej świecą bieli
 W tem powietrzu przezroczysem.
 Każdy zakręt, każdy załom
 Wyskakuje żywy, dumny;
 Słońce dało życie skałom,
 Rzeźbiąc światłem ich kolumny.
 Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
 Wszystką w oczach przeistacza;
 Gra przelotnych barw i cieni
 Coraz szerszy krąg zatacza.
 Już zdrój srebrną pianą bryzga,
 Gdy po ostrych głazach warczy;
 Już się żywszy odbłask ślizga
 Po jeziorach sieniej tarczy, —
 Już pokrajał rąbek lasu;
 Już się wdzięczy i uśmiecha
 Brzeg doliny — a z szaleasu
 Dolatują śpiewne echa...
 Przez zielone łąk kobierce,
 Dzwoniąc, idą paść się trzody...
 Jakaś rozkosz spływa w serce,
 Powiew szczęścia i swobody.
 Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
 I powietrze chciwie chwyta;
 Dusza wybiedz chce oczyma,
 Upojona, a niesyta —
 Niby lecieć chce skrzydlata,
 Obudzona jak z zaklęcia,
 I tę całą piękność świata
 Chce uchwycić w swe objęcia.

Adam Asnyk.

54. Uczniowie-robotnicy.

Z dziennika chłopca.

25, niedziela.

Wszyscy razem poszliśmy do teatru Wiktora Emanuela na uroczystość rozdania nagród dorosłym robotnikom, którzy uczęszczali do szkoły wieczornej.

Teatr był przystrojony wspaniale i po brzegi pełny, ale prawie samych rodzin robotniczych. Scena zaś zajęta była przez uczniów i uczennice szkoły śpiewu; śpiewali oni hymn, poświęcony pamięci rodaków, poległych w Krymie, tak piękny, że po skończeniu go cała publiczność wstała, klaszcząc i krzycząc, a chór musiał jeszcze raz ten hymn odśpiewać.

Zaraz potem ci, którzy byli przedstawieni do nagród, zaczęli kolejno zbliżać się do prefekta i innych panów i dostawali książki, książeczki kasy oszczędności, dyplomy i medale. W rogu sceny zobaczyłem mularczyka, siedzącego obok matki, a z drugiej strony naszego dyrektora. Szli najpierw uczniowie szkół wieczornych rysunkowych: złotnicy, snycerze, stolarze i murarze; uczniowie szkoły przemysłowej i szkoły muzycznej.

Nakoniec wystąpili uczniowie szkół wieczornych elementarnych — i to było najpiękniejsze.

Byli to ludzie wszelkiego wieku: mężczyźni z siwymi włosami, chłopcy z warsztatów, wyrobnicy z wielkimi czarnymi brodami.

Malcy mieli tęgą minę, ale mężczyźni byli trochę zakłopotani. Publiczność biła brawo najmłodszym i najstarszym, nikt się nie śmiał, wszystkie twarze były poważne i pełne skupionej uwagi. Wielu nagrodzonych miało żony i dzieci w parterze, więc kiedy które z tego drobiazgu zobaczyło, że ojciec przechodzi, wołało na niego głośno, albo pokazywało go rączką,

śmiejąc się z uciechy. Przechodzili i wieśniacy i posłańcy, był jeden czyściciel butów, którego mój ojciec zna: prefekt podał mu dyplom. Ale zaraz po nim zobaczyłem, że zbliża się ogromnie wysoki człowiek, olbrzym jakiś, i zdawało mi się, że ja go już kiedyś widziałem. Naturalnie, że go widział, bo to przecież był nie kto inny, tylko ojciec mularczyka! Dzielnym! Wziął drugą nagrodę! I tak mi się to przypomniało, kiedy go widział na poddaszu, przy łóżeczku chorego syna, że co rychlej zaczął oczyma szukać mularczyka w parterze. Biedny mularczyk! Patrzał w ojca błyszczącym wzrokiem, a żeby ukryć wzruszenie, zrobił prześliczny zajęczy pyszczek.

W tej chwili zaczęto klaskać. Spojrzałem na scenę: był tam mały kominiarczyk, z twarzą wymytą, ale w swej zwykłej odzieży od pracy. Po kominiarzystyku wystąpił kucharz, a po kucharzu miejski zamiatacz ulic, który dostał medal.

A ja tak coś czułem w sercu, jakbym tych wszystkich ludzi bardzo kochał i bardzo szanował. Bo tylko zastanowić się: ile te nagrody kosztowały tych robotników, ojców rodzin, skłopotanych, zmęczonych; ile pracy dodanej do ich pracy na chleb, ile godzin ujętych od snu, którego tak im potrzeba, a także ile wysiłków myśli, nienawykłej do nauki, i rąk zgrubiałych, zeszytniałych i namozolonych w trudzie.

Na zakończenie uczniowie szkół wieczornych odśpiewali ten sam hymn za poległych w Krymie, ale z takim zapalem, z takim uczuciem wprost z serca idącym, że ludzie wcale nie klaskali, tylko, wysłuchawszy śpiewu tego, stojąc jak do modlitwy, powoli i w milczeniu opuścili salę. Dopiero na ulicy zaroiło się to wszystko, jak w ulu. Przed wejściem do teatru stał kominiarczyk ze swoją czerwono oprawioną książką, a dokoła kilku panów, którzy z nim rozma-

wiali. Wiele osób pozdrowiało się głośno przez szeregi ulic, nauczyciele, chłopcy, robotnicy. Mój nauczyciel z drugiej wyszedł razem z dwoma artylerzystami. Pocieszenie było widzieć dzieci na rękach matek, trzymające w rączkach ojcowski dyplom i pokazujące go ludziom z wielką pychą.

Edmund Amicis. („Serce”).

Współczesny autor włoski.

Czy u nas są szkoły dla dorosłych? Czy dorośli robotnicy uczą się czego? Dlaczego się uczą? Jaki pożytek dla nich i dla społeczeństwa przynosi ta nauka?

55. Kiedy widzisz...

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła u ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy, złanej potem,
Odgadujesz dolę twardą —
Uchyl czoła, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi:
Lud i praca — to są siły,
A świat cały niemi stoil
Szanuj, drogie dziecię moje,
W małym ziarnku — przyszłe plony,
W małej kropliczce — przyszłe zdroje,
W szelagu — miliony.
W każdej myśli — zaród czynu,
Życie — w chwilce, co ucieka,
A sam w sobie szanuj, synu,
Przyszłego człowieka!

Marja Konopnicka.

Od czego zależy wartość człowieka dla społeczeństwa? Co to znaczy społeczeństwo i z czego się składa?

56. Równość.

Filip, król macedoński, zastawszy Djogenesa¹⁾ na cmentarzu, spytał go, co by tam robił? On rzekł: — Szukam kości twojego ojca, ale rozeznaczyć ich nie mogę, gdyż wszystkie, które tu znajduję, są jednakowe.

Jakie między ludźmi istnieją różnice: fizyczne, umysłowe, moralne, społeczne?

57. Ramię i głowa.

W północnych Indjach budowano kolej żelazną przez góry. Praca była ciężka, osobliwie na jednym dystansie, gdzie trzeba było wykopać w skałach wąwóz parę wiorst długi, a miejscami na cztery piętra głęboki.

Pracowało tutaj dwustu Indusów silnych, niezmeńczonych, uzbrojonych w najlepsze kilofy²⁾ i oskardy³⁾. Kamień jednak był tak mocny, że po upływie tygodnia narzędzia stępiły się albo połamały, ludzie zmęczeni się, a skutków roboty prawie nie było: zamiast wąwozu zamajaczyła ledwie bródka.

Indusi poczęli szemrać, więc dla uspokojenia ich obiecano — pomoc.

W kilka dni pomoc nadeszła. Był nią jakiś inżynier, naturalnie Anglik, któremu towarzyszyło kilku służących i kilkanaście osłów, objuczonych pakami. Wnet paki złożono na ziemi, osły powróciły tam, skąd przyszły, a inżynier rozbił namiot i pod groźbą surowych kar zabronił Indusom zbliżać się do swego obozu.

¹⁾ Djogenes — filozof Grecki z w. IV-go przed Chr. ²⁾ Rodzaj młota, z jednej strony ostro zakończony. ³⁾ Drag żelazny o jednym końcu ostrym.

Indusowie znowu wzięli się do kilofów, znowu zaczęli rąbać skałę przez dzień... dwa... tydzień... i znowu skutku nie było. A tymczasem inżynier nie robił nic. Albo siedział pod namiotem wśród szklanych i drewnianych naczyń, albo wychodził w góry ze służącym, który niósł jakieś paki. Kilofem jednak żaden z nich skały nie rąbał; niekiedy widziano ich klęczących albo leżących na ziemi. Taka była ich pomoc i praca!

Pewnego dnia Indusowie zbuntowali się ostatecznie: porzucili narzędzia i wezwali inżyniera, ażeby do nich przyszedł. Anglik usłuchał wezwania i kiedy stanął przed rozgniewaną gromadą kopaczy, najstarszy wystąpił z nich i rzekł:

— Musisz być mądry, jak wszyscy Anglicy, i zapewne chciałbyś nazywać się sprawiedliwym. Tymczasem patrz, jakie są twoje czyny. Podobno płacą ci po dziesięć rupji¹⁾ na dzień...

— Dwadzieścia! — wtrącił inżynier.

— Patrzaj? — zdziwił się kopacz. — A każdemu z nas płacą po osiem annasów²⁾ dziennie... Ty więc powinieneś pracować za dwudziestu kopaczy, a tymczasem nic nie robisz...

— Nie za dwudziestu, ale za dwustu 'dziennie pracuję — odparł inżynier.

Gromada wybuchła:

— On drwi z nas!

— Wypędzić go!

— Wysypia się próżniak w namiocie, albo w górach!

— Wynoś cię, pókiś cały! Bo jak zniecierpliwisz nas do reszty, z ciebie i twoich pak wióra nie zostanie.

¹⁾ Moneta srebrna, wartości około rubla. ²⁾ Drobną monetą.

Inżynier pokiwał głową i prosił oburzonych, aby zostawili go jeszcze przez dwa dni w spokoju.

Radzi nieradzi kopacze odeszli, rozmawiając między sobą: w jaki też sposób Anglik wywiąże się z obietnic? A on tymczasem po dawnemu albo bawił się z naczyniami szklanymi i drewnianymi w namiocie, albo ze służącym i kilku pakami szedł w góry i tam klęczał—czy leżał na ziemi... Wszyscy go dobrze widzieli, choć zdaleka.

W oznaczonym terminie inżynier zwołał wszystkich kopaczy w jedno miejsce i rzekł:

— Widzicie tamtą skałę?

— Widzimy! — odparł najstarszy kopacz.—Przecież mamy ją rozbić niby... Ale z tego nic nie będzie...

— A jak myślisz—zapytał inżynier—ile czasu byłoby wam potrzeba na rozbicie tej skały?

— Może rok... może dwa?... Czy ja wiem!... Ale my jej nie będziemy rozbijać.

— Ja ją rozbiję zaraz — odpowiedział inżynier.— Patrzcie.

— Bluźnił — odezwał się głos w tłumie.

— Warjat! — dodał drugi.

Wtem inżynier wziął w ręce dwa druty, zetknął je i... ze skały wybuchnął straszny dym i ogień... ziemia zadrżała... rozległ się huk, jak gdyby sto piorunów uderzyło...

Gromada kopaczów z krzykiem i jękiem upadła na ziemię... A gdy ucichło i przerażeni ludzie ośmielili się spojrzeć... skała znikła!...

— Cud! — zawołali jedni.

— Chwała potężnemu czarownikowi! — odezwali się inni.

Wtedy inżynier zwrócił się do nich i powiedział:

— Czy wart jestem dwudziestu rupji na dzień?

— Sto wart jesteś! — krzyknęli kopacze.

— A widzicie!... Jedna moja głowa więcej robi, aniżeli setka waszych ramion.

Indusowie rozeszli się zawstydzeni i przestraszeni, a najstarszy po długiej chwili rzekł:

— Kiedy nam zdawało się, że on leży, on wówczas pracował głową... bił głową o skałę...

— No i wybił!—dorzucił drugi. — Niech go nie znam!

— Bo i któżby zgadł, że łeb angielski jest mocniejszy od kilofa? — dodał trzeci.

Tym sposobem powstało w Indjach przysłowie, że jedna głowa więcej znaczy, aniżeli sto ramion.

W Europie domyślono by się, że Anglik rozbił skały nie twardością swej czaszki, ale potęgą prochu i dynamitu, a najbardziej—potęgą wiedzy.

Bolesław Prus.

Czy głowa może się obejść bez ramienia? A odwrotnie?
Wskaż przykłady potęgi i wiedzy.

58. Bajka o kamieniarzu japońskim.

Był raz człowiek, który ze skały dobywał kamienie. Robota jego ciężka była, i pracował wiele, lecz zapłatę otrzymywał małą i nie był zadowolony.

Westchnął, ponieważ ciężka była jego praca, i zawołał: „O, gdybym był bogaty i spocząć mógł na Balek-Balek¹⁾, osłonięciem przez Klambu²⁾ z czerwonego jedwabiu!”

Zstąpił anioł z nieba i rzekł:

— Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był bogaty. I spoczywał na Balek-Balek, Klambu zaś zgotowano mu z czerwonego jedwabiu.

I przejeżdżał król owej ziemi, a jeźdźcy poprze-

¹⁾ Łoże. ²⁾ Kotara.

dzali jego pojazd. I jeźdźcy kroczyli za pojazdem króla, nad króla zaś głową niesiono złocisty pajong¹⁾.

I gdy ujrzał to bogaty, zasmuciło go, że nad jego głową złocistego nie niosą pajonga. I nie był zadowolony.

I westchnął, i zawołał:—Chciałbym królem być!

I zstąpił anioł z niebios i rzekł:—Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był królem. I przed pojazdem jego sunęło wielu jeźdźców, i byli jeźdźcy za jego pojazdem, i nad głową jego niesiono złocisty pajong.

A słońce paliło promieniami i rozżarzyło ziemię, że uschły trawy.

I skarżył się król, że słońce mocne jest nad nim, i twarz mu pali. I nie był zadowolony.

I westchnął, i zawołał:—Chciałbym słońcem być!

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł:—Stanie się ci, jakoś powiedział!

I był słońcem. I posyłał promienie wzwyż i wzniz, na prawo i na lewo, i wszędy.

I palił trawy na ziemi i lica książąt, którzy byli. A chmura stanęła między nim a ziemią i odparła promienie słońca.

I zapalał gniewem, iż sprzeciwiano się jego potędze, i skarżył się, że chmura mocna jest nad nim. I nie był zadowolony.

I chciał być potężną chmurą.

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł:—Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był chmurą, i stanął między słońcem a ziemią, i wchłaniał promienie, że zazieleniła się trawa.

I zesłał deszcz w wielkich kroplach, i rozkazał, by wezbrały potoki, i powódzie uniosły trzody.

¹⁾ Baldachim.

I pustoszył pola mnogością wód.

I rzucił wody na skałę, a skała nie ustąpiła. Rzucił wielkie wody, a skała nie ustąpiła.

I zadrzał gniewem, iż nie chciała ustąpić skała, i siła jego potoków prózną była. I nie był zadowolony.

Zawołał:—Skała ta mocna jest nade mną. Chciałbym być skałą!

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł:—Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był skałą, i stał niezachwiany, gdy paliło słońce i gdy spadał deszcz.

I nadszedł człowiek, a niósł motykę, ostre dłuto i młot ciężki. I człowiek ten odrywał kamienie od skały.

I rzekł:—Cóż to, iż mocny jest ten człowiek nade mną i z łona mego wyjmuje kamienie? — I nie był zadowolony.

Zawołał:—Słabszy jestem od niego... chciałbym być tym człowiekiem!

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł:—Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był kamieniarzem. I rąbał ze skały kamienie, dobywał je ciężką pracą, i ciężko pracował za małą zapłatę, i był zadowolony...

Multatuli.

Pisarz holenderski z w. XIX-go.

Czy ludzie często na los się uskarżają? A czy zawsze słusznie? Co myślisz o człowieku, który nawet w nieszczęściu nie skarży się ani narzeka?

Czy tutaj powtarzanie szpeci styl?

„Ten pan — zdaniem mojem, kto przestał na swoim”.

(J. Kochanowski).

59. Podróżny i kaleka.

— Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżyłem na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosy.

Wtem gdy razu jednego do kościoła wchodzę,
Postrzegłem: leży żebrak bez nogi na drodze.
Nauczył mię tembardziej milczeć ów ubogi:
Lepiej mnie bez obuwia, niż jemu bez nogi.

I. Krasicki.

Myśl zawarta w tej bajce.

Jakiego rodzaju jest wyraz *kaleka*? Wymień kilka rzeczowników, które mogą być rodzaju męskiego i żeńskiego.

60. Siedzi ptaszek na drzewie...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;
Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.
Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!
W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.
A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

Adam Asnyk.

Co to znaczy: mieć szczęście w piersi własnej?—Co jest największym wrogiem szczęścia ludzi?

„Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata:

Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata”.

A. Mickiewicz.

61. Pożytek z ognia.

Chcąc dokładniej zrozumieć, jak wielkie korzyści przyniósł ludzkości ogień, wyobraźmy sobie na chwilę życie człowieka w tych czasach, kiedy nie zdołał jeszcze opanować potężnego żywiołu.

Mieszkał on wtedy w jaskiniach skalnych, które go chroniły przed słońcem, lecz podczas deszczu i chłodu nie miał gdzie rozgrzać zziębłych członków. Pożywienie jego, oprócz owoców i korzeni, stanowiło surowe mięso, a odzież—skóra zwierząt niegarbowana. Oprócz kamiennego młota, strzały lub włóczni, nie posiadał innych narzędzi, nie miał więc żadnej możliwości poprawienia swego bytu.

I oto w sposób dla nas niewiadomy, prawdopodobnie trafem, zdobywa nagle ogień. Mógł podsycać powstały od piorunu pożar, poznawszy już poprzednio dobroczynne własności ciepła, — mógł otrzymać ogień przez tarcie dwóch kawałków drzewa. Od tej chwili jakże szybko i stanowczo zmienia się jego sposób życia! Nie lęka się już zimna, ani dzikich zwierząt, nie drży wobec ciemności. Ogień, to święte, opiekuńcze bóstwo, rozprasza mrok, ogrzewa, osłania od drapieżnych nieprzyjaciół. Przy ognisku skupia się cała rodzina, złożona z męża, wielu żon, dzieci i przyjaciół. Kobieta strzeże „domowego ogniska”—to najpierwszy jej obowiązek; mężczyźni tu skupiają się po łowach, trudach i walkach, a skupieni razem, siedząc w promieniach rozkosznego ciepła, pragną się porozumieć, opowiedzieć sobie tyle ciekawych rzeczy, które ich spotkały. Trudno to bardzo, nie umieją mówić; dotąd wystarczały im gesta, okrzyki, nie mieli sposobności na dłuższe rozprawy, a teraz—noc gwiaździsta, las czarny w oddali, w ciemności

słychać szmery tajemnicze, albo ryk groźny zwierza, — ciekawy księżyc wypływa na niebo, lub chmury czarne, — błysnęło, — tyle dziwów! A każdy widział jeszcze inne i chciałby teraz dać je poznać towarzyszom przy tem wesołym bezpiecznym ognisku.

Dzieci wraz z chróstem rzuciły na ogień zabitego ptaka: jakież przyjemny zapach pieczonego mięsa, jakież musi być smaczne. Przekonawszy się o tem, nie będą już ludzie jadali surowego. — Spalił się koszyk oblepiony gliną i powstał garnek, można w nim gotować. — Dla kobiety cały świat odkryć, bo ona przecież jest ciągle przy ogniu.

Nową epoką było spostrzeżenie, że miedź topi się w ogniu. Ona to początkowo dostarczała materiału na pierwsze doskonalsze narzędzia i ulepszenie broni. Przy pomocy tych narzędzi powstają najprostrze sprzęty i budynki: łopata, włócznia, łuk, szalas, namiot i t. p.

To przed wiekami, — a dzisiaj? Całe życie człowieka zależnem się stało od ognia. Jemu zawdzięczamy mieszkania nasze, odzież i pożywienie; on przedłuża czas pracy, rozpraszając nocne ciemności, przy jego pomocy robią z żelaza wszelkie niezbędne do pracy narzędzia, on wytwarza parę, która porusza fabryki, pcha lokomotywę i statki parowe, jest ojcem tylu wynalazków! Ogień pozwolił nam opłynąć ziemię, gdyż bez ognia nie zbudujemy okrętu, — on go broni w latarni morskiej od rozbicia, — on nam pozwala badać planety i gwiazdy, gdyż bez ognia nie byłoby szkła i teleskopów. Któż wyliczy wszystkie jego dobrodziejstwa? — Papier, na którym piszę, stalówka, atrament — nie powstałby bez pomocy ognia. Bez niego musielibyśmy w krótkim czasie powrócić do stanu pierwotnej dzikości.

Ogień — to przedewszystkiem dwa zjawiska, dwa

największe dla ludzi dobrodziejstwa: światło i ciepło, — wszystko też, co nam daje, sprowadzić możemy do oświetlania: mieszkań, ulic, gmachów, latarni sygnałowych, wnętrza ziemi, — i ciepła, które staje się motorem, poruszającym fabryki, koleje, przetwarzającym jedne ciała w drugie.

Wprawdzie ogień bywa i siłą niszczącą, kiedy obraca w popiół miasta całe i w jednej chwili niszczy najcenniejsze prace setek tysięcy ludzi. Straszne są klęski ognia, zwłaszcza gdy wliczymy do nich i wybuchy wulkanów, ale cóż one znaczą wobec tych zdobyczy, jakie jedynie dzięki temu żywiołowi stworzyła cywilizacja? Wszystko, co dzisiaj mamy, czem jesteśmy: — bogactwa materialne, rozwój naszego umysłu: więc naukę, odkrycia, wynalazki, każdy okrucieństwo naszej wiedzy i dobrobytu — zawdzięczamy ogniewi.

Ludzie czuli to dawno, wcześniej, nim zaczęli jasno zdawać sobie sprawę z całego postępu i rozwoju cywilizacji, to też u najdawniejszych nawet ludów spotykamy cześć ognia i religijne mity o boskiem jego pochodzeniu. W Persyi ogień jest bogiem, poetyczna Grecja tworzy śliczne podanie o Prometeuszu, barbarzyńscy jeszcze Rzymianie czczą Westę i jej kapłanki, u Słowian mamy święte bóstwo Znicza. A cześć słońca czyż także nie jest właściwie cześcią ognia?

Wszystko to świadczy, iż człowiek czuł zawsze, jak wiele mu zawdzięcza i jak bardzo go potrzebuje.

Wylicz pożytki z ognia. Czy ludzie dziś mogliby się obejść bez ognia?

62. Do kopalni.

Dniało, ale słońce jeszcze nie wzeszło, tylko światło białe wyraźnie przebijało mgłę i dymy. O jakieś sto metrów huczała i grzmiała kopalnia, otulona

mgłą tak, że tylko jej kontury rysowały się w powietrzu zgęstniałem. Obok niej, o kilkaset kroków od domu zbornego, wznosiła się huta cynkowa. Wysokie jej kominy rzucały jaskrawo-czerwone światło na mgłę, wytwarzając nad swymi wylotami krwawą lunę. Lampy elektryczne wśród przesuwającej się mgły zdawały się księżycami, przesłanianymi przez chmury, a całość kopalni robiła wrażenie jakiegoś przerażającego zwierzęcia, które leży groźne, leniwe, nasycone, warcząc niekiedy do podobnego sobie nieprzyjaciela, do huty cynkowej, ziejącej ogniem i zatrutym oddechem.

Przed robotnikami, wyciągniętymi w jedną linję, stanął sztygar¹⁾ i liczył. Było ludzi trzydziestu sześciu prócz trzech starszych i sztygara. Stali prosto z toporami i siekierami u boku, młodzi, silni i zdrowi. Białe światło przedednia oświecało ich poważne, zdecydowane, żółtawe twarze, proporcjonalną i energiczną budowę ciała, ich ubrania stare, poszarpane przez węgiel, poplamione oliwą lampek i kurzem węglanym, ale bez dziur przeświecających. Z pod małych, starych, miękkich kapeluszy, rzadziej kaszkie-tów, świeciły oczy, śledzące ruchy sztygara. A on przeglądał oddział, pochwalił, i ruszyli ku kopalni, cicho, poważnie, porozumiewając się z sobą szeptem urywanym. Po przywitaniu się: „Szczęść, Boże!” z pracownikami nadszybia, zapalili lampki i kolejno wraz z sztygarem, po czterokrotnem uderzeniu dzwonka, spuścili się wolno do podszybia, gdzie stają szale. Na dole uszeregowali się dwójkami i cały oddział ze sztygarem na czele zaczął się posuwać chodnikami i pochylniami ku chodnikowi „Doroty”.

Czterdzieści lampek górniczych rozświetlało od-

wieczne ciemnice, w których pracował człowiek. Każda piędź tej ziemi, każdy załom, wklęsnięcie, każda szczerbka—to ślad pracy zawziętej, usilnej, nieustającej. Ani twardy granit, oporny piaskowiec, zdradliwy łupek, uparta glina, podstępny piasek, zawzięta woda—nie wstrzymały postępu pracy ludzkiej. Małe karły, uzbrojone tak pierwotnymi narzędziami, jak oskard-młot i świder-dłuto, pruły wnętrzości olbrzyma-ziemi bez przerwy, bez wytchnienia, bez znużenia, z przyświecającą, jak lampka górnicza, nadzieją, że z przepaści wyjdą zwycięzcami. Od czasu do czasu zniecierpliwiony olbrzym otrząsnął się z niemiłych karłów, zgruchotał ich kości, odświeżył się ciepłą krwią, odetchnął jękiem i zamarzył o przedwiecznym spoczynku nicości. Ale wnet zbudziły go uderzenia oskardów, zgrzyty świdrów, gwizd maszyn, blade światełka lampek, i dalej wrzała walka nieustająca, nieubłagana, zawzięta, nieprzejednana. W poważnem skupieniu ducha i sił, w milczeniu, przerywanem tylko pozdrowieniem: „Szczęść. Boże!” spotykanych pracowników kopalni—doszli do chodnika „Doroty”. Stanął u wstępu sztygar i, podniósłszy lampę w górę, zapytał:

— Są wszyscy?

— Wszyscy.

I nic już nie mówiąc, postawił lampkę na ziemi, zdjął kapelusz, ukląkł i, poznawszy po uciszeniu szmeru, że każdy poszedł za jego przykładem, przeżegnał się i zaczął na głos modlitwę do św. Barbary, patronki i opiekunki górników.

Czterdzieści lampek górniczych, palących się chwiejnym płomieniem, oświeciło posępne, żółtawe twarze, ubieliło blizny na czołach i głowach. zamajaczyło w oczach wzniesionych do góry lub lekko przy-słoniętych, zarysowało wyraźnie złożone do modli-

¹⁾ Sztygar — starszy górnik, kierujący robotami w kopalni.

twoje ręce grube, spracowane, z szerokiemi, poczerniałemi szramami. Głosy ich szorstkie, bezdźwięczne, grube, głębokie, zabrzmiały wspólną modlitwą. powtarzaną nagłos za sztygarem; dzwiała w nich nuta prośby i wiary, błaganie o ratunek i pewność pozyskania go, wielka pokora i wielka ufność.

Po skończeniu modlitwy sztygar wstał z lampką w ręku, nakrył głowę i zawołał tonem surowego rozkazu, różniącym się znacznie od pokornej modlitwy:

— Zaczynaj w imię Boże!

Artur Gruszecki („Krety”).

Współczesny powieściopisarz.

Porównaj pracę górnika i robotnika fabrycznego.
Czy to powiastka, czy obrazek?

63. Nowy chodnik.

W kamiennym chodniku pięć lampek się pali,

I pięciu górników widnieje.

Wśród ciszy przewierca opokę zęb stali,

I głucho tam obuch¹⁾ o twardy głaz wali,

Co chwila stal pryska, dłoń mdleje.

Wtem cisza—i światła pogasły... W chodniku

Dym zawiął, zatrząsły się ściany,

Zatrząsły opoki i głazy od ryku,

Od ryku wybuchów w kamiennym chodniku,

Pierś dławia duszące tumany.

Po chwili wśród dymu znów lampki drżą w dali,

Znów cienie tam widać człowiecze,

I znowu cierpliwie świdruje zęb stali,

I głucho znów obuch o twardy głaz wali,

Stal pryska, dłoń mdleje, znój ciecie.

Andrzej Niemojewski.

¹⁾ Obuch—odwrotnia od ostrza część siekiery i dawna broń.

Jak nazwiesz wyrażenia: ząb stali, ryk wybuchu? Wskaż podobne.

64. Lekarz.

Doktor szedł miedzą koło żyta, które z chrzęstem kłaniało mu się do nóg i sypało rdzawe igielki kwiatów, pachnących chlebem, a za żytem leżały wielkie tafle zieleni, na których wznosiły się stare domki o błyszczących w słońcu oknach. Skowronki zrywały się z pod nóg i dzwoniły ku bezchmurnemu niebu.

Patrzył na ich trzepoczące skrzydła, aż zginęły mu w przestrzeni, i szedł pełen ogromnej radości życia, oddychania, ruchu, z piersią pełną tej samej nieśmiertelnej potęgi, jaka biła z młodych traw, jaka promieniowała w modrych oczach chabrow, w szelęście zbóż, w sykaniu koników, w pieszczącym powiewie wiatru.

Rozrzewnienie nim owładnęło tak silne, że czuł w oczach lzy czułości nieokreślonej, rwał pełne garście kłosów, chłodził nimi usta spieczone i szedł, nie wiedząc, gdzie idzie, aż mu zastąpiła drogę nizka, napół rozwalona chałupa, przed którą w cieniu wielkiej brzozy leżał jakiś człowiek na garści słomy; głowę miał nisko na kraciastej poduszce, oczy utkwiał w delikatne, obwisłe gałązki, podobne do strug leżącej się zieleni, i śpiewał słabym głosem, podobnym do brzęczenia komarów:

„Zaczniście, wargi nasze, chwalić Pannę świętą,
Zaczniście opowiadać cześć Jej niepojętą”.

Doktor stanął.

Głos śpiewaka rozchodził się, jak szmer wody po kamieniach, rwał się co chwila, wznosił silniej przez mgnienie i znowu zniżał się do szeptu i ginął w ciężkiem, rzeżącym westchnieniu, po którym człowiek

przesuwał w palcach ziarna ogromnego różańca, całował metalowy krzyżyk i patrzył w ścianę żyta, co z sznerelem pochyliła się ku niemu kłosami, trzęsła się przez chwilę i uciekała w tył, a za nią pochylały się wysokie dziewanny, rosnące przed domem, i patrzyły blado-żółtymi oczami za płową falą, owianą mgłą pyłów kwiatowych.

— Co wam jest?—zapytał Wysocki, siadając obok leżącego.

— Nic mi nie jest, panie, nic... ino sobie umieram po żdziebku—odpowiedział chory wolno, nie zdziwiony jego obecnością, i podniósł na niego szare, smutne oczy, podobne do nieba, wiszącego nad nim.

— Na co chorujecie?—zagadnął, poruszony abnegacją¹⁾ odpowiedzi.

— A na śmierć, panie, i na to—odgarnął przykrywający go łachman i ukazał obie nogi, obcięte poza kolanami, okręcone w brudne szmaty.—Ugryzła mi nogi fabryka do kostek, potem doktorzy ucięli do kolan, ale śmierć i tak szła, to mi ucięli do pasa; ale śmierć i tak idzie, panie... i przyńdzie, o co miłośniergo Pana Jezusa proszę i tej Matki Najświętszej...

Podniósł do ust krzyżyk od różańca.

— I nic was już nie boli?

— A nic, panie, a co ma me boleć? Nogów nimam, mięsa nimam, rąców tyż zabraknie, o!—i pokazał dwie kości, obleczone popielatą skórą i zakończone tak wychudłemi dłońmi, że były podobne do pokrzywionych suchych gałęzi śliw, stojących przed domem,—trochę dechu się tu tłucze po mnie, ale jak tego, da Pan Jezus, zabraknie, to se człowiek odpocznie po chrześcijańsku...

¹⁾ Abnegacja—zaparcie się samego siebie, zapomnienie o sobie,

Szeptał ciężko, z odpoczynkami, a uśmiech, podobny do błysków dnia konającego, przewijał się po jego chudej twarzy, tak szarej, jak ziemia, na której spoczywał.

— Któż was tu pilnuje, kto dogląda?...—pytał coraz bardziej zdumiony doktor.

— Pan Jezus me pilnuje, a żona dogląda... Niema jej bez cały dzień, bo chodzi na fabrykę, do mularzów... Przyńdzie wieczorem, to me zwlecze do chaty, ugotuje jeść.

— Dzieci nie macie?

— Były...—szepnął ciszej, i oczy mu pokryła mgła wilgotna.—Czworo... juści, że czworo. Antkowi maszyna urwała głowę... Marysia, Jagna i Wojtek pomarli na zimnice...

Milczał długo, szklanemi oczyma patrzył na rozkłosowane zboże, co zewsząd otaczało jego chałupę, a w twarzy szarej, kamiennej chlopską obojętnością, zadrgał ból, co jak gwoździem żgnął go w serce.

— Ścierwa—szepnął mocno i podniósł pięść ku miastu, majaczącemu szczytami kominów i dachów nad zbożami.

— Zobaczą te wasze nogi—powiedział prędko Wysocki i zaczął mu odwijać z nóg łachmany, pomimo protestacji energicznej, bo chłop się przestraszył, ale widząc, że to nie pomoże nic, zamilkł i patrzył dziwnym wzrokiem.

Gangrena była w rozkwicie, ale z powodu straszego wycieńczenia organizmu szła bardzo wolno.

Wysocki, porwany litością, przyniósł wody z małej studzienki, obmył rany, przepłukał roztworem karbolu, jaki zawsze nosił przy sobie, i chciał je okreścić z powrotem, ale szmaty były brudne, przejęte zapiekłą krwią i ropą.

— Nie macie jakich czystych szmat?

Chłop poruszył głową przecząco, nie mógł mówić ze wzruszenia.

Wtedy Wysocki, nie namyślając się, zdjął z siebie bieliznę wszystką, podarł ją na pasy i obandażował nimi nogi chorego.

Chłop milczał wciąż, tylko piersi podnosiły mu się coraz wyżej, tylko wielkie łkanie zapychało mu gardło i trzęsło całym kadłubem.

Wysocki skończył opatrunek, ubrał się spiesźnie, postawił kołnierz od palta i, wsuwając pieniądze, jakie miał przy sobie, w rękę chorego, pochylił się nad nim i szepnął:

— Bądźcie zdrowi, przyjdę do was jutro.

— Jezus mój kochany, Jezus, Jezus!—wybuchnął chłop i rzucił się całym kadłubem z posłania do nóg jego, objął je sobą i przywarł do nich całą wdzięczną chłopską duszą.

— O mój panie dobry, o mój janiele przenajświętszy!... — szeptał przez łzy, przez całą wdzięczność niedoli.

Wysocki ułożył go na posłaniu, zabronił się poruszać, otarł mu twarz z łez, pogładził ręką spoczone, rozwichrzone włosy i odszedł spiesźnie, jakby zawstydzony.

Chłop patrzył za nim dotąd, aż mu zniknął wśród zbóż, obejrzał się potem na wszystkie strony, przeżegnał się, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego, co się stało, i długo osłupiałym wzrokiem patrzył na rozkołysane żyta, na trzęsące się nad nim gałązki brzozy, na wróble lecące w całej bandzie, na słońce, które już nisko wisiało nad polami; uniósł nieco głowę i rozpląkanym głosem zaśpiewał:

— „Zacznijcie, wargi nasze. chwalić Pannę świętą”...

— Już ja teraz jęczeć nie będę... już się zmiłował nade mną, Jezu... już ja teraz zamrę... zamrę...—po-

wtarzał cicho, ciszej i jak przez mgłę widział fale zbóż, co się nad nim pochylały z chrzęstem, szaro-błękitne niebo, co się zdawało otulać go, i to złote, dobre, kochane słońce, co go całowało ostatnimi promieniami.

Władysław Reymont („Ziemia obiecana”).

65. Św. Paweł.

Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłością bym nie miał: stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiający.

I chociażbym miał proroctwo, i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, i miałbym wszystką wiarę tak, iżbym góry przenosił, a miłością bym nie miał, niczem nie jest.

I choćbym wszystkie majątności moje rozdał na żywność ubogim, i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym był spalony, a miłością bym nie miał—nic mi nie pomoże.

Św. Paweł. I List do Koryntjan.

66. Miłujcie.

Dobrego słowa, — jednego, — nie więcej!
Są chwile ciężkie w życiu naszym biednym.
O, w ciężką chwilę ulżysz słówkiem jednym,
Gdy je wymówisz goręcej.

Łaknących chleba stoi tłum dokoła,
I tłum łaknących dookoła pada;
Ale jest większa ona rzesza błada,
Dobrego słowa co woła.

Miłość skarbami nie ze świata stoi...
Chlebem nakarmisz, które chlebem żyje...
Ale gdy serce w męczarni się wije,
Potrzeba słowa, co koi.

Więc idźcie, bracia, nieście dobre słowo,
Kędy zły doli ponury ptak kracze,
Jękliwa skarga, kędy głośno płacze,
Gdzie rozpacz milczy grobowo.

Nie skąpcie serca! Patrzcie: w Galilei
Nie z worem złota staje Mistrz cierpienia,
Ale — dla męki — z słowem ukojenia,
Dla nędznych — z słowem nadziei.

Nie skąpcie serca!... Oto On, Mąż Boży,
Umiłowaniem obdzielał miliony,
I wciąż—wciąż śledzi i patrzy w te strony,
Gdzie ludzkie serce się trwoży.

Ten Syn człowieczy, co wśród śmierci cieni
Za złe się modlił w swej ostatniej męce,
Mówił do rzeszy i wyciągał ręce:
Pójdźcie, którzyście strudzeni!

August Kreczmar.
Poeta wieku XIX-go.

67. Wyjątek z „Niedokończonego Poematu”.

...A w tym świecie¹⁾ ujrzał młodzieniec jakoby
marę słońca w wielkim oddaleniu, przybitą do po-
chyłych gzymsów i świecącą wiecznie ukośnymi pro-
mieniami. A blask ich wydawał się raczej, jak choroba
światła, niż jak samo światło;—i w tej śniadości
przechadzały się tłumy niezliczone, jakoby narody
ziemi,—i jako huk mórz wielkich, gwar ich mowy
tłukł się o ściany świata tego i rozbijał się.

Dusza młodzieńca zapytała:—„Mistrzu, gdzie je-

¹⁾ Świat widzeń, który oglądał we śnie.

steśmy?”—A on jej na to:—„W świątyni, w której
ludzkosc zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga
nie masz”.

I wstąpił zaraz między zgraję ludzi, przy wejściu
siedzących. Każdy miał przed sobą dołek, własność
swoją, długi i głęboki jak trumna, i nosił na głowie
lampę, którą, schyliwszy się—ten ciemny dołek o-
świecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzę-
dzia. I każdy z nich pracował rękoma z osłupiałym
wzrokiem, jak u obłąkanych;—i ujrzał młodzieniec
takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki,
i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszyst-
kie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. A ile
razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się
na tem olbrzymiem sklepieniu, ten i ów tu i owdzie
spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał.
Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały,
jak modre obłoczki w kształcie kół zębatych, stęplów,
lewarów¹⁾ wznosiły się i płynęły równolegle do ziemi,
wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca.

Zygmunt Krasiński.

Jeden z najznakomitszych poetów polskich, ur. 1811, um. 1859 r.

Kto byli ci ludzie, i co poeta chciał przez ten obraz powie-
dzieć? Czem jest człowiek, który pracuje tylko dla zarobku?

68. Z życia Benjamina Franklina²⁾.

Całe życie tego niepospolitego człowieka jest zna-
komitym wzorem, do czego człowiek dojść może włas-
ną pracą, o własnych siłach, i jak wiele dobrego
zrobić dla społeczeństwa.

¹⁾ Lewar—rodzaj draga do podnoszenia ciężarów.

²⁾ Benjamin Franklin—minister Stanów Północnych Ame-
ryki, autor wielu dzieł moralnych, wynalazca piorunochronu, ur.
1706 r., um. 1790.

Syn ubogich rodziców, w dziesiątym roku życia przestał chodzić do szkoły, a wkrótce potem zaczął dla zarobku pracować w drukarni starszego brata. Zdolny i zamilowany w nauce, już jako dzieciak każdą wolną chwilę poświęcał pracy nad sobą, czytaniu książek pożytecznych, a przede wszystkim odczuwając brak dokładnej znajomości języka ojczystego, starał się kształcić w tym kierunku. W tym celu wybierał z książek ustępy, odznaczające się pięknym językiem, jasnością stylu, ścisłością wyrażen, — odczytywał je kilkakrotnie, notował sobie najtrudniejsze lub najpiękniejsze zwroty, a po kilku dniach starał się bez pomocy książki opisać to samo, jak można najpodobniej do autora. Jeżeli takie ćwiczenie przy porównaniu z książką wymagało dużo poprawek, powtarzał je parokrotnie i tym sposobem nabył zupełnej łatwości poprawnego wysławiania swoich myśli.

Miał lat 14, gdy brat jego zaczął wydawać gazetę, jedną z pierwszych gazet w Ameryce. Co wieczór schodzili się do niego najwykształceni obywatele miasta, odczytywali swoje prace, radzili nad tem, które z nich można wydrukować, i o czem należy pisać. Benjamin przysłuchiwał się z uwagą tym rozmowom, nieraz miał ochotę wtrącić swoje zdanie, brakło mu jednak odwagi odezwać się wobec starszych, którzyby mogli go wyśmiać. Lecz chęć wypowiedzenia swoich myśli przemogła.

Pewnego razu Benjamin napisał artykuł i położył go na progu pokoju, w którym miała zebrać się redakcja gazety. W ten sposób artykuł nieznanego autora podniesiono, odczytano i — co najważniejsza — uznano za dobry. Można sobie wyobrazić, jaką niespodzianą radością biło serce Franklina, gdy goście brata, chcąc odgadnąć nazwisko ukrywającego się pisarza, wymieniali ludzi poważnych i uzdolnionych.

Wkońcu rzecz się wykryła, młodego chłopca otoczyło szczeniactwem i uznaniem. Nie też dziwnego, że w kilka lat potem, jako powszechnie szanowany pisarz i doskonały drukarz, znalazł współnika, który mu zaproponował założenie własnej drukarni. Dawał na nią kapitał, od Franklina wymagał pracy. Młodzieniec wziął się do niej — jak to mówią: z kasawszy rękawy. Z brzaskiem dnia był już na nogach i kładł się do snu ostatni. Nie pogardzał też najzwyklejszą robotą. Widziano jak w prostym stroju robotnika przewoził taczkami papier przez sam środek rynku. Sąsiedzi podziwiali jego pracowitość. Odrywała go tylko czasami książka, ale i to upodobanie w tym czasie starał się zagłuszyć w sobie, gdyż kapitał współnika nie wystarczał, i Franklin musiał zaciągnąć długi. Spłacić pożyczone pieniądze i postawić drukarnię na stopie możliwej doskonałości, było pierwszym celem Franklina, Amerykanie znają wartość pracy i cenić ją umieją. Ufano mu i pożyczano, niby bogatemu przemysłowcowi, bo poważni ludzie wyrażali się o nim, jako o człowieku niepospolitej pracy i zdolności.

II. Wówczas to Franklin zachęcił kilku swoich przyjaciół, ażeby zbierali się raz na tydzień dla wspólnej nauki i poważnej rozmowy.

Zebrania te nazwano „Junta” od hiszpańskiego wyrazu „zgromadzenie”; w mieście przezywano je też zebraniem skórzanych fartuchów, a to z tej przyczyny, że przeważnie składało się ono z rzemieślników.

Każdy z członków miał prawo zadawać pytanie, dotyczące nauki lub sprawy ogół obchodzącej. Następnie jeden z zebranych podejmował się opracować rzecz na piśmie, a to w celu uniknięcia doraźnych i nieobmyślonych odpowiedzi. Reszta obznajmiała się też z przedmiotem, i po dokonanych dopiero samodzielnymi pracach, przystępowano do rozpraw i roz-

strzygania zdań spornych. Przytem jeden z wybranych przestrzegał, żeby rozprawy nie przybierały charakteru sprzeczek, żeby nie chodziło o błyszczenie, popisanie się dowcipem, ale o miłość prawdy i gruntowne zbadanie przedmiotu.

Z początku liczba członków Junty była ściśle ograniczona, z czasem jednak każdy młody człowiek w Filadelfji zaczął poczytywać sobie za zaszczyt, jeżeli dopuszczono go do tego poważnego zgromadzenia. Niedługo wszyscy rozumni i lepiej myślący ludzie połączyli się w stowarzyszenie Junty, gdzie rozstrzygali wszelkie ważne sprawy i kierowali opinią nie tylko Filadelfji, ale i całej prowincji. Bardzo prędko za małą okazała się gospoda, w której zbierano się początkowo, musiano przenieść się do obszerniejszej, później zaś największe sale w mieście wybierano na te posiedzenia. Następnie zebrania Junty okazały się zbyt licznymi i rozpadły się na kilka odrębnych zgromadzeń.

Za przykładem Filadelfji poszły i inne miasta amerykańskie. Zaczęto stowarzyszać się w różnych celach i ogólnie nazwano takie zebrania klubami.

Jednocześnie prawie z założeniem pierwszego klubu w Ameryce Franklin dał początek drugiej poważnej instytucji w Filadelfji.

Na pierwszych już zebraniach Junty członkowie przy sporach musieli odwoływać się do książek, które pozostawili w domu. Franklin zaproponował, żeby w celu uniknięcia tej niedogodności wszyscy złożyli swe książki w mieszkaniu Junty. W ten sposób każdy z pojedynczych członków mógł korzystać z książek, należących do całego zgromadzenia. Taki był skromny zawiązek pierwszego publicznego księgozbioru w Ameryce. Liczył on zaledwie kilkadziesiąt książek, w ostatnich zaś latach biblioteka ta szczy-

ciła się posiadaniem 80,000 dzieł. Piękny marmurowy posąg Franklina, który tam stoi, zdaje się uśmiechać i cieszyć z tego, że dzieło jego tak się rozwinęło i zolbrzymiało.

Nie zaniedbywał też Franklin i drukarni.

Widząc, że jedyne wychodzące natenczas pismo w Filadelfji nie posiada żadnej wartości i jest źle redagowane, Franklin począł wydawać własną gazetę, która stała się najpoczytniejszem pismem.

Za jego radą utworzono też straż ogniową i zabezpieczono miasto od nieszczęsnych pożarów. Dla ochrony mieszkańców od grabieży i rozbojów ustanowiono stróżów nocnych. Oczyszczono i wybrukowano ulice brudne i błotniste, nieznosną ciemność rozjaśniły latarnie.

A nie było to dziełem żadnego bogacza, ani wysokiego urzędnika, lecz prostego przemysłowca, który z ubogiego pracownika drukarni wyrósł na najużyteczniejszego człowieka w mieście.

Jeśli dodamy do tego jego prace naukowe, wynalazki i usługi, oddane ojczyźnie podczas wojny z Anglią o niepodległość, zrozumiemy, jak wielką siłą jest energja i dobra wola i rozum każdej jednostki, która chce szczerze te dary spożytkować dla dobra ogółu.

Podług F. Morzyckiej.

Czy mamy prawo mówić: coś ja jeden mogę?—Bardzo wiele może nawet jeden uczeń w klasie!

Co to znaczy: samopomoc?

„W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę, Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę”.

A. Mickiewicz.

„Nie masz wykształcenia bez charakteru; żadna szkoła nie zastąpi wykształcenia życiowego”.

St. Szczepanowski.

69. Wartość w nas się mieści.

Nieprzyjaciele Epaminondasa, sławnego wodza tebańskiego, pragnąc go upokorzyć, dali mu urząd *telearka*, który polegał na doglądaniu zmiatania i czyszczenia ulic. Epaminondas nie obraził się wcale, a pełniąc ten obowiązek z godnością, umiał pokazać tym, którzy go chcieli dotknąć i wyszydzić, iż żadne stanowisko nie poniża człowieka, ale człowiek może każde podnieść.

70. Myśli ze St. Szczepanowskiego.

Niedoleństwo jest narodowym grzechem polskim, któremu winniśmy wszystkie nasze klęski, bo usiłowania garstki bohaterów marnowały się zawsze niedoleństwem ogółu.

Każdy prawdziwy genjusz czuje potrzebę wiedzy, a poddaje się karności i nie lekceważy nawet drobno-stek.

Wiedza i karność są niejako uzbrojeniem duszy ludzkiej.

Gnuśność umysłowa jest także grzechem śmiertelnym

Stanisław Szczepanowski.

Działacz i pisarz polski z drugiej połowy w. XIX-go.

71. Cisza wieczorna.

Rozmłowana, rozręskniona

Schodzi powoli od miesiąca

Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,

Srebrne potoków seledyny,

Ciche pacierze szeptaająca,

Uplązy tuli w całun siny,

Szkliwy, jak przędzie te pajęcze;

Blask żenie srebrny na gęstwinie,

Blask żenie srebrny na przełęcze,

Na wirchy, kopy, na grzebień,

Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,

Z nim wyczerpanie i omdlenie...

Jan Kasprówicz.

W jaki sposób przedstawiona jest tutaj cisza?

72. Noc.

Mamy noc ze wschodzącym księżycem. Wysunął on olbrzymią, ogniem zalaną tarczę, rzekłbyś, że siola i lasy płoną. Mroczno, chłodnawo i spokojniej, niż we dnie. Na niebie gwiazdy pełgają¹⁾. Mroki panują dokoła. Rzeczka pluszcze, obmywa cząstki ziemi, nieznacznie tworzy zatoki, nurtuje dno, zlizuje kamyczki. Po obu stronach obsiadły strugę olchy, kąpią w niej swoje korzenie, mgłami jej zraszają swe liście. Białe ény przelatują nad powierzchnią wody, z której się rybka czasem wynurzy, podskoczy, chwyci bezbronnego owada, pluśnie, uchodzi ze zdobyczą, ścigana przez współplemienną zgraje. Mamy noc ciepłą, letnią; woń młodej wikliny oraz topoli balsamicznie rozlewa się w powietrzu. Z gąszczu rozlega się śpiew słowika. Powietrze drży czarującymi dźwiękami. Derkacze i przepiórki niezmordowanie głoszą o zajęciu w swoje posiadanie łąk, jako też łąków zbożowych. Świerszcze trylowy koncert sprawiają sobie po ogrodach. Z oddali gdzieś w sadzie tęskliwie na-

¹⁾ Pełgać — płońać, płomieniem się palić.

wołuje sowa. Górą, jakby duchy ciemności, rysują się nietoperze. Czasem, niby z procy wyrzucony kamień, przeleci lelek, ledwie go okiem uchwycić zdołasz, a już znika w ćmach nocnych. Rozlatują się w łąkach po kałużach żaby, a inne gwarzą nieustannie na wyścigi z sobą, choć jedna drugiej przekrzyzczeć nie zdoła. Na wieśniaczej stodole stoi bocian, kiwa się we śnie, przysiadą; czasem małym jego pisklętom coś się przyśni; zbudzone prowadzą krótką rozmowę z matką, popiszczą i znowu zasną. Może je rozbudziło poszczekiwanie psa z sąsiedniego siola, co się od czasu do czasu odzywa niedbale, jakby zaspany. A stary ojciec bocian po łąkach późno w noc za żerem się ugania. Nieraz przyleci do gniazda o północy, rozbudzi rodzinę i przy księżycu krótką z nią wszczyna rozmowę. I kur wtedy się zatrzepoce na grzędzie, pieje, a za nim kolejno przeróżnymi głosy rozlega się po chatach innych kurów pianie. Zwierzęta podają sobie nocą hasło pozdrowienia czy czuwania.

Adolf Dygasiński.

(„Co się dzieje w gniazdach”).

Kiedy w ciągu roku noc jest najkrótsza, a kiedy najdłuższa? Jak można rozumieć wyrażenie: „noc umysłowa”?

73. Miesięczna noc.

A czy też urok jaki,
Czy mi tak na śnie stanie?
Że mnie ktośnocką woła:
— A wstawajże, hułaniel...
Ja konia duchem z łąki...
Stronami ognie świecą...
A za mną czarne wronki
Od boru, kracząc, lecą...
Miesięcznaż bo noc!...

Trąbkę gdzieś słyhać w dali...
Psy we wsi czegoś wyją...
A we mnie serce wali,
I wdziewam ferezyją... ¹⁾
Miesięcznaż bo noc!...

A tu ci już gromada
I tatuś przede progiem...
Ja czapkę ciskam w górę:
— Ostańcież z Panem Bogiem!...
Miesięcznaż bo noc!

W lot furczą chorągiewki,
Pode mną konik skacze...
U krzyża na rozstaju
Zosieńka czegoś płacze...
Miesięcznaż bo noc!...

Z pod lasu tuman wstaje...
Rzy siwy, coś się lęka...
A — cóż ja temu winien,
Że mi się śni wojenka?
Miesięcznaż bo noc!...

Marja Konopnicka.

74. Z życia jastrzębia.

Widywano go o każdej porze dnia, jak czatował, mordu chciwy, a czatował z niezrównaną cierpliwością; widywano tę wspaniałą i straszną postać o krótkiej szyi, płaskiej czaszce, o oczach jakby ze szkła żółtego. Któż nie zna jastrzębia, tego rycerza, który u ust, w złoto oprawnych, nosi sztylet i sztylety ma u nóg, w złotą łuskę odzianych? Nieraz leniwym lotem prul czyste przestwory błękitu, a szalonym się stawał na widok ofiary. Widywano go samotnego w szczerem

¹⁾ Suknia zwierzchnia, rodzaj płaszcza.

polu, kiedy, ponury, z rozkoszą o mordach marzył, i kiedy, uniósłszy w górę skrzydeł, do lotu opieszale się zabierał. Jak król śmiercionośny przebywał on państwo bezbronnych ptaków i mniejszych ssących. Najczęściej milczący—tem straszniejszy; czasem tylko wydaje dziki pisk, czy syk, niby żmija. I nigdy nie było słyhać ani hasła wojny, ani krzyku tryumfu. Krepy, o potężnych barkach, z piersią szeroką, opancerzoną, żywił uczucia krwawego bohatera wojny.

Jesienne popołudniowe słońko łagodnie grzało; nitki pajęczyny wlokły się po powietrzu, i pajęczyną nakryły się miedze ścierniska, krzaki tarniny. Z ugorów wystraszyli pasterze zajaca, stąd też uciecha ogromna. — „Aha!... Aha!...” — krzyczą, a w dłonie klaszczą i pędzą. Wypadł strwożony szarak, słuchy położył na grzbiecie, rwie przez jedno, drugie pole, aż się za nim kurzy w podorywkach; już tylko w oczach się miga i kędyś za wzgórzem znika. Wbiegł na wązką jak krąjka miedzę, postawił słupka, rozgląda się, słucha, czy jeszcze nie ścigają... Zwolna kica od miedzy i daje nura w ściernisko, tylko wierzch jego grzbietu widać nieco i czarne końce nastawionych uszu; niekiedy mignie jeszcze białym kosmykiem i już, już ma przycupnąć w brózdzie, ażeby straszny dzień przebyć w ukryciu, doczekać zmierzchu; lecz nie wie, że go zdala dostrzegło bystre oko jastrzębia. Okrutny ptak siedział na samotnym stogu wśród cichych pól; nagle zerwał się, wzleciał ponad niwę, gdzie mu się zdało, że coś postrzega i, niby ciekawy, ważył się na skrzydłach ponad ścierniskiem, badając uważnie położenie rzeczy. Zadrżał szarak w legowisku, poruszyć się nie śmie, bo jastrząb krąży mu nad grzbietem; może jeszcze nie spostrzeże, przeleci; nieraz tak bywało. Dotrzymuje więc zajac placu, prawie że się wlepił w brózdę, przyłgnął do niej, chciałby się schować pod zie-

mię. Lecz jastrząb naraz gwałtownie spada i dotkliwy cios zadaje. Cóż robić? Trzeba uciekać: pomknął przeto szarak; już późno na ucieczkę! Drugi potężny cios wściekłego dzioba razi go w grzbiet, aż się przegiał biedak... Czuje, że straszne szpony wpijają mu się między żebra; pędzi, ile siły starczy, może wróg straci równowagę... Gdzie tam! Nowy cios godzi między słuchy, aż czaszka trzeszczy... i znowu nowy cios, i jakieś zaciekle szarpanie, okrutnie dotkliwe. Niema litości dla słabych!... Bek, płacz, krzyk bóleści, kwilenie, rozdierające serce, rozległo się w polu. Mała dziecina ludzka w dolegliwościach tak się skarży, tak jęczy bezbronna... A gęste ciosy spadają nieustannie, a szpony okrutnie cisną, i silne skrzydła z przeraźliwym łoskotem biją po bokach ciała... Jeszcze kilka kroków wlecze się szarak, dźwigając zwycięzcę na karku; już pęza prawie, słabym krokiem podchodzi do krzaka głogu; może się tu schronić zdoła, wciśnie się w ciernie i ocali choćby kilka chwil nadwreżonego życia. Daremnie! Jastrząb jednym szponem czepił się krzaka, drugim przycisnął ku sobie znękane i poranione zwierzę. Rozpoczęła się krwawa uczta.

A. Dygasiński („W Puszczy”).

Czy pośród ludzi niema drapieżnych jastrzębi? Co to znaczy: walka o byt? Czy każdy ją toczyć musi? Czy wszyscy jednakowo o byt walczą?

Czy możemy się spodziewać, że kiedyś, kiedyś — pomiędzy ludźmi przynajmniej — walka o byt ustanie, a miejsce jej pomoc wzajemna zastąpi?

75. Orzeł i kruk.

Widząc kruk, że orzeł leci w górę z baranem w szponach, rzekł:

— Dobrze, że jestem krukiem, przynajmniej się nie nadźwigam.

Jan Lemański.

Co oznacza ta bajka?

76. Nie-bajka.

Spadł z drzewa topoli pączek
I płynie z potoku pianą;
Na nim sieć osnuł pającek,
Czyha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wyrывa
I targa sprężyste nici:

Gdy się wysunie wpół żywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Zwolna ją dusi i gnębi,
Zanim śmiertelny cios zada...

A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada.

I wkrótce po muszki klęsce,
Gdy się już więcej nie broni,

Z ofiarą razem zwyciężę
Wir wodny pogrążył w toni.

Adam Asnyk.

Jaka jest myśl w tym wierszu?

Jaki jest szyk wyrazów w pierwszym zdaniu: zwyczajny czy przestawny? Wybierz stąd kilka zdań z szykiem przestawnym.

77. Woły.

Dwa byczki, mocujące się rogami na paśniku, przerwały zabawę, spostrzegłszy przejeżdżającą bryczkę, fuknęły nozdrzami, zwróciły uszy ku przodowi i przyglądały się nam buńczucznie, jak dwaj młodzi Szwajcarzy podróżnikom.

Z lasu wyszedł chłopiec wiejski, który, mijając je, krzyknął i śmignął prętem. Byczki odskoczyły nieco, ale znowu stanęły odważnie.

— A nie pójdziesz ty od nich, kanaljo!—zawołał na chłopca orzący opodał parobek.—Przeszkadzają mu!

— Poczciwy człowiek—rzekłem do siebie—strzeże wolki, jak dzieci, nie pozwala ich nawet ploszyć.

Bryczka nasza, wybrnąwszy z piasku, potoczyła się raźniej wzdłuż niw zżętych, zalanych złocistymi odblaskami sierpniowego słońca. Spotykaliśmy ludzi, pracujących w polu, bydło, wyskubujące trawę ze rżyska, psy, myszkujące po jarzynach, niemowlęta, zawieszane w płachtach.

Przy drodze stał wóz drabiniasty, naładowany zbożem. Wieśniak, zanim ruszył, wyrwał z dużego, prawdopodobnie dworskiego ładu wiązkę grochu i karmił nią woły.

Troskliwy gospodarz: kradnie, a żywi swoich pomocników!

Pył znowu otoczył nas obłokiem, koła grzęzły w piasku. Przed nami para roslących byczków i dobrze utrzymanych wołów ciągnęła na wozie sosnę. Dwaj chłopcy, podparłszy ramionami kłonicę¹⁾, pomagali wyprężonym zwierzętom, zachęcając je do wysiłków.

Woźnica mój, chcąc rozszerzyć sobie przejazd, zawołał:

— Na prawo!

— A to włóż jarzmo i ciągnij na prawo—ofuknął go młodszy.

— Patrzcie go, jaki chwat z morskiej piany.

— Muszą być „fajcuzy”—delikatne—zauważył mój woźnica. Odplacono mu za tę uwagę radą, której powtórzyć nie mogę.

Wydostaliśmy się na szosę. Wlokły się po obu stronach ciężkie bryki i wozy w kierunku miasta. Pod stacją kolei uwieźliśmy między nimi, a zwłaszcza jedną furą tarcic, ciągnioną przez woły, zagroziła nam drogę. Wśród wzajemnych wymysłów utorowano wre-

¹⁾ Drag, oparty na osiach kół, podtrzymuje wóz.

sztanie przesmyk, którym mieliśmy się przemknąć. Podrażniony wszakże mój Łukasz zaciął batem w przejeździe najmniej winne woły. Właściciel ich ryknął, skoczył ku nam, za nim pośpieszyli jego towarzysze, a ponieważ przed zamkniętą rogatką kolejową musieliśmy stanąć, rozpoczęła się bijatyka, z której Łukasz wyszedł mocno poturbowany. Walce tej woły przypatrywały się z angielskim spokojem.

Skutkiem zajęcia linii głównej pociąg nasz zatrzymano daleko od dworca. Na sąsiednich szynach z kilku wagonów wyładowywano wielkie ukraińskie woły, które miały zginąć w żołądku stolicy.

Złym jest człowiek—według pewnej autorki angielskiej—którego nie wzrusza widok żółkłych liści jesiennych; gorszym jest, według mnie, ten, którego nie wzrusza widok płowych, opiętnowanych, na rzeź pędzonych wołów. Czy kiedykolwiek przypatrzyłeś się im, czytelniku? Jak smutnie wyglądają ich duże, bolesne przeczuciem zaćmione oczy! Boki zapadłe, skóra wypalonymi stemplami oznaczona, w całej postaci rozlana niema rozpacz. Dźwigają swe mięso na ofiarę człowiekowi, który nie ma dla nich litości. Ile razy przechodzę koło gromadki tych płowych skazańców, wiedzionych na śmierć, serce mi się ścisza straszonym skurczem. Wyprowadzone z wagonu, obejrzały się wokoło: jedne wachały ziemię, drugie szukały na niej żdźbła pożywnego, inne wsłuchiwały się w gwar miejski, inne nareszcie spoglądały w górę, jak gdyby badając, czy to samo niebo nad nimi sklepione. We wszystkich odbijało się odurzenie, niemoc, rezygnacja. Ze stepów, ze swobody, z traw wonnych i czystego powietrza przeniesiono je w odmet piekielny, gdzie wesała krew.

— I to one w drodze nie jedzą?—zapytał służący kolejowy.

— Szlamują sobie kiszki—odparł odbiorca „towaru”.

— Choćby im wody trochę...

— Może sodowej... Prędeż tam, nie białamucie, bo przed czwartą muszą być w szlachtuzie.

Odszedłem od okna—w tej chwili pociąg się podsunął pod dworzec.

Z nieprzyjemnem wrażeniem wsiałem do dorożki, odpędzając w myśli mary nieszczęśliwe. Czy człowiek wiecznie karmić się będzie cudzem życiem?

Na moście zakotłowały się wrzaski: jakaś przeskoda zatamowała przejazd. Jeszcze nie zdążyłem zbadać przyczyny, gdy dorożka wjechała ze mną w gromadę płowych wołów. Powiązane za rogi parami, tłoczyły się i rzucały, a wściekły czeladnik rzeźnicki w niebieskim fartuchu i zatłuszczonym kaftanie smażył je niemiłosiernie skręconym w kilkoro postronkiem. Jednocześnie z każdego kozła spadały im na grzbiety bicz, od których skóra się pęgała. Nareszcie mój dorożkarz miał już wolną drogę, mijając wszakże woły, ciało jednego z nich tak mocno batem, że aż biednemu stworzeniu z oka wyciekł krwawy wężyk.

— I za co go bijesz?—zawolałem wzburzony.

— To na rzeź, panie.

Cały w tej odpowiedzi systemat. Co ma prawo do życia, to pozostaje pod osłoną wszystkich naszych uczuć; co na rzeź przeznaczone, zasługuje tylko na okrucieństwo. Chłopiec źle zrobił, postraszywszy pasące się byczki, woźnica oberwał po karku za uderzenie wołów, ciągnących wóz, ale to płowe mięso wolno ćwiczyć dla rozrywki.

Aleksander Świętochowski.

Poeta, filozof i publicysta współczesny.

Co to znaczy jarosz, jarstwo?

Czy zabijanie zwierząt na pokarm dla ludzi musi być połączone z okrucieństwem? Czy złagodzenie doli zwierząt należy do postępu? Czy może człowiek uczciwy nie odczuwać niedoli zwierząt, które są jego niewolnikami? Co wiesz o Tow. Opieki nad zwierzętami?

„Za co człowiek na bliźnich tak często uderza, jak na dzikie zwierzęta?—Bo w sobie ma zwierza”.

A. Mickiewicz.

78. Idylla maleńka taka.

Idylla maleńka taka:

Wróbel połyka robaka,

Wróbla kot dusi niecnota,

Pies chętnie rozdziera koła,

Psa wilk z lubością pożera,

Wilka zadławia pantera,

Panterę lew rwie na ćwierci,

Lwa—człowiek, a sam po śmierci

Staje się lupem robaka.

Idylla maleńka taka...

M. Rodoć (Mikołaj Biernacki).

Satyryk w. XIX-go.

Co to znaczy satyryk? satyra?—Czy ten wiersz jest naprawdę sielanką? Czy można go nazwać satyrą? Jaką myśl wypowiada w nim autor?

79. Przyjaciele.

Zając miał za przyjaciół: konia, wołu, barana i osła. Kochał ich bardzo, a znał jeszcze bardziej. Zdarzyło się, że, szczwany psami, uciekał do lasu przez łąkę, na której się paśli wszyscy czterej. Zwracać się w nieszczęściu do przyjaciół jest rzeczą nietylko ludzką, ale i zajęczą. To też chciał już zając prosić którego z nich albo i wszystkich o pomoc, gdy wtem

przemknęły mu przez myśl ich niezawodne odpowiedzi:

— Chętnie, ale dziś nie mam czasu, może jutro—powie koń.

— Zaraz, zaraz, tylko jeszcze trochę poleżę, bom się przejadł nieco—rzeknie wół.

— Widzisz, kochany zajączku — oświadczy baran—pomódz, toćbym ci pomógł, tylko, że sam się boję o swoje kudły.

— Dobrze — mruknie osiel — ale najprzód dostarcz mi lwiej skóry, żebym miał czem psy nastraszyć.

To sobie pomyślawszy, zając nie tracił czasu na daremne prośby, ale naprzelaj śmignął do lasu, i to go ocaliło.

Jan Lemański.

Co znaczy ironja? W czem tu widzisz ironję? Jaką myśl wypowiada ta bajka?

80. Kropla wody.

— Cóż stąd, że się oderwę jedna z chmury łona?

Zginę, a tem nie będzie ziemia odwilżona. —

Tak mówiła w obłoku każda kropla wody

Wśród spieki słońca, która trapiła plon młody.

Wtem jedna rzekła, widząc pola w takiej męce:

— Pomogę, nie pomogę — ale się poświęcę!

Spadła, za nią rzuciły inne nieb błękity,

Wszystkie krople po kroplach. I spadł deszcz obfity,

Co zachował rolniczy zasiew od zniszczenia.

Wiele znaczy: dać innym przykład poświęcenia.

Antoni Górecki.

Poeta i żołnierz polski z pierwszej połowy XIX-go wieku.

81. W dżungli¹⁾.

Zdumiewające życie pędził Mowgli²⁾ wśród wilków. Rósł wraz z wilczętami, jakkolwiek naturalnie bracia jego byli już dorosłymi wilkami, a on był zawsze jeszcze dziećciem.

Ojciec wilk wtajemniczał go w znaczenie wszystkiego, co się dzieje w dżungli: każdego szmeru w trawie, każdego tchnienia powiewu gorącego wiatru nocnego, każdego krzyku sowy, szelestu odrapanej przez nietoperza kory drzewnej, plusku ryb w wodzie,—a cała ta nauka miała dla niego równie ważne znaczenie, jak praca biurowa człowieka. W chwilach wolnych kładł się w słońcu i spał; gdy się prześpał, jadł, a potem znowu usypiał; gdy czuł, że jest brudny, lub było mu zbyt gorąco, wskakiwał do sadzawek w lesie; gdy chciał jeść, niedźwiedź Baloo objaśnił go, że miód i orzechy są co najmniej równie dobre, jak mięso surowe; wdrapywał się na drzewa, nauczony przez Bagheerę. Pantera sama rozkładała się na gałęzi i wołała:

— Chodź tu, braciszku!

Z początku Mowgli wdrapywał się zwolna, jak leniwce, lecz z czasem ośmielił się i przerzucał z gałęzi na gałąź ze zręcznością starej małpy. Brał stale udział w zgromadzeniach Rady na skale i tu uczynił szczególne odkrycie: wilki, gdy wzrok w nich utkwili, bezwiednie spuszczały ślepie; sprawiało mu to uciechę i czynił doświadczenia te dla zabawki. Czasami umiał też być pożytecznym: rączkami zręcznymi i drobne-

¹⁾ Dżungle — błotniste wyspy, porośnięte lasami (w delcie Gangesu i Brahmaputry).

²⁾ Mały chłopiec, który zabłąkał się w puszczy i został wychowany przez wilki.

mi wyciągał ciernie z łap swych przyjaciół, a wilki cierpią bardzo od ostrych kolców i igieł, które im ranią łapy i skórę.

Nocą Mowgli przekradał się nieraz po stokach gór ku gruntom uprawnym i przyglądał się z wielką ciekawością wieśniakom w chatach; lecz nie ufał ludziom, gdyż Bagheera pokazała mu raz pudło czworokątne, z żelaznemi drzwiczkami, tak zręcznie ukryte w zarosłach, że omal nie wpadł w nie,—i nazwała to pułapką.

Najchętniej jednak biegł z Bagheerą w ciepłe, wilgotne serce lasu, by, wypawszy się doskonale przez dzień cały, podziwiać nocą panterę, jak, głodna, mrodowała na prawo i lewo wszystko, co jej zastąpiło drogę,—Mowgli szedł za jej przykładem, z jednym wszakże wyjątkiem. Skoro tylko podrośł i był dość rozumny, Bagheera powiedziała, że nie wolno mu nigdy tknąć bydła, ponieważ życie jego wykupione było za cenę wołu.

— Cała dżungla należy do ciebie, wolno ci zabijać wszystko, co tylko potrafisz, ale dla pamięci wołu, który cię wykupił, nie wolno ci nigdy zabijać ani jeść bydła, młodego czy starego. Tak każe prawo dżungli.

Mowgli słuchał też wiernie rozkazu.

Rósł więc w lata i siły i rozwijał się naturalnie, jak chłopiec, który nie odrabia żadnych lekcji, a myśli jedynie o spaniu i jedzeniu.

II. Było to wówczas, gdy Baloo nauczał małego Mowgli praw dżungli. Wielki brunatny niedźwiedź, stary i poważny, cieszył się uczniem o tak żywej inteligencji; bo młode wilczęta chcą uczyć się jedynie tych praw, które dotyczą ich gromady i uciekają z chwilą, gdy potrafią powtórzyć zwrotkę myśliwską: „Nogi, co stąpają bez szmeru, oczy, które widzą

w ciemności, uszy czule na powiew wiatru i ostre białe zęby, co mocno kłują: kto posiada oznaki te, jest naszym bratem, z wyjątkiem Tabaqui-szakala, i hijeny, których nienawidzimy.

Ale Mowgli, jako szczenię ludzkie, musiał uczyć się o wiele więcej.

Czasami Bagheera, włączając się po dżungli, zatrzymywała się, aby zobaczyć, jakie jej ulubieniec robi postępy, i mruczała, łeb ocierając o drzewo, gdy Mowgli recytował lekcję. Malec umiał równie dobrze wdrapywać się na drzewo, jak pływać, a pływał równie dobrze, jak biegał; to też Baloo, profesor prawa, uczył go praw lasu i wody: jak należy rozróżniać gałąź zgniłą od zdrowej; jak uprzejmie przemawiać do pszczoł dzikich, gdy napotka niespodzianie rój o pięćdziesiąt stóp ponad ziemią; w jakich słowach usprawiedliwić się przed Mangiem nietoperzem, gdy go wśród gałęzi niepokoi, i jak wreszcie uprzedzić o swojej obecności węże wodne, zanim wskoczy do błota lub stawu. Żaden z mieszkańców dżungli nie lubi, by mu zakłócano spokój, i zawsze gotów jest rzucić się od razu na nieproszonego przybysza. Mowgli między innemi uczył się też hasła obcych, które mieszkani dżungli, polując na obcym gruncie, winien powtarzać, aż otrzyma odpowiedź. Hasło to brzmia:

„Pozwólcie mi tu polować, jestem głodny”. — Odpowiedź zaś: „Poluj więc, skoroś głodny, lecz nie dla zabawy”.

Wszystko to może dać wam pojęcie, jak wiele uczyć się musiał Mowgli na pamięć; to też nudziło go nieustanne powtarzanie jednego i tego samego. Lecz Baloo objaśnił to Bagheerze pewnego dnia, gdy Mowgli dostał bicia i odszedł nadąsany.

— Szczenię ludzkie, to zawsze tylko szczenię ludz-

kie i musi uczyć się wszystkich, rozumiesz—wszystkich praw dżungli.

— Tak, lecz zastanów się, jaki on mały!—broniła czarna pantera; gdyby to od niej zależało, rozpieściłaby na nic malca.— Jakże jego mała główka pomieścić może całe to twoje długie gadanie?

— Zawołam malca, niech ci powie... co umie, jeżeli zechce. Braciszku, chodźno tu!

— We łbie mi szumi, jak w ulu—odparł nadąsany głos ponad ich głowami.

Mowgli zsunął się z drzewa na ziemię gniewny i, stanawszy tuż przed Bagheerą, dodał obrażony:

— Zszedłem tylko dla Bagheery, nie dla ciebie, stary Baloo.

— To mi wszystko jedno—odparł Baloo dotknięty i zmartwiony.—Więc Bagheerze powiedz słowa zaklęcia dżungli, których się uczyłeś dzisiaj.

— Słowa zaklęcia dla jakiego ludu?—pochwycił Mowgli, uszczęśliwiony, że może się popisać.—Dżungla ma wiele języków, a ja umiem je wszystkie.

— Umiesz trochę, nie wszystko... Powiedz, ty mądrało, słowa zaklęcia dla rodu całego myśliwych.

— Wy i ja, ja i wy—jesteśmy z jednej krwi—rzekł Mowgli, naśladując głos niedźwiedzia, jak to czynią przy nawoływaniach wszystkie ludy polujące.

— Dobrze... a teraz dla ptaków.

Mowgli powtórzył zaklęcie i zakończył je długim, przeciągłym świstem sępa.

— A teraz dla rodu węzowego.

Odpowiedzią był syk nieopisany, poczem Mowgli uderzył się nogą w tył, klasnął w dłonie, i wskoczył na grzbiet Bagheery; usadowił się bokiem, bił piętami o futro lśniące i wykrzywił się najszykaradniej do Baloo.

— Dobrze! dobrze! warte było to wszystko lekkie-

go napomnienia—z czułością mruczał niedźwiedź brunatny.—Podziękujesz mi jeszcze za to kiedyś.—Potem odwrócił się, by opowiedzieć Bagheerze, w jaki sposób dziecko nauczyło się słów zaklęcia od Hathi, słonia dzikiego, który wie wszystko; jak Hathi zaprowadził chłopca na błota, by wydostać od węża wodnego hasło rodu węzowego, czego Baloo wymówić nie mógł; jak Mowgli zabezpieczony jest teraz od wszelkich wypadków w dżungli, bo nic mu złego nie uczynią ani wąż, ani ptak, ani żadne zwierzę czworonożne.

Rudyard Kipling. („Księga Puszczy”)

Poeta i pisarz angielski.

Jak nazwiesz to opowiadanie? Co w niem może być prawdą? Czy zwierzętami rządzią jakiekolwiek prawa?

82. L w y.

W menażerji lwy były, lwy płowe, ogromne,
Grzywy jak wichry miały, oczy jak pioruny,
Każdy krok był jak postrach jawiącej się luny,
A od niewoli były nawpół nieprzytomne,

Godzinami leżące bez ruchu, snadź biegły
W swe olbrzymie pustynie, nad swe wielkie rzeki,
Wspominały swe psiaki, płomienne od spieki,
I widnokrąg błękitu, bezmiernie rozległy.

Wspominały te noce, gdy księżyc, czerwony
Jak krew, świecił na niebie; gdy powietrze parne
Zdało się od błyskawic i gromów ciężarne,
A ich ryki huczały w przestrzeni, jak dzwony.

Wspominały świtania, pełne świeżej rosy,
Kiedy po nocnych łowach rzucały się w trawę,
Od walk całe dyszące, rozżarte i krwawe,
I zlizywały wolno z łap swych straszne ciosy.

Co dnia pogromca wchodził do klatki dwa razy
Przy grzmocie bębnow, pisku muzyki i brzęku;
Obręcz z płonąca smoła i bał trzymał w ręku,
Na grzbiecie lwów poczynają jak deszcz padać razy.

Przez podstawioną obręcz, opalając grzywy,
Bite, szalone z bólu, ogłuszone wrzawą,
Ciskające iskrami taniec swój straszliwy
Przed gawiedzi nikczemną odprawiały ławą...

O lwy!...

Kazimierz Tetmajer.

Czy widziałeś lwa w klatce? Jakie uczucie wzbudził w tobie ten widok? Czy człowiek ma prawo więzić zwierzęta dla swojej przyjemności?

Wybierz stąd porównania. Czy porównanie jest ozdobą stylu? Czy można nazwać styl tego utworu obrazowym?

83. Na oceanie.

Wyszedłem na pokład. Dzień ponury, szary, wietrzny. Mewy rzucały się w powietrzu, fale zaś były rozigrane. Trudno się było utrzymać na nogach. Naokoło statku piętrzyły się takie bałwany, w jakich istnienie trudno uwierzyć. Zawsze uważałem za przesadę, gdy opowiadano mi dawniej, że fale morskie dochodzą wielkości domów; teraz przekonałem się, że istotnie jest to przesada, ale *in minus*¹⁾. Otaczały nas po prostu góry wodne. Chwilami zdaje się, że cały statek razem z tobą znajduje się w bardzo głębokiej dolinie, zamkniętej górami, przewyższającymi o wiele, tak np. dziesięć razy, szczyty masztów. Nagle dolina zaczyna się zmniejszać z przerażającą szybkością, a góry lecą ze wszystkich stron na statek, rycząc jak wściekłe. Przemykasz oczy i mówisz sobie w duchu:

¹⁾ Dosłownie: na mniej, t. j. w zmniejszeniu.

„Jak się macie, ryby!” — przysięgłbyś bowiem, że żadna siła ludzka nie wyrwie już statku z tego przeklętego lejka, na którego dnie zostanie pokryty warstwą wodną, grubą na kilkadziesiąt sążni. Po chwili jednak cóż się stało? Oto otwierasz znów oczy, i widzisz się teraz na wierzchołku góry, przed tobą zaś przepaść, do której zlatujesz po linii prawie prostopadłej. W ten sposób jechaliśmy cały dzień.

— Czy to jest burza? — pytam jednego z majtków, umiałem bowiem ten frazes po angielsku.

— Nie, to nie burza — odpowiada majtek — czas jest piękny.

Przekleństwo na twoje oczy! Jeżeli to jest czas piękny, cóż wy tedy nazywacie burzą? On to nazywa czasem pięknym! Jeżeli nie utoniemy, to chyba dlatego, że ty i twoja załoga będzie wisiała, co zaś ma wisieć, to nie utonie. Tymczasem fale zalewają nawet górny pokład, tak, że trzeba zejść na dół. Przy samych schodach spotykam doktora z rudymi faworytami, który się pochyła nad mną i krzyczy, żeby przekrzyczeć szum morski:

— *Comment ça va, monsieur!?*¹⁾

Jestem tak pogrzebiony, że nie tylko nie odpowiadam doktorowi, ale nie mogę trafić do schodów. Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i osłupienie, posunięte do najwyższego stopnia. „Trzymałem się czegoś — mówi w podobnym położeniu pan Dickens²⁾: może to był komin od pieca, może majtek, ale może i krowa”. Ja wiem, że nie mogłem trafić do schodów.

— Patrz pan! — woła doktor — ja się nie trzymam, ja mogę teraz przechadzać się po pokładzie.

— Jakto? — jęknąłem — pan nie upadnie?

¹⁾ No, jakże tam, panie? ²⁾ Sławny powieściopisarz angielski.

— *Je suis trop vieux marin pour cela!*¹⁾ — odpowiedział, i w tej chwili zobaczyłem nagle jego nogi w tem miejscu, gdzie była głowa, co mi dowiodło, że nie tylko przechadzać się, ale może nawet przewracać koziołki.

Prawdziwa burza rozszalała jednak dopiero wieczorem, chociaż wiatr wzmagał się przez cały dzień. Kiedy nadeszła chwila *lunchu*²⁾, położono na stołach poręcz, inaczej bowiem wszystkoby z nich pozłatywało na ziemię. Nic zabawniejszego, jak widzieć gości, idących wzdłuż stołów na swoje miejsca i taczających się, jak pijani. Wychodzi naprzykład jakiś pastor prezbiterjański³⁾, a może i kwakier⁴⁾. Ale za ledwie ukazał się we drzwiach i puścił się klamki, rzuca się w największym impecie na kominek, jakby tam spostrzegł coś takiego, na co uprzednio czatował; następnie odbija się od kominka, uderza o krzesło, chybia poręcz, którą chciał uchwycić rękoma, odbija się od krzesła, wpada na jakąś pannę, porywa ją za głowę, poczem siada na podłodze, wywiesza język i poczyną pisać konającym głosem: „Oj, oj!”

Lunch, mimo przegródek i poręczy na stołach, mamy tańczący, gdy bowiem statek położy się na lewym boku, wszystkie półmiski, talerze, szklanki, karkafki, noże, widelce, zsuwają się z brzękiem, szczękiem, hałasem i tartasem na lewą stronę, po chwili znów na prawą, i tak ciągle. Stewardowie⁵⁾ posługują nam, chodząc w ten sposób, że tworzą z podłogą kąt ostry; zupa wylewa się z talerzy, woda ze szklanek, wino z kieliszków; panie poczynają krzyczeć, pano-

¹⁾ Jestem za starym marynarzem na to. ²⁾ Lunch — śniadanie. ³⁾ Prezbiterjanie — sekta chrześcijańska, nie uznająca władzy biskupów. ⁴⁾ Kwakrowie — sekta religijna, powstała w w. XVII-ym. ⁵⁾ Zarządzający częścią gospodarczą na okręcie.

wie kłąć bez względu na obecność dam;—słowem, powstaje nieopisane zamieszanie, i połowa osób opuszcza stół przed czasem.

H. Sienkiewicz. („Listy z podróży”).

84. Żegluga.

Szum większy, gęściej morskie snują się strasydła;
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się, dzieci!
Whiegl, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej sieci,
Jak pajak, czatujący na skinienie siła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidla¹⁾,
Przewala się, nurkuje w pienistej zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale i skroś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja wśród odmetu,
Wzdyma się wyobraźnia, jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem;

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu;
Zda mi się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem...

Adam Mickiewicz.

Jeden z trzech najznakomitszych poetów polskich, 1798—1855.

Wybierz porównania, uosobienia i inne przenośnie.

85. Wschód słońca na morzu.

Pamiętam jeden świt na morzu. Mieszkalem w Neapolu na Riviera di Chiaja, gdzie mi do okna świecił nocami Wezuwjusz, a skąd miałem widok na całą zatokę, na Sant Angelo, na Capri, jeden zapew-

¹⁾ Z wędzidla — tutaj znaczy: z kotwicy (przenośnia).

ne z najpiękniejszych widoków na świecie; otóż stamtąd widziałem wschód słońca na morzu.

Wychodziło z za gór, które w porannych oparach wyglądały, jak niebieskie mgły, zmieszane z białymi; z za skraju ziemi ukazywały się blaski żółte, pomarańczowe i złoto-czerwone. Niebo od wschodniej strony dziwnie dalekie, subtelnego, przejrzystego, zielono-złotawego tonu, błękitniało powyżej, świecąc w głębi kopuły jedną srebrną gwiazdą, jak ćwiekiem Chrystusowego krzyża. Trwało tak chwilę, a potem blaski podniosły się nieco i, nie zmieniając barwy, poczęły tylko od niej ogień przybierać; płomieniały coraz bardziej, aż wreszcie blask ognia przepoił je i na wskroś przelśnił.

Tymczasem na morze, które było dotychczas zupełnie białe, jakby śniegiem mlecznym pokryte, spadł jakoby srebrzysty szron, i poczęło świecić. Białe opary zeszły górą do stóp, a te jęły brać w siebie róż i purpurę, stając się u wierchołków modre i promienne. Raz jeden widziałem taką grę oświeleń porannych na górach.

Wtem padł na morze smug złotego światła i zaiskrzył się, jakby przeleciały tędy rumaki Posejdc-na¹⁾ i, iskry z fal kopytami skrzesawszy, złoty gościnniec zostawiły za sobą. W chwilę potem rozdarła się nagle śniegowa płaszczyzna, i trysnął z błękitnej wody blask, jakby pod wodą mieszkwały potworne delfiny, promienne strumienie z nozdrzy rzucające. Na morze poczęły teraz padać złote, czerwone, niebiesko-ponsowe strzały, oszczepy, wielkie tarcze i niezmiernie łuki, które w mgnieniu oka zmieniały się w labirynt różnobarwnych, olbrzymich wstęg, w taką zamieć światła, że się zdawało, iż tysiące tęcz,

¹⁾ W mitologii greckiej bóg morza.

urwanych pod ciężarem swych kolorów, padło na morze i splątało się, jak igrające węże.

Z za gór, jakby od płonącej floty, uczyniła się na niebie luna, i poczęły wybiegać na nie płomienne obłoki, nakształt oderwanych, palących się żagli, które wiatr niesie.

Wreszcie wyszło słońce, wielkie promieniste słońce, pod którym ukazywały się poetom wizje z mgły, kryształu i błękitu—słońce...

Kazimierz Tetmajer.

Porównaj styl tego opisu z Porankiem w puszczy, Kurniawą, Nad strugą. Co to jest styl?

86. Muszla.

Co też w tej muszli tak śpiewa,
I jęczy wciąż, i zawodzi,
Niby wiatr, niby ulewa,
Niby szum wielkiej powodzi?

Skarga, co rwie się z jej łona,
Żal swój tak rzewnie spowiada;
Słucham i słucham wzruszona,
I ciągle słuchaćbym rada.

Może mi w mowie swej prawi
Dzieje bezdennej mórz toni:
Dlaczego koral się krwawi,
I czemu perła łączy roni?

Może psalm śpiewa grobowy
Za spokój zmarłych żeglarzy,
Co w trumnie śpią kryształowej
W ciszy podwodnych cmentarzy?

A może biedna się żali
Na doli swojej uciski,

Tęskniąc do ławic z koralu,
I do swej wodnej kołyski...

Włodzimierz Zagórski.

Poeta z drugiej połowy w. XIX-go.

Co to jest muszla? Wielkość i różnorodność muszli.

87. Legenda o skowronku.

I przyszła straszna chwila, gdy wszystko, co żyje, oniemiało z przerażenia. Ciszą zaległa wśród nieprzejranych ciemności, które w dzień okryły ziemię.

Dokonywała się wola Boga: Chrystus konał na krzyżu. Nagle błady promień przedarł się przez chmury i oświecił głowę ukoronowaną cierniami; każdy cień wtłoczony w czaszkę tworzył ranę, z której sączyły się duże krople krwi.

Opodal stojąca gromadka mężczyzn i kobiet nie mogła się zbliżyć do krzyża: żołdacy nie dopuszczali nikogo, aby znikąd nie było pocieszenia dla konającego go winowajcy.

Wśród wielkiej ciszy dał się słyszeć jęk cichy i żalospny. Żołnierze myśleli, że to konający tak się żali, litość zaczęła wzbierać w ich sercach, ale przestrach był silniejszy: żaden nie spojrzał na Chrystusa. Ale jęk zamieniał się zwolna w śpiew jakiś dziwny, niby kwilenie dziecka, niby ciche szlochanie matki przy umierającym dziecięciu...

Nikt jeszcze takiego głosu nie słyszał; tak przenikał serca, iż żołnierze, stojący na straży, uculi łzy pod powiekami. Wówczas spojrzeli w górę. Szara ptaszyna latała wokół zbolalej głowy ukrzyżowanego, kwiląc i śpiewając, a skrzydłkami chłodząc rany, próbowała wyciągnąć cierń ze skroni. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, wciąż poruszając skrzydłkami, wyciąg-

nęła cierni jeden; w tej chwili Chrystus oczy otworzył i westchnął. Ptaszyna przycichła, jakby się zlekła, że powiększa cierpienie, i już nie próbowała wyciągać cierni, tylko latała wokoło i świegotała cichutko, żałośnie—dziwnie.

Jeden z żołnierzy szepnął:

— Wszak ci to skowronek? Nigdy śpiewać nie umiał, a teraz tak cudnie zawodzi. Zali to moc Boża?

Nakoniec Chrystus skonał. Skowronek zakwilił i upadł na ziemię u stóp krzyża.

Raniutko, przy pierwszym brzasku dnia, zbliżały się niewiasty do grobu, niosąc wonności. Radosny śpiew drzał w powietrzu i przenikał serca kobiet; otucha wstąpiła w nie, zanim zobaczyły grobowy kamień odwalony. Skowronek zawisnął wysoko nad tym grobem pustym i całemu światu opowiadał radosną nowinę zmartwychwstania. Razem z aniołami śpiewał: „Hosanna Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

I towarzyszył skowronek Chrystusowi na ziemi, a ewangelję po swojemu głosił. Ludziego nie rozumieli, ale śpiewem się jego radowali, bo miły im był, bo wiedzieli, że Chrystus się uśmiecha do ptaszyny.

A gdy Chrystus uczniów swoich pożegnał i do nieba szedł, na wieczne królowanie, skowronek nie chciał na ziemi pozostać i za Chrystusem leciał... Wzbił się wysoko i lekko jak strzała, śpiewając. Do nieba chciał, do radości, za Panem umiłowanym. Chrystus spojrział ku niemu i rzekł:

— Nie zdążysz, moja ptaszyno. Na ziemi zostań, a ludziom o mnie mów.

Ale skowronek prosił:

— Weź mię, Panie najmilejszy, weź!

Już ziemia z oczu mu znikła... tuż, tuż za Chrystusem do nieba wleci; już bram niebieskich dosięga.

Ale tam na straży stało płonące słońce: iskry jasne odrywały się od niego i promieniami na świat padały. Jedna z iskierek przeszliźnęła się po skrzydełkach skowronka: piórka osmalila. Nie mógł utrzymać się na nich, zaczął spadać szybko, coraz szybciej, jak kamień z góry rzucony, pieśnią skarżąc się Panu:

A gdy upadł na ziemię, zakwilił żałośnie i zamilkł. Zdawało się, iż nie żyje, a on tylko w cichości słowa Chrystusa rozważał, i wielką miłością wzmocniony, rozumiał, że został na ziemi, aby ludziom o Chrystusie śpiewać.

I śpiewa. Na osmalonych skrzydełkach wzbija się wysoko, a świergotem chwałę Bożą głosi i znowu niby strzała na ziemię spada. Na ziemi, na ornej się gnieździ, aby mógł ciągle z ludźmi obcować, a Chrystusa im przypominać: w cierpieniu cieszyć, miłość świętą głosić. Żeby zaś wszystkim ludziom chwałę Bożą wyśpiewać, skowronek leci jesienią do krain ciepłych, a z wiosną wraca do nas i z rolnikiem pierwszą skibę mierzy. Ani chłód, ani głód go nie zraża, radosny jest, bo raduje innych.

Szczęśliwi, którzy słyszą pieśń skowronka.

R. Rudnicka. („Legendy”).

Co znaczy legenda?

88. Przedświt.

Wyjątek.

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem

Rozwieszone Włoch błękity?

Nad jeziora włoskim brzegiem

Czy pamiętasz Alp granity?

Tam—zdaleka—w niebo przodem

Pną się ostrza, kryte lodem,
 A tu bliżej, a tu niżej
 Poza wzgórzem spływa wzgórze,
 Z winnic kapią bluszcz i róże!
 Jednym rajem gór podnóże!
 W wieczór, z rana—zwierciadłana
 Fala bije niebios smug!
 Na wód dole — na skał czole —
 Jedna piękność — jeden Bóg.
 Widzę jeszcze, widzę ciebie!
 Z harfą stoisz na mej łodzi,
 Gwiazd już kilka drży na niebie,
 Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
 Widzę jeszcze, widzę ciebie!
 Na twych strunach twoje dłonie,
 Iskra natchnień skrzy aż z lica,
 Światłokręgiem twoje skronie
 Rozanielił blask księżyc!
 W fal przezrocza, w sieć promieni
 Zewsząd postać twa ujęta,
 Na błękitnem tle przestrzeni
 Cała srebrna—wniebowzięta!
 Nabijaną światłem drogą
 Łódka moja zwolna płynie;
 Jakże lubo, jakże błogo
 Na szafirów tych głębinie!
 Za jeziora przezrocza mi
 Majaczeją wzgórze, skały,
 I ty ze mną — i my sami,
 I tak piękny świat ten cały!
 Nabijaną światłem drogą
 Coraz dalej łódź ma płynie;
 O! anieli czuć nie mogą,
 Co ja czuję w tej godzinie!
 Takim silny, takim dumny:

Siostró moja, mnie się zdaje,
 Że w tej chwili ze snu trumny
 Nasza Święta gdzieś już wstaje!
 Coraz dalej twarz miesiąca
 Nas prowadzi smugiem fal,
 Płynmy, płynmy tak bez końca
 W ciszę—w jasność— w błękit— w dał!
 Wód zwierciadła, gór widziadła,
 Ziemia, niebo — jeden kraj!
 Rzeczywistość się pomału
 W świat przemienia ideału,
 W sen ze srebra i kryształu!
 Daj mi teraz marzyć, daj!...

Zygmunt Krasiński.

Co znaczy wyraz przedświt? Kto ten wiersz napisał? Jakie uczucia wyraża w nim poeta?

89. O miłości Ojczyzny.

Wyjątek z kazania.

...Miłujcie ojczyznę tę swoją i Hieruzalem swoje, t. j. Koronę tę i Rzeczpospolitą, a mówcie tak z serca z Dawidem:—Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki mojej!...

Jako tej namilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała i wyniosła? Rozmyślcie, jakie od niej dobrodziejstwa i upominki macie. Dała wam złotą wolność, dostatki i pokój, jakiego wiele królestw nie mają. Macie od tej ojczyzny sławę wojenną. Rodzi wam ta matka mężne, mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają. Taż matka namilsza uczyniła wam

slawę u wszystkiego chrześcijaństwa i pogaństwa od wschodu i zachodu.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować, i onę w całość zatrzymawać, i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mnimacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli? Nie tak jest. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczek i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie; i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo, gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszystkim, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majątkością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy: dopiero swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował.

Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczeństwa jego wszystkim, co w domu jest, nie pogardzamy: zatonie, i z nim my sami poginiemy!

Według *ks. Piotra Skargi*.

Kto był Skarga? Kiedy żył? Co o nim wiesz? Co mówi w tem kazaniu? Do czego porównywa ojczyznę?

Wskaż tu formy językowe odmienne od dzisiejszych, dawne.

90. Mowa polska.

Nietylko kraj ten, w którym żyjecie,
Ojczyzną naszą się zowie:

Jest jeszcze druga ojczyzna w świecie,
Co w polskiej mieści się mowie.

Z głębi sere polskich nurty żywemi
Rwie się, jak rzeka wspaniała —
To mowa ojców, co naszej ziemi
Nazwisko „Polski” nadała.

A jakież czary mowa ta mieści:
Raz gromem huczy i błyska,
To znów się ozwie jękiem boleści,
Że nam łzy z oczu wyciska!

Bo w niej się chowa moc tajemnicza,
Ta czarodziejska moc wróżki,
Co raz ją zmienia w pierś Mickiewicza,
To znowu w hasło Kościuszki!

Więc czcisz to słowo, co się u świata
Okryło zasług wawrzynem,
Bo kto niem gardzi albo pomiata,
Ten złym ojczyzny jest synem!

Miesięcznik T. S. L.

Najdroższym skarbem każdego narodu jest mowa ojczysta.

91. Życie żaków krakowskich¹⁾.

I. Gdy w roku 1400 otworzona została w Krakowie wszechnica¹⁾, tłumy uczniów zbiegły się tu na wieść, że się otworzyło „źródło wiedzy, z którego czerpać mógł każdy”. Szkołki przygotowawcze istniały już po wielu parafjach. Zaledwie skończywszy w nich początkową naukę, boso, o głodzie ciągnął biedny żak do Krakowa, do uniwersytetu.

¹⁾ Żak—uczeń, student, znaczy też ulicznik. ²⁾ Uniwersytet.

Począwszy od dzieciaków do ludzi pod wasem, uczących się było bez miary. W kolegjach największe sale nie wystarczały, i często profesor wykladał przy drzwiach otwartych, a ci, co się wewnątrz nie mieścili, słuchali z korytarza.

Nietylko z Polski, Litwy, Rusi ciągnęła młodzież do Krakowa, ale z dalekich ziem od wschodu i, co dziwniejsza, napływali Czesi, Serbowie, Niemcy i Węgrzy. W Niemczech nie brakowało szkół, Czesi mieli w Pradze swoją akademię, ale do Krakowa ciągnęła ich sława nauczycieli tutejszych. Szlachta, panowie, mieszczenie, synowie kupców i kmieci garnęli się spolem. Można by rzec, że gorączka wtedy opanowała naród. Udzieliła się ona i kobietom.

Mało co po odnowieniu uniwersytetu chodził na wykłady student, który okazał się przebraną dziewczyną. Przywdzianie stroju męskiego uchodziło za wielką zbrodnię. Dziewczyne zaprowadzono natychmiast przed sąd duchowny i zapytano, dlaczego to uczyniła.

— Z miłości dla nauki! — odpowiedziała winowajczyni. Przesłuchani z kolei świadkowie, jej współuczniowie, nie mogli nic zdołnego o niej powiedzieć. Złagodnili się sędziowie duchowni i na własne żądanie dziewczynki-studenta oddali ją do klasztoru. Tam została nauczycielką mniszek, a potem ksienią.

II. Bursy¹⁾ nie mogły pomieścić całej cisnącej się na naukę młodzieży. Wielu ubogich żaków mieszkało, gdzie się dało; dostawali nieraz kąt za usługę, niektórzy sypiali pod murem, u płota...

We dnie szedł żak z garnuszkiem wypraszać strawy trochę. Młodzież uniwersytecka łączyła się wtedy z uczniami szkół niższych. Nie uważano takiej jał-

¹⁾ Bursa — rodzaj stancji dla uczniów.

mużny za upokarzającą. Żak ufał, że nauką odplaci za pomoc, jakiej mu udzielano, a mieszczenie krakowskie chętnie wspomagało tę młodzież, nadzieję i chlubę kraju.

Królowa Zofja, żona Władysława Jagielly, pozwoliła, aby ubogie pacholeta z miasta śmiało przychodziły po pomoc do królewiczów. Codzień w południe gromadka obdartusów skupiała się przed oknem izby, w której Wladek i Każko (późniejsi królowie: Władysław Warneńczyk i Kazimierz Jagiellończyk) uczyli się abecadła. Królewicze uśmiechali się do tego biedactwa, a ksiądz-nauczyciel, wychyliwszy się do nich, egzaminował potrosze, żeby się przekonać, że byli to istotnie uczniowie, a nie żebracy uliczni.

Odpowiedzi na zapytania płynęły z ust gromadki żywo, wszyscy się wyścigali, zbliżając śmiało, bo byli pewni dobrotliwego przyjęcia.

Nauczyciel królewiczów dowiadywał się o ich potrzeby. Jedni pokazywali podziurawione ubranie, drudzy nogi bose, dobywające się z podartych chodaków, a innych twarze znędzniałe powiadały same, że ich trzeba było nakarmić.

Wyszła stara niewiasta z ogromną misą i łyżką, napelniała garnuszki żaków, a że królewska kasza i kluski były smaczne, głodne dzieci cisnęły się z garnkami jedno przed drugim.

Królewicze rozdawali sami odzież, obuwie i inne podarki, nawet tabliczki do pisania i papier.

Radość panowała niezmierna, wesole okrzyki rozbrzmiewały pod zamkiem, a królewiczom też serce rosło, gdy się tak uczyli miłosierdzia, i dla nich nie było szczęśliwszej godziny nad tę, gdy rozdawać mogli.

Za przykładem królewskim w żadnym domu krakowskim nie odmawiano żakom pomocy. Oni wy-

wdzięczali się, jak mogli: tu zaśpiewali piosenkę, ów-dzie list napisali, dzieci uczyli abecadła.

III. W Nowy Rok żacy, zebrawszy się w gromadki, obchodzili wszystkie domy, w których otrzymywali jałmużnę, winszowali „Nowego lata” i starali się zaśpiewać coś zabawnego, żeby rozśmieszyć domowników.

Z tych czasów pochodzi wesoła piosenka noworocz-na z przymówką o podarku:

Mościu gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę;
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera.
Hej kołeda, kołeda!” i t. d.

Czasem prowadzili z sobą młodego wilka, niedź-wiadka lub tura, pokazywali sztuki. Na św. Pawła urządzali walki kogutów, wprawionych do boju.

Uroczystości doroczne dawały żakom wiele uciechy i przynosiły znaczne dochody. W święta urządzano po szkołach i kościołach widowiska, odgrywane przez żaków. Na Boże Narodzenie przedstawiano po kościołach *jasełka*.

Niedawno odnaleziono w klasztorze św. Andrzeja w Krakowie figurki Matki Boskiej, św. Józefa, Trzech Króli i koledujących pasterzy, pochodzące z wieku XV-go. Takimi figurkami poruszali z ukrycia uczniowie szkolni, śpiewając zazwyczaj pieśni, lub mówiąc odpowiednie wiersze. Czasem zamiast figurek występowały żywe osoby, postrojone w maski. Dla zabawienia słuchaczy dodawano piosenki śmieszne i wesołe. Lud zbiegał się na takie widowiska, śmiano się i żartowano, zapominając nieraz o powadze miejsca. Dlatego synody zabroniły urządzania widowisk po kościołach. Wtedy żacy zaczęli chodzić z *szopką*, obnosząc *jasełka* po domach.

Szopki te były podobne do obecnych i wiele też koled, śpiewanych dzisiaj, pochodzi z owych czasów.

W zapusty przedstawiano *komedje mięsopustne*.

W czasie wielkiego postu grywano *djalogi o męce Pańskiej*. Przedstawiano w rozmowach wypadki z Pisma Świętego.

Żadne widowisko nie obchodziło się bez wesołości. Pokazywał się np. pielgrzym w ogromnym kapeluszu, w płaszczu, naszytym skorupami płazów, i opowiadał o cudach swojej podróży do Jerozolimy. Żeby zaciekawić słuchaczy, dodawał mnóstwo bajek: o drzewach śpiewających, kamieniach gadających, złotych owocach i t. p.

Błazny, dziwacznie przybrani, wyprawiali rozśmieszające widowiska. Przebieranie się w maski było tak rozpowszechnione, że przywdziewano je nawet podczas procesji kościelnych, dopóki się w to nie wdała władza duchowna.

We wszystkich uroczystościach, w procesjach i zabawach żacy zajmowali pierwsze miejsce.

Chociaż przepisy akademickie nakazywały studentom nosić jednostajny ubiór, nie stosowali się do tego rozporządzenia, jedni z ubóstwa, inni z próżności. Mimo zakazu nosili oręż. Hałaśliwą gromadą rozlewali się po całym mieście, roznosząc życie i wesołość. Witano ich życzliwie, ale nieraz z trwogą. Wesoła, burzliwa i ciekawa młodzież była skłonna do burdy i kłótni. Dokuczali szczególnie Żydom. Żydzi, chcąc sobie zapewnić jaki taki spokój z ich strony, opłacali na rzecz żaków stałą opłatę, zwaną *kozubalec*.

Niedawno też istniało przysłowie: „Gorzej, niżli raka, obawiaj się żaka”.

Gotowi do zaczepki z innymi, żacy między sobą trzymali się mocno spolem. Wszyscy uczniowie uważali się za jedno wielkie bractwo. Łączyły ich wspólne

cele, używali jednakowych praw, czuli przytem, że w połączeniu leży największa siła. „Sprawa jednego będzie sprawą wszystkich. Za jednego wszyscy, a jeden za wszystkich niech będzie gotów cierpieć i choćby zginąć. Ostatnim kęsem chleba się przełamać, ostatnią opończę podzielić z bratem. Kochajmy się i wspomagajmy, jak bracia, bośmy biedni i inaczej zginemy”.

To były ich hasła.

Z H. Orszy.

Pseudonim; współczesna autorka polska.

Różnica między uniwersytetem a akademią: w uniwersytecie (wszechnicy) wiele nauk wykładają, w akademii głównie jedną (akademia rolnicza, handlowa, sztuk pięknych i t. p.).

Porównaj pojęcia i zwyczaje dzisiejszych uczniów i ówczesnych żaków.

92. Do Wisły.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty¹⁾, uroczy,
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyła się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła, tak spokojna, cicha,
Że jej nie słyszać, tak lekko oddycha
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze;
Bo one młodość z Wisłą przegrały,

¹⁾ Polny, obfitujący w pola,

I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoła w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławia w jej nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkim konary rozwiała.
To nie Włoch smukły¹⁾, co liść swój podkasa,
Ale brat-szlachcie, do korda, do pasa:
Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
Macha rękami, z kiściastego wasa
I z swojej czapki powiewnej wytrząsa
Garście zieleni na wiślane fale.
Ty płyniesz, Wisło, a jak kapłan stary,
Zamek krakowski chrzci cię swym obrazem;
Kapłan to siwy, ale młodej wiary,
Pełen zniszczenia i wielkości razem!
On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
Świątym chryzmatem²⁾ pamiątek namaści.
Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
Płyniesz spokojna, płyniesz niespłoszona,
I coraz szersza, coraz więcej pańska,
Spieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska.
A pod Krakowem na długim galarze
Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze.
Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
We środku budka, u rudla³⁾ flis czuwa;
Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
On ją z fantazją na bakier nasuwa,
Zwija koszuli rękawy bufiaste
I szarawary poprawia pasiaste.

¹⁾ Topola włoska. ²⁾ Chryzmat — krzyżmo — olej święty.

³⁾ Rudel — ster,

Ma kaftan długi z czerwonym podbiciem,
 A twarz z wąsikami, rumieńcem i życiem;
 W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
 Na niej jak w własnej chacie gospodarzy
 I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
 Węgiel brzęczkowski albo laryszowski ¹⁾.
 Wisło, ty niesiesz na swoim przestworze
 Nasze ziarniste, pożłociste zboże,
 I cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
 Wapno i jaja, i świeże nabiał.
 Niesiesz, gdy zechcesz, a gdy nie masz woli,
 Próżno berlinka żaglami swawoli,
 Lub galar wiosłem twoje fale liżnie:
 Ty nie chcesz—muszą stanąć na mieliźnie.
 Ty zechcesz—płyną, a widnokrąg cały
 Zda się ucieka i chowa, i znika,
 I tylko czasem plusną twoje wały
 Pletwą szczupaka, wód tych rozbójnika,
 Lub je wir zmąci, a na dnie łóżyska
 Igrają chmury, i słońce rozbłyska.
 Ptaszki świegocą w nadbrzeżnej wiklinie,
 U góry bocian wyciągnięty płynie,
 A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
 A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,
 Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
 Na której słońce maluje swe lica,
 Aż lód przepali. Wtedy z strasznym grzmotem
 Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
 Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
 I pierś swą wzdymasz za wiosny powrotem.
 A kiedy w górach potopnieją śniegi,
 Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
 Zalewasz pola, i unosisz z sobą

¹⁾ Brzęczkowice i Laryszów—kopalnie węgla na Śląsku.

Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
 Powalasz domy, i na twojej fali
 Nieraz niemowlę w kołysce się żali.
 A potem znówu wracasz w swe ukrycie
 I cicho płyniesz w odwiecznym korycie.
 W starem korycie, o rodzinna rzeko!
 Niechaj spokojnie twoje nurty cieka;
 Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,
 Bóg litościwy da urodzaj złoty.
 Wtedy twe fale pokrajają na kregi
 Niosące zboża ładowne komiegi¹⁾,
 A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
 Kupi ci suknię za gdańskie talary.

Antoni Czajkowski.

Poeta polski w. XIX-go.

Wybierz apostrofy, uosobienia.

Przysłowia Wiślan, t. j. mieszkańców osady Wisły i okolic na Śląsku austriackim: Co głupiemu po koronkach, kiedy powiada, że to same dziury. Cudzy kraj chwał, a swego się dźierz.

93. ■ Stroje mieszczan krakowskich [w w. XIV-ym.

Kupcy krakowscy używali i znamienitych swobód i przywilejów. Od czasów Leszka Czarnego i Łokietka służyła im w całej koronie zupełna wolność od cel.

Dodajmy do dobrego bytu mieszczaństwa średniowieczną żądzę bawienia się, a zdołamy powziąć wyobrażenie, jak wesołe życie wiódł nasz Kraków mieszczański. Zastosujmy do wyobrażenia opowszechniej zabawie i wesołości rys prostactwa umysłowego ludzi ówczesnych, a będziemy mogli zrozumieć,

¹⁾ Komiegi—statek czworograniasty do splawu zboża.

jak rubasznie jaskrawemi barwami świeci ta zabawa mieszczańska, jak szumnie i zgiełkliwie wynurza się wesołość naszych „bogaczy” krakowskich.

Przedewszystkiem wysiłał się każdy na przepych stroju. Nie pojmowano powagi i zamożności bez wystawy i bogactwa odzieży. Stąd wszyscy urzędnicy i znamienitości miasta poczytywali sobie za obowiązek błyszczeć od srebra i złota. Wślad za pierwszymi patrycjuszami¹⁾ garnął się i lada mieszczanin, lada rzemieślnik, nie chcący uchodzić za gorszego. Ta chęć dorównania każdemu, ten najsroższy ze wszystkich przymusów, przymus obyczajowy, ciążył dotkliwą plagą na domowem życiu mieszczańskiem. Już to więc dla przyniesienia ulgi w tej mierze, już to za-warowania sobie samym przywileju najokazalszej powierzchowności, wydawała rada miejska częste w średnich wiekach prawa o zbytku w strojach, podobne do siebie we wszystkich miastach niemieckich. One to dostarczają nam rysów do obrazu strojności i zabaw miejskich.

I oto nawet w porze największego ograniczenia przepychu w strojach widzimy panów rajców i urzędników miasta w długim i szerokim płaszczu, w kapeluszu o trzech srebrnych gałkach, w szerokim, srebrnemi lamami wysadzonym pasie czyli obręczy, u którego wisi kord w srebrnej pochwie. Kupiec ma na sobie jedwabny żupan, a na palcu obowiązkowy pierścień złoty, na którym wyrzeźbiony jest kupiecki jego cech czyli znak. Każdy inny mieszczanin nosi suknie z pośledniejszego sukna, srebrnymi przecież haftami i świecidełkami upstrzone. Gdzie mniej surowo cenzura karcila przepych stroju, świecili panowie mieszczenie aksamitnemi szatami o szerokich,

¹⁾ Tak nazywano najznakomitszych obywateli w Rzymie.

rozcinanych rękawach, o srebrnych guzach i klamrach i kosztownem szerokim bramowaniu. Pod spodem bywały takie suknie podbite najdroższymi futrami, po wierzchu zaś dawna moda opinała je srebrzystymi obręczami, zawieszała na nich srebrzysty kord. Według prawa nie powinny były te ostatnie przydatki stroju zawierać w sobie więcej srebra nad 4 grzywny¹⁾; drogie futra miały służyć tylko za podbicie kapeluszy o dużych kresach, a bramowaniu czyli pasamanom wolno było mieć tylko jedną piędź szerokości.

Łatwo pojąć, iż strój dam miejskich był jeszcze zbyt kowniejszy. Nawet w miastach oszczędnych musiano im pozwolić aksamitu do czepków, złotogłowów do sukien i szerokich złotych galonów. Córkom rajców wolno było się stroić w wieńce z pereł albo ogniwek srebrnych, uboższym w jakiegokolwiek ozdoby i świecidła fałszywe. W miastach rozrzutniejszych nie umiały panie miejskie znaleźć miary wysokości czepców i czubów, długości sukien. Na próżno nakazywały ustawy, aby żadna suknia ani falbana u sukni nie ważyły się być tak długie, iżby je ktoś trzeci mógł przydeptać, a czepcom broniło prawo wspinać się wyżej nad pół łokcia wrocławskiej miary. Wszakże panie mieszcżanki nie dały się tem odstraszyć i w takich nawet miastach, gdzie umiarkowany strój męski nie dawał powodu do zakazu i ograniczeń; w naszym właśnie Krakowie przesadzały się w złotych i srebrnych pasamanach, haftach i wyszywaniach bądź to perłami, bądź złotem, osobliwie zaś w kosztownych kanakach czyli ubra-niu głowy.

Każdej uczcie, każdej uroczystości, każdej sce-

¹⁾ Grzywna = pół funta srebra.

nie życia towarzyskiego dodawały smaku tłumy obowiązkowych rozśmieszycieli. Dzisiejszą rozrywkę teatralną, ograniczoną na jedno miejsce i jedną porę dnia, sprawiano sobie wówczas wszędzie i zawsze.

Karol Szajnocha.

Historyk polski, ur. 1818, zm. 1868 r.

Jak określić ten utwór?

Co można by sądzić na podstawie tego utworu o położeniu ówczesnych mieszczan?

Przysłowia małopolskie: Drogi Kraków za grosz, kiedy grosza niema. Ceni drogo, a krakowskim targiem za połowę sprzedą.

94. WAWEL.

Na skalistym brzegu stary zamek siedzi,
Siwą głowę schylił, z myślami się biedzi.
A wież jego siedem, jak siedem boleści,
Za dziećmi, co w świecie przepadły bez wieści!
A mur, co mu biodra wkoło opasywał,
Jak suknię z rozpaczy, z bólu porozrywał
I żałośnie jęczy ze smoczej gardzieli:
„Dzieci moje, dzieci! gdzieście polecieci?
Gdzieście polecieci, czy szukać oczyma?”
I bez końca jęczy,—a ich niema—niema!...
Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku żwawy!
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.
Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj.
Powitaj uściskiem, w oczy spojrzysz śmiało,
Bo tobie w dół patrzeć nigdy nie przystało.
Oni światu przegrażali, i dziś, chociaż w trumnie,
Chociaż okiem marmurowem—poglądają dumnie;
A na widok krzywych szabli, co zdobią grobowiec,
Wnuk ich wzdycha, drży występny, uklęka wędrowiec.

Edmund Wasilewski.

Poeta polski w. XIX-go.

Dlaczego pamiętki przeszłości są nam drogie?

95. A słowiki śpiewały...

Odeszli dworzanie, zostawiwszy na stole płonące
woskowe świece, i stary król ukląkł przy łóżku przed
obrazem Chrystusa, do wieczornej modlitwy. Znużony
był długą aż do Litwy podróżą, dokąd jeździł po-
mimo swych osiemdziesięciu dwóch lat, dla osadzenia
brata Zygmunta Kiejstutowicza na wielkoksiążęcym
tronie. Znużony był długą dziś rozmową i ucztą z po-
slami wojewody wołoskiego. Znużony był i życiem
całym.

Osiemdziesiąt dwa lata! Hej! Piękny wiek. Piękny,
ale i ciężki do dźwigania na silnych niegdyś, dziś już
słabnących barkach.

— Pater noster — westchnął król i podniósł ku
obrazowi głowę.

Płynęły z ust jego łacińskie, nawpół zrozumiałe
słowa, płynęły polskie pacierze, a dusza wzbierała po-
bożnymi westchnieniami, aż wezbrała do pełności,
i mówić zaczął do Boga po swojemu, po prostu,
z głębi serca błagając:

— Da prymież Ty mienie, Hospodi, u swaju chwa-
łu¹⁾. Da dajże ty mienie, Hospodi, dobroju śmierć
krystjansku i cichińki hruob! Da nie razluczaj Ty
mienie, u tom świecie, at majej karaloweczki, at
majej najmilejszej, at majej światoj! Wieczny po-
kój, wieczne odpocznienie, racz jej dać, Panie—za-
czął codzienną prośbę za duszę Jadwigi i opuścił gło-
wę na skrzyżowane dłonie.

Aż naraz za oknem coś się odezwało, głos jakiś
słodki, świeży rzucił w wieczorną ciszę nutkę urwa-
ną, ulotny trel.

¹⁾ Przyjmijże Ty mnie, Panie, do swojej chwały (po białorusku).

Król zerwał się rzeżko i do okna przybiegł.

— Saławjuszki piejne... — szepnął.

Uśmiech wybiegł na jego pomarszczoną twarz. Rozsunął kotarę, otworzył okno i wychylił się.

Noc była jasna, miesięczna, srebrna i cicha. Księżyc jak latarnia płonął na szafirowem niebie, gwiazdy mrugały, szeroki staw leżał tu w dole, jak zwierciadło, odbijając niebieską górną ciszę i blaski. Z pośród liści wodnych lilji błyskał tu również połamany i drżący księżyc i migotała gdzieś gdzieś gwiazda, a dalej rozpyływała się srebrna poświata na ruchomych wodach bystrej Wereszczycy i na łąkach owianych mgłą. I tonął świat cały w białem, mlecznem, łagodnem świetle.

A na wałach, tu blisko, rozbijały się bzy i czeremchy dzikie. Koronkę gałązek rzuciły na tło nieba, gąszczem zielonych, połyskliwych, jak ze srebra kutech liści okryły wały, a teraz wystrzeliły bogactwem bujnego kwiecia, tysiącami śnieżnych i liljowych gwiazdeczek, puchem miękkim i wionęły ku niebu swą odurzającą, słodką wonią, jak kadzielnice wdzięczne, jak ofiarne ołtarze... I z ich wnętrza wypłynął znowu słodki, świeży głosik i rzucił w wieczorną ciszę nutkę urwaną, ulotny trel...

Rzucił i urwał. Lecz wnet znów się odezwał. I wyrwała się z małego gardziołka pieśń.

Pieśń to była młodości, rozradowania, tkliwej wdzięczności za dar życia, za samą łaskę istnienia, za ten piękny świat.

I ten młody świat wiośniany był sam, jakby najcudniejsza pieśń.

Król spieszenie zapiał samodzielną świtkę szarą na srebrne rzezane guzy, porwał za czapkę sukienną, za sękatą łaskę, którą się podpierał zwykle, i cichut-

ko, rzucając ostrożne spojrzenia dokoła, ukradkiem ku drzwiom wchodowym się skierował.

Straży tu nie było, gdyż tylko przy bramie ją postawiono, a w zameczku spało już wszystko. Drzwi nawet, że to była noc pogodna i ciepła, stały otworem, gdyż wroga żadnego nie było w pobliżu, nie było nawet bodaj na całej przestrzeni olbrzymiego państwa. I stary król nie wrogów się bał, wykradając się z zamku ku wałom, porośłym bzami i ku rzece, lśniącej tam w dole blaskami księżycowymi, lecz przyjaciół.

Oni to, ci doradcy, przyjaciele i dworzanie, pilnowali go, oni wciąż czuwali nad zdrowiem już zwątlonem, nad upadającymi siłami, oni go otaczali taką opieką i troskliwością, że czuł się nieraz zniecierpliwiony. Od nich się też wykradał teraz, od ich opieki i czujnego oka.

Młodym się czuł w tej chwili, młodym zupełnie i silnym i pełnym ochoty do życia, gdy stanął na wale i spojrzał na szeroko przed nim rozciągnięty, a srebrny od blasków miesięcznych i tonący w mlecznych oparach świat Boży. Starość opadła z niego, jak płaszcz, znużenie gdzieś odleciało, zapachniała mu wiosna. Ileż to już wiosen takich miał za sobą! A jednak oto jeszcze stoi rażno na starych nogach, oto patrzy i lubuje się cudną nocą, oto pełną piersią oddycha wonią bzów, oto słucha słowiczego klaskania.

A słowiki śpiewają...

Za tym pierwszym, co się tuż pod oknem odezwał, wyrwał się drugi tam, z pośród tych białych pęków bzowych, i trzeci odpowiedział z tego krzaka tarniny. I w tej olszynie, tam w dole nad stawem, cały chór się rozśpiewał. I rozbrzmiała cicha noc pieśnią słowiczą, pieśnią młodości, rozradowania, tkliwej

wdzięczności za dar życia, za samą łaskę istnienia, za ten piękny świat.

I stanął stary król, na swoim sękatym kiju obu dłońmi oparty, zapatrzone, zaszuchane. I rozmarzył się.

Śpiewają słowiki, śpiewają w nadniemeńskich olszynach i w dolinie kowieńskiej, gdzie Wilja wlewa wody swe czyste do Niemna, i pod zamkiem wileńskim, gdzie płonie Znicz w świętym gaju i Mildzie składają ofiary. Śpiewają wśród jej lip pachnących. A on, młody książę Olgierdowicz, spoczywa pod drzewem po łowach całodziennych i usnąć nie może — i słucha. I marzą mu się dzieła chwalebne i wielkie i bohaterskie czyny i wojenne wyprawy. Usnąć nie może młody książę Olgierdowicz.

A słowiki śpiewają...

Idzie naprzód w życie młody książę w krwawy życia bój.

I płyną lata wśród wojen i klęsk coraz gorszych, coraz dotkliwszych, pod ciągłą grozą, pod nieustającym strachem, bez nadziei prawie. Byłe się nie dać! Byłe się utrzymać! Ach, lata smutne!

I nadchodzi noc jedna, noc ostatecznej rozpacz. Dokoła Wilna goreją łuny, przez nieprzyjacielskie wojska wzniecone. A z wrogami jest Witold, z nimi są inni książęta. Wszędzie zdrada, podłość, gwałt. I niema znikąd ratunku.

Porzucić chyba tę Litwę nieszczęsną, której zagłada sądzona, porzucić ten zamek ojcowski i te święte gaje i te stare gontyny pogańskie. A samemu uchodzić na Ruś!

Innego niema ratunku. Porzucić...

Szarpie się serce książęce buntem i wściekłością. Żalamują się w rozpacz dłonie. Nienawiść rozpała mu duszę.

A wokoło wiosna rozlacza swe czary. Na stokach góry Turzej, na urwistych brzegach Wilejki, tam, kędy się ona do Wilji rzeki wlewa, rozkwitają bzy i pachnie czeremcha. I miesiąc wychodzi na niebo. I rozsypują się po niem gwiazdy.

I słowiki śpiewają... śpiewają...

A serce się krwawi. A dusza się rozdziera.

Lecz oto z zachodniego nieba spływa promień jasny, promień nadziei. I idzie baśń cudowna o Królu-Dziewicy, co na grodzie-wawelskim króluje. I baśń w rzeczywistość się zamienia. I staje się dziwo nad wielkie dziwy. Poganin, władca przeznaczonego już na zagładę państwa, wczorajszy nieprzyjaciół, zasiada na prastarym tronie piastowskim, kładzie na skroń swą koronę Bolesławów i Kazimierza. Szczerbiec ich bierze do ręki, staje się dziedzicem ich chwały, wykonawcą ich olbrzymich planów, głosiцеlem najczystszej Miłości chrześcijańskiej, posiadaczem najpiękniejszego kwiatu, wyrosłego z ich rodowego drzewa, małżonkiem Jadwigi.

Dziwo nad wszelkie dziwy! cud!

— Mnie hresznomu... mnie... Za szto? Za szto? Takież łaski!

Poruszył się stary król i podniósł ku niebu oczy. Zawsze, gdy patrzył z wysokości ubiegłych lat na życie swoje, nie mógł się nadziwić. I pytał w zdumieniu: za co padło na niego tyle szczęścia, tyle darów wspańiałych, tyle łask i dobra wszelkiego?

Za co?

I pierś mu wzbierała wdzięcznością ku temu Bogu chrześcijańskiemu, w którego wierzył mocno i do którego całą swą istotą wznosił się codzień wciąż wyżej i wyżej, ku tej cudnej Jadwidze, co weszła w jego życie, jak zjawa uroczą, podała mu rękę i z ciemności i z błota wyprowadziła na szerokie i świe-

tlane drogi ku tej Polsce całej, którą dziś jak rodzoną ukochał.

Usiadł król pod drzewem na zwałonym pniu. Oparł czoło na dłoniach. I wspominał.

Nad nim posuwał się księżyc na wysokim niebie. Bzy pachniały. Srebrzyły się rosą trawa i listki. Ze stawu w dole wstawały chłodne mgły i jak widma białe w górę płynęły, płynęły.

A słowiki śpiewały...

A stary król wspominał...

Oto wielki dzień jego życia, dzień pierwszego spotkania z Jadwigą. W tronowej sali wawelskiej rojno i strojno, snują się dworzanie, rycerze, zasiedli kołem pralaci, szczekają ostrogi, szeleszczą jedwabie, brzmia przyciszone, lecz radosne rozmowy. Na podwórzu grają trąby wesoło, wesoło. Trzepocą chorągwie.

I dzwony biją na wieży katedralnej.

I szumi lud, w dole zebrany.

Lecz on nie widzi nic, nie słyszy. Jak we śnie pogrążony, daje się wieść braciom i polskim panom ku sali tronowej. Nie wie, nie pojmuje, co się z nim dzieje.

Aż oto wzrok podnosi i widzi ją, Jadwigę.

Stoi ona na stopniach tronu, pod złocistym baldachimem, cała biała i jasna, jak zjawisko nadziemskie.

I w tej chwili, gdy wzrok jego z jej wzrokiem się łączy, czuje, jak nagle zapada się w nim stary człowiek, a rodzi się nowa dusza. Zamiera w nim poga nin, a wytryska z ukrytych głębin jego istoty jakieś źródło światlane Miłości i Dobra, źródło, co być będzie już przez życie całe i rozszerzać się we wspaniałą rzekę czynu. Patrzy w oczy swej królowej i oderwać się już od niej nie może. Sercem do jej stóp się kładzie i duszą całą do niej przyrasta.

Jadwiga!

Dziś jeszcze, na samo wspomnienie jej imienia, serce mu taje i drży tkliwością, czcią, uszanowaniem najgłębszem i najgłębszą miłością. A obrączki jej, co Polskę z Litwą w świętem małżeństwie złączyła, nie zdejmuje on nigdy z palca, nigdy, i jest mu ona ze wszystkich skarbów najdroższym.

A słowiki śpiewają...

A stary król wspomina...

Oto, licznym orszakiem otoczony, objeżdża o wieczornej zorzy krwawe pole bitwy. Straszne żniwo leży u jego stóp. Tysiące! Tysiące!

Sprawiedliwy jest Bóg chrześcijański, chociaż nie rychliwy. Zbrodnię karze, dumnych powala, a wyższa pokorne.

I wpośród ogólnej radości dokoła, wpośród tryumfalnych okrzyków i wybuchów szczęścia, on jeden, król i pan, zamyśla się poważnie, konia wstrzymuje i, patrząc na to pole, trupem jak sнопami zbożnymi usłane, płacze. Łzy mu cieką po twarzy, łzy żalu po tych żywotach młodych, zgaszonych nagle jak świece, po tych duszach chrześcijańskich, łzy rozczulenia, ale i łzy szczęścia, łzy wdzięczności.

Ze długa męka się skończyła.

Ze okrutna dłoń wraza z karku zrzucona.

Ze wyczerpanie duszy narodowej taki wydało owoc.

Ze poświęcenie nie poszło na marne.

Cieką mu łzy po twarzy. Lecz przez zaciśnięte zęby wyrwywają się znów słowa podczas bitwy wykrzyknięte: Murem stać!

Krzepnie przysięga trwania, trwania na wieki.

A w duszy dźwięczy mu hymn radości, tryumfu, wdzięczności dla tego Boga sprawiedliwego.

A w duszy śpiewają mu wiośniane słowiki...

I nie chce on tryumfu, ni chwały dla siebie.

Nie chce na pysznym koniu wjeżdżać jako tryumfator do stolicy, na czele wojsk zwycięskich i zdobytych łupów. Idzie pieszo poprzez tłumy radością upojone, pod dźwiękiem dzwonów kościelnych, pod chrągwanym poszumem. Idzie jak pątnik skromny dziękować Bogu za łaskę. Idzie do wawelskiej katedry, do grobu Jadwigi. I tam klękawszy, długie, długie spędza godziny.

Godziny doniosłe i owczne. Bo z nich się rodzi myśl wielka, w nich miłość dla umarłej małżonki coraz bujniej w sercu się rozrasta, umacnia się, rozszerza i wykwiata wreszcie wspaniałym, wiekopomnym, jedynym na świecie kwiatem Unii przez Miłość.

I na pergaminie horodelskim piszą się te słowa, których jeszcze w stosunkach między narodami nigdy nie słyszał świat:

„Nie dozna łaski zbawienia, kto się na miłości nie oprze. Miłość jedna nie działa marnie”.

O, dniu święty! Dniu jedyny!

Stary król złożył pobożnie ręce i zaczął się modlić:

— Dzięki Tobie, Panie i Boże, żeś mnie grzesznego wybrał za narzędzie do dokonania tej Unii świętej. Dziękuję Tobie za całe to życie moje, za te wszystkie łaski i dary.

I rozkwitło się serce starego króla nad szczęściem własnym.

A słowiki śpiewały...

A może to była jego duszy pieśń...

Słowiki, tu wśród bzów rozkwitłych, śpiewały, mówiąc:

„Radość! Radość! Wieczne życie, wieczne trwanie. Niema śmierci, niema zgonu, jest coroczne zmartwychwstanie. Niema śmierci, gdzie są dzieci. Niema śmierci, gdzie czyn dobry, tam, gdzie prawda, miłość świeci...”

„Dzieci... Dzieci...” odpowiadały im z za stawu słowiki z dalszych gniazd.

— Dzieci... — szepnął stary król.

I tych nie odmówiły mu losy. Rośli dwaj królewicze-sokoly, dwa orlątka młode na górze wawelskiej. Synaczki rodzone. Dziedzice chwały. Pracownicy przyszłości. Rośli dla Polski, dla Litwy, dla świata, dla nieśmiertelności. Niema bowiem śmierci, gdzie są dzieci, gdzie są czyny dobre i gdzie miłość.

— Synoczki wy mają, gołubiata sakoliki... — westchnął król i uczuł, jak mu się serce rozgrzewa i w tkliwej miłości taje.

Oparł zmęczoną głowę o pień za sobą, oczy podniósł ku księżycowi, ku błękitnemu niebu i marzył.

O synach swoich i o ich losach szczęśliwych, ich cnotach i chwale i potędze...

I o ludach swoich, przed którymi leży teraz droga otwarta i szeroka, o ludach, które miłością złączone, oświecone wiedzą, silną dłonią pchnięte ku wielkim celom i zadaniom szlachetnym, pójdą naprzód i naprzód przez wieki.

Wszakże tak mówi wiosna...

Stary król objął raz jeszcze piękny świat Boży rozmarzonym wzrokiem. Uśmiechnął się do księżyca, co na niebie jasnem, wśród rozspanych gwiazd, wędrował do stawu cichego tam w dole, co księżyc i gwiazdy odbijał, do tych mgieł wilgotnych i białych, co z łąk dalekich wstawały, jak senne mary, i mknęły cicho, lekko ku górze, do tych bzów, co jak kadzielnice ofiarne słały swe wonie w dal, do tych ptasząt uśpionych po gniazdach i do tych nocnych śpiewaków słowików.

Uśmiechnął się.

Sen go morzył i głowa mu spadała na piersi.

—Wieczne życie.. wieczne trwanie...—szepnął...
jeszcze.

I usnął.

A słowiki śpiewały.

Emma Jelńska.

Współczesna powieściopisarka polska.

96. ŚWITEŻ.

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjehawszy, pomnij zatrzymać tve konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyliż też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina;

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu.
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie uludzi,
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprowia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz wśród wody gwar, jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgłęb walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzesty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żalosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyslał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w blizkiem robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyną;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Staął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał pracę, pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;

Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie zловіą ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciagną ostatek wieczery:
Powiemże, jakie złowiono straszdyło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszdyło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie;
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści;
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradiada,
Że w tobie nasza krew płynie;

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniósł,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świtez i w sławne orężem ramiona,
I w krasne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

Nie émił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Poteźnem wojskiem car Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
— „Tuhaniel w tobie obrona stolicy,
Spiesz, zwołaj twe towarzyszel!”

Skoro przeczytał Tuhana list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stało zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec,
Lecz Tuhana stanie i ręce załamię,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie:—Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?—
Wszak wiesz, że Świtez nie ma innych szanów,
Prócz naszych piersi i mieczy.

Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córki i żony?

Ojcze, odpowiem, lękasz się niewczesnie,
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałem Jego anioła.

Okrażył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotymi piórami,

I rzekł mi: — Póki męża za granicą,
Ja bronię żony i córy. —
Uśluhał Tuhana i za wojskiem goni:
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tętent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ural
Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.
— Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś walił
Ach! zginęmy lepiej, zabijmy się same:
Śmierć nas od hańby ocali. —
Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu:
Miecz bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznymi głosy:
— Przeklęty będzie, kto się nie dobije!...
Broniłam, lecz próżny opór;
Klęczą na progach, wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.
Gotowa zbrodnia: czyli wezwać hordę
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnymi wytepić się mordy?
— Panie, zawołam, nad Pany!
Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej Twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie! —
Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi niema pode mną!

Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w ziola.
Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
List ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobiełają.
Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.
Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalowy umaja,
Ten wianki na skronie plecie.
Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.
Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary;
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa cary".
To mówiąc, pani zwolna się oddała;
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.
Jezioro do dna pękło naksztalt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słychać o niej.

Adam Mickiewicz.

Co widzisz pokrewnego między tym utworem a baśnią? Fantastyczna baśń wierszowana nazywa się *ballada*. Wymień znane ci ballady.

Świtez leży w powiecie Nowogródzkim gubernji Mińskiej, Plużyny, Cyryn—wsie okoliczne. Car-ziele—rodzaj podbiału.

97. Mikołaj Kopernik.

I. Wiek XV—to wiek odkryć i wynalazków. On to widział wiekopomną podróż Kolumba i, witając nowy świat przez odkrycie Ameryki, poznał rzeczywistą budowę kuli ziemskiej, dotychczas za płaszczyznę uważanej. Inne wielkie odkrycie, dotyczące ustroju świata, zawdzięcza nauka naszemu rodakowi, *Mikołajowi Kopernikowi*, o którym znany wiersz powiada:

„Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię,
Polskie wydało go plemię”.

Kopernik wykazał, że ziemia nie jest środkiem, koło którego wszystko się obraca, ale tylko jedną częścią olbrzymiego dzieła Bożego, jakim jest wszechświat.

Nauka Kopernika zadała cios stanowczo astrologji, t. j. nauce wrózenia z gwiazd, bo gdy się okazało, że ciała niebieskie nie dlatego istnieją, by służyły ziemi, musiała się rozwiać wiara w ich wpływ na losy jej mieszkańców.

Mikołaj Kopernik urodził się d. 19 lutego 1473 r. w Toruniu, dokąd się ojciec jego przeniósł z Krakowa. Rodzina Koperników pochodziła ze Śląska, ze wsi kościelnej Kopernik; po zamieszkaniu w Krakowie otrzymała mieszczanstwo.

Sierota od 10 roku życia, zostawał Mikołaj na opiece wuja, biskupa warmińskiego, Łukasza. Od lat najmłodszych oddawał się z zapalem nauce. Ukoń-

czywszy szkołę początkową, pojechał do Krakowa; w uniwersytecie wstąpił na wydział sztuk wyzwolonych¹⁾, słuchając ze szczególną ochotą matematyki i astronomji, którą wykładał słynny Wojciech z Brudzewa.

Mistrz poznał zdolności wychowanka i poza szkołą chętnie z nim przestawał, biorąc go za pomocnika w swoich pracach.

W r. 1497 Mikołaj udał się do Padwy i Bononji²⁾, gdzie w dalszym ciągu oddawał się matematyce, astronomji i medycynie. Po dwóch latach nauki tak przewyższył swoich mistrzów, że polecono go papieżowi Aleksandrowi VI na profesora uniwersytetu rzymskiego. I oto w Rzymie, w stolicy świata chrześcijańskiego, młodziutki, zaledwie 27-letni Polak wykłada najtrudniejszą z nauk. Porywającą wymową zachwycał słuchaczy. Długo zachowali też w pamięci łagodne oblicze młodego mistrza, którego bystre wejście i wyniosłe czoło znamionowało poważną wiedzę i dobroć.

II. Nauczając innych, sam Kopernik doskonalił się w sztuce lekarskiej. W r. 1504 powrócił do Krakowa; za namową wuja poświęcił się stanowi duchownemu, został kanonikiem warmińskim i przybocznym lekarzem biskupa. Zamieszkał odtąd w Frauenburgu i gorliwie oddał się pracy, połączonej z nowym zawodem.

Jako kanonik brał udział w sejmach i sejmikach i gorąco na nich po polsku przemawiał. Kiedy nieprawnie zajęto część zamków i grodów, należących do biskupstwa warmińskiego, Kopernik

¹⁾ Sztukami wyzwolonemi zwano: gramatykę, retorykę, dialektykę, arytmetykę, astronomję, geometrję i muzykę. Nazywano je wyzwolonemi dla odróżnienia od rzemiosł. ²⁾ Miasta włoskie

zaniósł skargę do sejmu i niesłusznie wydartą własność odebrał.

Pracując dla dobra publicznego, nie chciał jednak przyjmować żadnych urzędów, spokojnie przemieszkiwał we Frauenburgu, oddając się służbie Bożej i niosąc ulgę ubogim, których nie tylko wspierał radą lekarską, lecz i zasilął datkami.

Dla Frauenburga wymyślił machinę w rodzaju dzisiejszych wodociągów, służącą do zaopatrywania w wodę domów miasta.

Wszystkie chwile, wolne od zajęć obowiązkowych poświęcał ukochanej nauce. Na dachu mieszkania swego urządził obserwatorium i całe noce spędzał tam, wpatrując się w niebo, obliczając bieg gwiazd. Tam poznał prawdziwy układ świata, tam powstało jego wiekopomne dzieło: „O obrotach ciał niebieskich”.

III. Trudną była praca Kopernika: sam musiał sobie sporządzać narzędzia, potrzebne przy doświadczeniach, do wszystkiego dochodzić własną pracą i rozumem.

Tymczasem ludzie, widząc dziwaczne, jak im się wydawało, „praktyki” uczonego, zaczęli dziwy o nim opowiadać.

Ale uczony nie zrażał się ludzkim gadaniem. Przez lat kilkanaście pracował wytrwale nad swoim odkryciem, dzieląc się spostrzeżeniami z uniwersytetem krakowskim. Sława Kopernika sięgała jednak poza granice kraju. Słynny w Niemczech profesor matematyki, Jerzy Retyk, posłyszawszy o odkryciu polskiego mędrca, przyjeżdżał do Frauenburga, żeby się zapoznać z nauką Kopernika. Ulegając usilnym żądaniom przyjaciół, uczony zgodził się na wydanie swego dzieła. Poprzedził je listem do papieża Pawła III.

„Wiem ja dobrze, ojciec święty—pisał w nim—iż, skoro tylko niektórzy się dowiedzą, że w dziele mojem *O obrotach ciał niebieskich* przyznaję kuli ziemskiej pewne biegi, zaraz na mnie powstaną i potępiają moje zdanie”. Obawa ta o mało nie skłoniła Kopernika do zaniechania zamiaru wydania ułożonego dzieła, ale przemogła miłość prawdy.

W tym samym roku 1543, kiedy księga „O obrotach ciał niebieskich” wyszła w druku, twórca jej umarł.

Ale tacy ludzie nigdy nie umierają całkowicie. Praca ich nie ginie, a imię jest nieśmiertelne.

Nauka o biegu ziemi, która się zrazu wydawała niedorzeczną, tem większego znaczenia nabyła później. Po wielu miastach wzniesiono wielkiemu astronomowi posągi i na cześć jego wybito medale pamiątkowe. Na pomniku, wzniesionym w kościele uniwersyteckim św. Anny w Krakowie, czytamy napis:

M. Kopernik
Ojczyzny, Miasta, Akademji
Ozdoba, zaszczyt, chwala.

Możemy się słusznie chlubić takim mężem. Kopernik jako prawy syn Polski kochał ojczyznę, co się przebija w całym jego życiu, w pismach, w mowach sejmowych.

W Padwie wpisał się do stowarzyszenia polskiego. Chlubić się nim może i uniwersytet krakowski, bo słusznie powiedział jeden z pisarzy, że jak Kopernik poruszył ziemię, tak akademja poruszyła jego duszę—rozbudziwszy w nim zapal do nauki.

H. Orsza.

Co to znaczy zyciorys? Na czem polega odwaga cywilna?

98. ŚWIATŁA.

Niebieskie światła po drżącym eterze
 Ślą jasność swoją w bezbrzeżne otchłanie,
 A nikt nie dojdzie, skąd się blask ich bierze
 I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
 I nikt nie zbada, co — i w jakiej sferze
 Z tej promienistej wędrówki powstanie?
 Lecz moc nie zginie, i promień skrzydlaty
 Do życia nowe powołuje światy.
 Tak samo światła ludzkich dusz, co płoną
 I ponad ziemią znaczą drogę jasną,
 Gdy promieniami w nieskończoność toną,
 Chociaż się w ciemność rozproszą, nie zgasną,
 Ale dalekiej przyszłości znikniona
 Przekazą siłę i słoneczność własną...
 Aż z owych blasków, rozpierzchłych w przestrzeni,
 Nowa jutrzienka ludzkość opromieni.

Adam Asnyk.

Wskaż takie światła w dziejach Polski i ludzkości.

99. Bezstronność.

Zygmunt I, chcąc syna swego, Zygmunta Augusta, wprawić do przyszłego władania całym krajem, jeszcze za życia powierzył mu rządy Litwy. Wkrótce potem przybyło kilka panów z Wilna i, dla przypodobania się ojcu, zaczęli pod niebiosą wynosić postępowanie młodego księcia, przytaczając jego dobre i roztropne czyny. — Zostawcież i przyganie jakie miejsce — odpowiedział król, który nie lubił pochlebstwa.

100. Czyn i słowo.

Sławny hetman koronny, Stanisław Koniecpolski, pogromca Tatarów, Turków i Szwedów, i jeden z pierwszych obrońców ojczyzny za czasów Zygmunta III, miał wymowę przytrudną i często się jąkał. Z tego powodu rycerstwo mawiało o ukochanym wodzu: „Pan Stanisław wprzód uderzy, nim wymówi”.

101. W Zbarażu.

Nastaly teraz ciężkie dni dla Polaków, tak że wszystko, co przedtem znieśli, było jakby walką z przednią strażą nieprzyjaciela. Chmielnicki wyteżył wszystkie siły i nie szczędził krwi i ludzi, aby raz skończyć ze Zbarażem. W postępowaniu jego widać było gorączkowy pośpiech, a w kozackich taborach ruch, jakby ciągle na gwałt dzwoniło. Od 1 sierpnia poczynawszy, przez cały tydzień, można powiedzieć, trwał szturm bez ustanku, a szanse nieprzyjaciela stały tylko 30 kroków oddalone od obozu.

Dzień i noc strzelano z armat i ręcznej broni, a trzy razy na dobę: o świcie, w południe i o północy przypuszczano szturm na wały. Szły coraz nowe pułki z rozwiniętymi sztandarami, upojone gorzałką, przy odgłosie trąb, śpiewając i krzycząc, na wały. Ordy tatarskie chmurami posuwały się po błoniach, pędząc przed sobą czerń i okrzykami dodając otuchy kozactwu. Pod okopami w czasie szturm pchała się głowa na głowę, huk i wrzask był straszny, że mógł odebrać przytomność.

Obóz Polaków, broniony ziemnymi wałami, na przedce usypanymi, wyglądał jak mała kępa wśród

rozhukanych bałwanów, które nań ciągle uderzały, i lada chwila zalać mogły. Wałów bronili żołnierze zdziesiątkowani, niewyspani, głodni i obdarci, jak żebracy, ale w ciągłej walce zahartowani, na nieprzyjaciela zaciekli, „serca skamieniałe i umysł zatwardniały niosąc”, żyć i umierać, wszystko im jedno było. Szable wyszczerbione na karkach nieprzyjacielskich, strzelby potrzaskane od ciągłego używania, drągi, kamienie i ośniki¹⁾ w ręku, i z czem kto mógł, rzucał się na nieprzyjaciela, wyrывая mu z rąk samopaly, szable i rogi z prochem dla własnej obrony.

Działa na zamku słabo odpowiadały, bo już tylko na 6 dni zostało amunicji. W czasie szturm strzelano z moździerzów granatami, broń dotychczas Kozakom nieznana, która ich najbardziej przstraszała i niszczyła. W nocy rzucano z wałów mańlice zapalone, belki smolne i osie od wozów, które światłem swoim podchodzących Kozaków zdradzały. „Powiadali starzy żołnierze, że tego na żadnej wojnie nie używano, co teraz Wiśniowiecki z Firlejem wymyślali”.

6 sierpnia o świcie przypuścił Chmielnicki ze wszystkich stron szturm generalny, a najbardziej ku kwaterom Ostroroga. Posunęły się nowo zbudowane hulajgrody, które po 15 ludzi na walcach toczyło; 400 drabin, chróstem przeplatanych, tak wielkich, że każdą po 20 ludzi na kołach toczyć musiało, położono przez fosę na wały. W mgnieniu oka całe tłumy stanęły na okopach, inne za nimi się pchały, a nowe pułki nadchodziły. Rozpoczęła się walka na pięście, trwająca trzy godziny, prowadzona z nad-

¹⁾ Ośnik—nóż mający przy końcach dwie poprzeczne rękojeści; służy do strugania drzewa.

ludzkim wysileniem. Z zamku ryczały armaty, ostatkami amunicji bijąc nadchodzące pułki, jazda, wypadłszy z wałów, siekła pchające się tłumy; w rowach i na placu leżały wały trupów, na całą kopję wysokie.

Cofnął się wreszcie nieprzyjaciel. W południe i o północy ponowił szturmy, ale mniejsze, bo Kozacy już iść nie chcieli. Pokazało się nazajutrz, że to był szturm ostatni, i, że Chmielnicki już krwią swoich ludzi szafować nie chciał, czy nie mógł, i obleżonych wystrzelać i ogłodzić postanowił.

Kazał wysypać przez dzień i noc 15 szanców, wysokich na dwie kopje, dokoła obozu. Na tych szancach wystawił ze swoich hulajgrodów beluardy¹⁾, na których umieścił drabiny, jakby sztachety, tak wysoko, że z poza nich można było wygodnie patrzeć do polskiego obozu. Szanice te obsadził najlepszymi strzelcami i zatoczył działa, które śrutem i siekającami nabijać kazał, i zabijał każdego, kto się na majdanie, t. j. na placu wewnątrz obozu pokazał. Pod każdą chorągwią codzień najmniej 10 ludzi padało. Brat brata ratować nie mógł, gdzie kto został ranny, na tem miejscu wśród gradu kul aż do nocy leżeć musiał, a gdzie kto poległ-zabity, tam mu w nocy grób wykopano. Zasłaniał się widok płachtami i namiotami, nie nie pomogło, żaden strzał nie był darmo. Zostawiwszy zatem wozy, przeniesiono się do miasta i zamku i czekano w gotowości, aby w danym razie na czas wybiegnąć i bronić wałów i taboru.

Wśród tych oparów spostrzeżono z wielkim zdziwieniem 8 sierpnia w południe, że tabor kozacki ku cerkwi murowanej w stronę starego Zbaraża pomykać się zaczął. Namioty chana i Chmielnickiego, które

¹⁾ Beluarda—baszta, narożnik obronny.

o ćwierć mili naprzeciw obozu polskiego stały, rozbito pod starym zamkiem, na prawem skrzydle obleżonych, przeciw kwaterze Wiśniowieckiego.

Przez cztery dni następne (od 9-go do 12-go) lał deszcz jak z cebra, i wszystkie kroki wojenne ustały. 13 sierpnia w południe dostrzeżono niezwykły ruch w obozie nieprzyjacielskim: tłumy czerni szły od wałów w stronę taboru z rydlami, jakby do kopania szańców.

Wieżę się rozeszła w polskim obozie, że posiłki już w Załóścicach, trzy mile od Zbaraża, i że nieprzyjacieli chce się z tyłu szanować. Wołali Kozacy, że to Dońcy nadchodzą, ale Polacy nie wierzyli. Na drugi dzień rozpuszczono nowinę, że Chmielnicki z całą potęgą ruszył bronić przeprawy królowi, który tylko o milę oddalony. Ogólna wesołość; w bębny i trąby uderzono, czem zdumiony i strwożony nieprzyjacieli gęsto z dział strzelać zaczął.

Cóż się więc działo w obozie kozackim? Dzień po dniu mijał w ciężkiej niepewności, gorszej od szturmów i od głodu, który się w obozie pojawił. Czy król z odsieczą nadchodzi czy nieprzyjacieli Zbaraż opuści, czy też zablokować i wygłodzić go zamierzył—nie wiadano.

Gdy do Jana Kazimierza doszła wieść o oblężeniu Zbaraża, postanowił wyruszyć z nielicznymi wojskami na odsiecz. Wiadomości jednak, które króla dobiegały, były tak sprzeczne i niepewne, że trudno się było zdecydować, czemu wierzyć; a czas mijał.

Dopiero pod Toporowem zjawił się w namiotach królewskich żebrak, bardziej do cienia, niż do człowieka podobny, i oddał listy od regimentarzy z pod Zbaraża. Był to dzielny towarzysz pancerny, Jan Skrzetuski, wysłany od Firleja do króla. Przewiózł się w nocy przez staw, całą noc w trzcinie leżał, w dzień

w chróstach się czolgał, manowcami się przemykał i, w błocie się topiąc, nieprzyjacielskie mylił strażę i przyniósł listy, a co król w piśmie wyczytał, to wszyscy z jego oblicza wyrozumieli. Pisał Firlej, że już w mieście i zamku się bronią, mięso koni jedzą, połowa koni wyzdychała, prochu na 6 dni tylko zostaje, a wielu żołnierzy od samego niespania umiera; że proszą o ratunek, bo dłużej nad 6 dni nie wytrzymają.

Król posłańca udarował i pierwszy wakans¹⁾ obiecał. Kanclerz dał pieniądze, konia, czapkę i szaty z siebie; a towarzysz zapytany, czy zechce zanieść nazad królewskie listy do Zbaraża, podjął się tego, ale co się z nim potem stało, niewiadomo.

Król wyruszył z odsieczą.

Ludwik Kubala.
Współczesny historyk polski.

Oblężenie Zbaraża było w r. 1649. Kto z kim tu walczył, i o co toczyła się wojna?

102. Dumka hetmana Kosińskiego.

Hop, hop, cwałem, koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony,
Dłużej chwilką
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ.

Od Piatyhor, Pawołoczy
Bieży tłumnie lud ochoczy,
Nalewajki
Lotne czajki
Płyną Dnieprem już.

¹⁾ Miejsce niezajęte, wyższy stopień.

Wnet pospieszą rejestrowi
 Ku odsieczy Czehrynowi,
 Przy rozgłosie
 Dum po rosie
 Przypuścimy szturm.
 Zagra ziemia pod kopyty,
 Proch pomiecie, słupem wzbity,
 Ura! głosy
 Pod niebiosy
 Wzleca z brzękiem surm.
 Ho, ho, darmo — nigdy w stepie
 Zdrad tatarskich nie prześlępie,
 Jak się biją,
 Gdzie się kryją —
 Znam, jak murza hord.
 Umieć zagnała wpaść na karki,
 Rąbać szablą, grzmieć z janczarki,
 W lewo, w prawo,
 Szybko, żwawo
 Nieść ogień i mord.
 Widać, widać już Stawiszczę;
 Wiatr w chorągiew miasta świszczę,
 Daszka szyki,
 Brzmią okrzyki,
 Biją dzwony z wież.
 Dniowa gwiazda chmurna, blada,
 Za krzywiecki las zapada,
 Wrony koniu,
 Po tem błoniu,
 Prędej, prędzej bież.
 Miga w dali dwór mój biały,
 Grają trąbki, grzmią wystrzały,
 Widna moja
 Złota zbroja,

Sokół, hart i koń.
 I ot, stoi tam u drzewa
 Moja młoda czarnobrewa,
 Piękne oczy
 Łzami mroczy,
 Załamuje dłoń.
 — Nie płacz, nie bluźń, moja droga,
 Śmierć i życie w ręku Boga!
 Próżne słowa,
 Bądź, bądź zdrowa —
 Dalej, koniu mój!

Bohdan Zaleski.

Poeta polski z pierwszej połowy XIX w.

W poezji niezawsze jest ścisłość historyczna: hetman kozacki, Jan Kosiński, zorganizował powstanie Kozaków w r. 1590 za Zygmunta III,—Nalewajko w r. 1596,—Daszko oblegał Stawiszczę w r. 1664, walcząc pod Chmielnickim.

Różnica między *dumką* (pieśń z życia ludu ukraińskiego), a *dumą* historyczną. Gdzie więcej pierwiastku lirycznego?

103. Wyprawa Skrzetuskiego ze Zbaraża.

I. Ponieważ trzeba było uwiadomić króla, co się dzieje w Zbarażu, i zażądać jak najspieszniejszej pomocy, jeden z najwaleczniejszych obrońców, Skrzetuski, postanowił się przemknąć przez obóz nieprzyjacielski i ocalić towarzyszy albo zginąć.

Zdecydował się iść wodą przez stawy.

Noc była bardzo jasna, i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porosły był gęsto trzcina i sitowiem. O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony; Skrzetuski więc

postanowił okrażyć cały staw brzegiem, aż do bagienka, leżącego po drugiej stronie, przez które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straż kozackie albo tatarskie, ale zato rósł cały las trzcin. Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzcin nawet we dnie, chyba by topieliśko okazało się zbyt głębokie. W czasie deszczu byłby Skrzetuski po prostu przepłynął staw i najdalej w pół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki, całe potoki zielonawego światła lały się na staw, zmieniając liście grążeli w srebrne tarcze, a pióra trzcin w srebrne kity. Roje komarów podnosiły się z trzcin i, utworzywszy kłęb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach, klując dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszami żalosne swe nieszpory.

Skrzetuski, wybierając się w drogę, nie przewidział wszystkich trudności, nie przewidział mianowicie strachów. Wszelka głębina wód ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego, a staw zbaraski był po prostu okropny. Woda wydawała zaduch trupi. Bo też gniły w niej setki Kozaków i Tatarów. Skrzetuskiego obejmował chłód fali, a pot oblewał mu czoło. Co będzie, jeśli nagle jakieś zielonawe oczy spojrzą na niego z pod trzcin? Długie łodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może topielec obejmuje go, żeby nie puścić.—Jezus, Marja! Jezus, Marja!—szeptał bez ustanku, posuwając się naprzód. Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiazd i spokoju niebieskiego doznawał pewnej ulgi.

Oddalił się już tak od obozu, że spostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu stojącego na koniu Tatar. Więc zatrzymał się i spoglądał na tę postać, która zdawała się być uśpioną. Skrzetuski nie spu-

szczał z niego oczu i odetchnął głęboko, gdy wobec tego rzeczywistego niebezpieczeństwa pierzchy inne, stokroć cięższe—urojone.

Wreszcie poszedł dalej, posuwając się jeszcze ciżej i ostrożniej. Był już na pół drogi od bagienka i rzeki, gdy zerwał się pierwszy powiew, zakolysały się trzcin i wydały, trącając się jedna o drugą, szelest mocny, a Skrzetuski uradował się, bo, pomimo całej ostrożności, mimowolny plusk, potknięcie się mogły go zdradzić. Teraz szedł śmieiej wśród głośnego rozhoworu trzcin, którym zaszumił staw cały.

Lecz naraz jakiś czarniawy przedmiot zjawił się przed Skrzetuskim i począł z falą chybotać ku niemu, jakby gotując się do skoku. Skrzetuski omal nie krzyknął; strach i obrzydzenie zatamowały mu jednak głos w piersiach, a jednocześnie straszliwy zaduch uchwycił go za gardło.

Z wysiłkiem i pośpiechem ruszył dalej. Rozhovor trzcin trwał ciągle i wzmagal się coraz bardziej. Przez ich kołyszące się kiście dojrzał Skrzetuski drugą i trzecią placówkę,—potem czwartą.—Już z pół stawu musiałem okrażyć—pomyślał i podniósł trochę trzcin, aby rozpoznać, gdzie się znajduje; wtem coś go trąciło w nogi, i ujrzał tuż obok swych kolan twarz ludzką.

— To już drugi—pomyślał i przyspieszył kroku, by nie dostać zawrotu głowy.

II. Trzcin stawały się coraz gęstsze, co z jednej strony dawało bezpieczne ukrycie, z drugiej jednak niezmiernie utrudniało pochód. Upłynęło jeszcze pół godziny, później godzina, on szedł ciągle, ale coraz więcej był strudzony. Woda w niektórych miejscach była tak płytka, że nie dochodziła mu do goleni, gdzieś indziej zapadał po pas. Męczyło go też niezmiernie powolne wyciąganie nóg z błota, a jednocześnie od

czasu do czasu przechodziły po nim dreszcze od stóp do głowy.

— Co to jest?—myślał ze strachem—czy mnie febra chwyta? Bagienka jakoś niema,—nuż nie rozpoznam miejsca wśród trzciny i ominię?

Było to straszne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób mógł krążyć całą noc naokoło stawu i z rana znaleźć się w tem samym miejscu, z którego wyszedł, lub wpaść w ręce kozackie.

— Złą obrałem drogę—myślał—wróć, odpoczne... jutro pójdę inną. Przez stawy nie można.

Lecz szedł naprzód. Przychodziło mu do głowy, że, idąc tak wolno, nie mógł jeszcze dojść do bagienka. Jednakże myśl o odpoczynku opanowywała go coraz silniej. Chwilami miał chęć położyć się gdzie na błocie, by choć odetchnąć. Dreszcze przechodziły go coraz częściej, coraz słabiej wyciągał nogi z błota. Widok straży tatarskiej orzeźwił go jeszcze, ale czuł, że nadlatuje nań gorączka.

Upłynęło znów pół godziny, i myśli Skrzetuskiego mącić się zaczęły: widział wkoło siebie topielców i żywe, znane twarze... przemawiają do niego...

Budzi go jakiś szelest, dochodzący od strony, w którą idzie; zatrzymuje się, słucha. Słyszcć plusk—to czółno. Siedzi w niem dwóch mołojców: jeden popycha wiosłem, drugi długą tyczką, świecącą zdaleka jak srebro, rozgarnia wodne zarośla.

Skrzetuski osunął się w wodę aż po szyję, tak że głowa tylko wystawała mu ponad sitowie, i patrzył.

Spokojnie i niedbale przepłynęli mimo, słyszał tylko urywek rozmowy:

— i sej smierdziaczęj wody kazały pilnowaty!

Skrzetuski ruszył dalej.

Po jakimś czasie znów ujrzał placówkę, ale teraz mniej się obawiał tych straży, niż utraty przy-

tomności. Spostrzegł, że mu się dwoi, troi w oczach, że staw wydaje mu się obozem, a kępy drzew namiotami. Wówczas chciał wołać na przyjaciół, ale tyle miał jeszcze przytomności, że się wstrzymał.

— Nie krzycz! nie krzycz!—powtarzał sobie—to zguba.

Lecz ta walka była coraz trudniejsza. Wyszedł ze Zbaraża znękany głodem i bezsennością, od której umierali tam żołnierze. Ta podróż nocna, zimna kąpiel, trupi oddech wody, błędzenie po błotach, szarpanina wśród korzeni roślin—osłabiły go do reszty, czuł, że jeżeli nie prędko dojdzie do bagienka, to albo wyjdzie na brzeg, albo padnie wśród tych trzciny i utopi się.

Bronił się jeszcze goręcej i szedł, coraz mniej zachowując ostrożności. Komary śpiewały nad nim cienkimi głosami coraz żałośniej. Woda stawiała się głębsza, wkrótce doszła mu do piersi. Węc pomyślał, że jeśli płynąć przyjdzie, to zapłacze się i utonie.

I znowu chciał wołać Wołodyjowskiego. Już ręce koło ust złożył, gdy jakaś trzcina miłosierna uderzyła go zroszoną, mokrą kiścią w twarz. Oprzytomniał i ujrzał przed sobą na prawo małe światelko.

Teraz już patrzył ciągle na to światło i jakiś czas szedł wytrwale.

Nagle zatrzymał się, spostrzegłszy pas czystej wody, lecącej wpoprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu stronach bagienko.

Woda też tu była zimniejsza.

Teraz ośwładnęło nim straszne znużenie. Nogi mu się trzęsły, a przed oczyma wstawał jakby czarny тумan.—Nie może być inaczej, tylko dojdę do brzegu i położę się—myślał—nie pójdę dalej, odpoczne.

Wtem spostrzegł, że kiście trzciny i tarcze grzybienia są jakieś bladawe, woda świeci inaczej, a powietrze przesłania się mgłą.

Obejrzał się—dniało.

Cała noc zeszła na okrażaniu stawu. Był załedwie na początku drogi. Teraz musiał iść rzeką i przedostać się przez tabory za dnia.

W odległości pięciuset może kroków widać było placówkę tatarską, a dalej łąka pusta, na której świeciło ognisko dogasającym żarem. Rycerz postanowił się przyczoić ku niemu wśród wysokich traw, porośniętych jeszcze sitowiem.

Doczoławszy się, szukał pilnie, czy nie znajdzie resztek żywności. Jakoż znalazł świeżo ogryzione kości baranie ze szczątkami żył, tłuszczu, oraz kilka sztuk pieczonej rzepy, porzuconych w ciepłym popiele. Jął więc jeść z żarłocznością dzikiego zwierza i jadł, póki nie dostrzegł, że placówki zbliżają się ku niemu. Cofnął się w kępę trzciny i położył na niej bez szelestu. Straże przejechały, a on wziął się natychmiast do kości, które zabrał z sobą, a które poczęły teraz trzaskać w jego szczękach. Ogryzł tłuszcz i żyły, wyssał szpik, zżuł masę kostną, zaspokoił pierwszy głód. Takiej porannej uczty nie miał oddawna w Zbarażu.

Uczuł się teraz silniejszym.

— Dzięki ci, Boże, że żyję dotąd—szepnął.

I niczem mu się zdało, że będzie musiał iść wzdłuż wąskiej rzeki, między szeregami placówek po obu jej stronach.—Bóg go ocali.

III. W Toporowie, w obszernej komnacie siedziało trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Był to król Jan Kazimierz, Hieronim Radziejowski i Jerzy Ossoliński. Obmyślali środki ratunku wobec groźnej nawały, grożącej Rzeczypospolitej.

Król zniecierpliwiony wstał nakoniec z miejsca.

— Ani wieści, ani decyzji—rzekł z mocą.—Ruszę z wojskiem pod Zbaraż, tam się dowiem, kto go oblega, czy chan jest z Chmielnickim.

Panowie zdołali go jednak przekonać, że trzeba najpierw zebrać pewne wiadomości o siłach oblegających, aby na nowe klęski nie narażać wojsk koronnych.

— Róbcie, co chcecie, byłem miał wieści na jutro.

Wtem drzwi się otworzyły i wpadł zdyszany Tyzenhaus, rękodajny dworzanin królewski.

— Miłościwy królu!—zawołał—przybył towarzysz ze Zbaraża.

Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał również i obydwojom wyrwał się z ust okrzyk:

— Nie może być!

— Tak jest! Stoi w sieniach!

— Dawaj go sam!—zawołał król, klasnąwszy w dłonie.—Dawaj go sam, na Matkę Najświętszą!

Tyzenhaus zniknął we drzwiach, i po chwili zamiast niego zjawiała się w nich jakaś wysoka, nieznaną postać.

— Bliżej, mości panie!—zawołał król — bliżej!—Radzi cię widzimy!

Towarzysz przysunął się aż do stołu, i na jego widok król, kanclerz i starosta cofnęli się w zdumieniu. Przed nimi stał jakiś straszny człowiek, a raczej widmo: łachmany, podarte na strzępki, załedwie okrywały jego wychudłe ciało; twarz miał siną, umazaną błotem i krwią; oczy płonące gorączkowem światłem; czarna rozczochrana broda spadała mu na piersi, zapach trupi rozchodził się od niego naokoło, a nogi tak drżały pod nim, że musiał się o stół wesprzeć.

Król i dwaj panowie patrzyli na niego szeroko otworzonymi oczyma. W tej chwili weszła hurma dy-

gnitarzy i, stanawszy za królem, patrzyli na przybysza. Król zaś rzekł:

— Ktoś ty?

Nędzarz otworzył usta, chciał mówić, ale skurcz chwycił go za szczękę, broda zaczęła mu drgać, i zdołał wyszeptać tylko:

— Ze... Zbaraża!...

— Wina mu dajcie!—rzekł jakiś głos.

Podano w mgnieniu oka napelniony kubek — przybysz wypił go z wysileniem. Przez ten czas kanclerz zrzucił z siebie delję¹⁾ i okrył nią jego ramiona.

— Możesz teraz mówić?—spytał po jakimś czasie król.

— Mogę—odpowiedział pewniejszym głosem rycerz.

— Ktoś jest?

— Jan Skrzetuski... porucznik husarski...

— W czyjej służbie?

— Wojewody ruskiego.

— Co słyhać u was? co słyhać?—pytał gorąco kowo król.

— Nędza... głód... jedna mogiła...

Król zasłonił oczy.—Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński!—mówił cichym głosem.

— Długo się możecie trzymać?

— Prochów brak. Nieprzyjacieli w wałach.

— Siła go?

— Chmielnicki... Chan ze wszystkimi ordami.

Nastąpiło głuche milczenie. Obecni spoglądali po sobie.

— Jakżeście mogli wytrzymać?—spytał kanclerz z akcentem wątpliwości.

¹⁾ Płaszcz.

Na te słowa Skrzetuski podniósł głowę, błyskawica dumy przebiegła mu po twarzy, i odrzekł nadspodziewanie silnym głosem:

— Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedemdziesiąt pięć zwycięzek...

I znowu nastąpiło milczenie.

Wtem król się wyprostował,—oczy mu płomieniały.

— Na Boga!—krzyknął—dość tej zwłoki!—Jest chan, czy go niema, dość mi tego! Dziś ruszamy pod Zbaraż.

— Pod Zbaraż! — powtórzyło kilkanaście głosów.

Twarz przybysza rozjaśniła się, jak zorza.

— Miłościwy królu i panie — rzekł—przy tobie żyć i umierać.

Królewskie serce zmiękło, jak wosk, na te słowa i nie zważając na wstrętą postać rycerza, ścisnął mu głowę i rzekł:

— Milszyś mi, niżeli inni w atlasach.—Jakżeś to się przez Kozaków i Tatarów przedarł?

— W błotach się ukrywałem, w trzcinach, lasami szedłem... błdziłem... nie jadłem...

— Jeść mu dajcie!—krzyknął król.

— Jeść!—powtórzyli inni.

— Okryć go!

— Nieśmiertelną chwałę pozyskał!

— Nie było jeszcze większego rycerza!

— A teraz pod Zbaraż!

— Pod Zbaraż!

— Amen — rzekł ksiądz Muszyński, wznosząc ręce z błogosławieństwem.

Henryk Sienkiewicz. („Ogniem i mieczem”).

Porównać ten wyjątek z powieści z opowiadaniem historycznym „W Zbarażu”. Co myślisz o służbie rycerskiej?

Wynaleźć wyrazy podobnego znaczenia do: waleczny, staw, bagno, strach, ulga, znękanie, szczątka, hurma.

104. S e n.

Śnili mi się dziś w nocy rycerze —

O matko moja!

Pod oknami chrzęściła ich zbroja,

Pod oknami dzwoniły puklerze...

Śnili mi się dziś w nocy rycerze,

W lśniących ostro kolecugach ze stali,

Skądś zdaleka, zdaleka jechali

I na nocne przypadli tu leże...

Śniły mi się ich złote puklerze,

Śniła mi się błyszcząca ich zbroja.

Skąd się taki rycerski sen bierze?

Lśniące miecze, szyszaki, pancerze?

O matko moja!

Powiedz-że mi, co wszystko to znaczy?

Czy legenda ożyła tu stara?

Skąd ta senna zjawiała się mara?

Skąd ten hufiec nadjechał junaczy?

Powiedz-że mi, co wszystko to znaczy:

Ognia pełne rumaki? rycerze?

Pod oknami chrzęszcząca ich zbroja?

Skąd się taki rycerski sen bierze?

O matko moja!

Zdzisław Dębicki.

Współczesny poeta polski.

105. Dziedzictwo Sobieskiego.

Po rodzicach, ojcu i matce, odziedziczył Jan Sobieski krew bohaterów, skarb cnót, poświęceń i dzielności. Wszak to z ust Jakóba, ojca jego, wyszły wspaniałe mowy pogrzebowe ku uczczeniu Żółkiewskiego, Żółkiewskiej, Chodkiewicza, które mogą i powinny być czytane dzisiaj obok sejmowych kazań Skargi, ponieważ przesuwają przed naszymi oczyma już nie winy i wady przeciętnego Polaka, zasługujące na zgromienie, ale szereg dzieł sławnych, spełnionych spólnie przez bohaterów,—ale wzory patryjotyzmu czynnego, głęboko odczute i wyrazistym słowem wyrzeźbione. Nie jest przecież czczą przenośnią taki ustęp: „Gdyby to podobna Rzeczpospolita, Ojczyznę naszą miłą, ze wszystkich szerokich granic oraz (razem) zgromadziwszy na dzisiejszy żalony akt zaprosić, onaby... za słuszne być miała, aby zbroczone krwią kości jego (Żółkiewskiego) na ramiona swe wzięwszy, wszystkiemu światu jako sławy, cnoty i męstwa widok wystawiwszy, nie prochem je przykryła, ale owszem w sercach i umysłach nas wszystkich wspaniała im grób zbudowawszy, miasto zieleni — w wiecznej potomnych czasów pamięci tak zacny klejnot pochowała”. Nikt zapewne z największych mistrzów słowa nie określił lepiej miłości ojczyzny od tego mówcy-rycerza, dowodzącego, że takich bohaterów nie należy płakać, lecz świętą zazdrością zazdrościć im, „którzy dla Ojczyzny prace, trudy, niebezpieczeństwa, koszty i bezsenne noce za jedną sobie rozkosz poczytali—którzy na ciele rany za kosztowne męstwa swego upominki odbierali, nie w sercach, nie w ustach, jedno sławną śmierć nie miewali i takową ze świata zeszli... Nader tedy szczęśli-

wy ten zacny kanclerz i hetman koronny, że nie miesiacami, ani lata liczył dni wieku swego, ale znojami i krwią, inszą coraz robotą, coraz nową pracą, różnemi to doma Ojczyzny usługami, to za ścianą Rzpltej¹⁾ ekspedycjami”. Na pogrzebie zaś Jejmc Pani Reginy Herbutówny Zółkiewskiej Jakób Sobieski podniósł tę stronę jej charakteru, że, odbierając ciało męża i żalosny list syna z niewoli tureckiej, „mężnie i skromnie te dotknięcia Pańskie znosiła...nie dała żadnego upadłej persony po sobie znaku... godna zaprawdę tego tytułu, że niegdyś była żoną hetmańską”.

O wnuce tego bohaterskiego stadła, Teofili z Daniłowiczów, pisze z uwielbieniem sam Jan Sobieski: „I matka nie białogłowskiego, ale męskiego była serca; największe za nic sobie mając niebezpieczeństwo, oboje wprawowali nas za młodu, abyśmy nie byli odródnymi od przodków swoich, wystawując nam na oczy jeszcze w dziecięcym wieku wielką sławę ich, ochotę i odwagę na obronę kościoła Bożego i Ojczyzny, kazawszy nas zaraz z abecadłem tego wiersza uczyć z nagrobka pradziada naszego: „O jak słodko i chlubnie jest umrzeć za ojczyznę!”. Gdy nas do cudzych wyprawiano krajów, napisał nasz ojciec instrukcję nauk... a gdy przyszło do tańców uczenia się, dał na to wolą—ale przypisał..., że się nataniczycie z Tatarami. Matka zaś nasza, gdyśmy powrócili z cudzych krajów... po owej nieszczęsnej pilawieckiej ekspedycji²⁾ nie pojeńdenkroć mawiała, że „Gdyby tak który z synów moich miał ująć z potrzeby, nigdybym go nie miała za syna”, i pokazując nam nieraz nasz herb, przypominała ową spartańską nie-

¹⁾ Rzeczypospolitej—tak nazywali dawni Polacy państwo polskie. ²⁾ r. 1648.

wiaść, która, wyprawując synów swoich na podobne ekspedycje, ukazowała im na ich tarczach, mówiąc: „Z tarczą lub na tarczy”. I tak też się stało: Marek skropił pola Batoskie¹⁾... i ze swoim poległ puklerzem.. kości jego nie mają grobu... Tak tedy pradziad, dziad, wuj i brat rodzony od pogańskiej położeni ręki, jakiego przykładu w domach, lubo rycerskich i wojennych, podobno mało trafiło się—ale z pogany za wiarę świętą i kościół Boży”.

Zaprawdę żaden dom rycerski w Polsce, ani żaden z monarszych w Europie nie posiadał takiego łańcucha wspomnień patryjotycznych i ofiar z krwi ciepłej. Nauki takich rodziców musiały zapalić serca dzielnych młodzieńców do służby krajowi i wierze chrześcijańskiej.

Tadeusz Korzon.

Współczesny historyk polski.

(„Dola i niedola Jana Sobieskiego”).

Czy tylko dom Sobieskich tak hojną daninę krwi **złożył** ojczyźnie w ofierze? Czem nabywa naród prawa do swej **ziemi**? Wybierz stąd formy językowe, dziś nieużywane.

106. Kto silniejszy.

Hej, na górze wyniosłej
Zamek sterczy wysoki.
Stopy myją mu fale,
Głowę czeszą obłoki...
Nad nim złota chorągiew
Igra z wiatrem, powiewna, —
A w tym zamku król wielki,
A w tym zamku — królowna!

¹⁾ 1652 r. bitwa pod Batochem.

„Hej, rycerze! Kto siłę
Z was największą okaże,
Temu konia-bachmata
I ryszunek dam w darze,
I sokoła z kapturem,
I puhary złożone,
I połowę królestwa,
I mą córkę za żonę!”

A więc jeden podskoczy
I ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła,
Wyrwał z twardym korzeniem.
Za nim drugi podskoczył,
I niebardo się bawił,
I na miejscu wyrwanej
Drugą skałę postawił.

Król sędziwy wyrzeczce:
„Siła w obu was równa,
Więc którego z was zechce,
Niech rozsądzi królowa”.
Jak malina dziewczeczka
Schyla modre oczęta:
— „Burzyć, ojcze, rzecz wielka,
Lecz budować rzecz święta.

Komu oddać mą rękę —
Ja nie waham się chwili,
Lecz twe słowo monarsze
Niechaj szale przechyli”.
Król z łzą w oku spoziera
Na obydwu rycerzy:
— „Który skałę postawił,
Temu dank ¹⁾ mój należy...

¹⁾ Podziękowanie.

Tys, witeziu, silniejszy,
Niż najwięksi mocarze;
A więc tobie bachmata ¹⁾
I ryszunek dam w darze...
I sokoła z kapturem,
I puhary złożone,
I połowę królestwa,
I mą córkę za żonę”.

Bolesław Czerwieński.

Wyjaśnij myśl tego wiersza.

107. Wyjątek z pierwszej mowy Sobieskiego po elekcji ²⁾.

„Nie są mi tajne przygniatające Ojczyznę od lat
tylu niedole, ani też niebezpieczeństwa, zagrażające
zupełnem wytepieniem szlachetnemu naszemu, do
wolności zrodzonemu narodowi, bo miałem wielki
udział w tem każdego czasu. Zastanawiałem się też,
jak dalece nadwreżonem jest moje zdrowie przez
troski wojenne i poniesione trudy dla Ojczyzny, wiem
też, ile znieść zdołam, lub nie zdołam. Wkońcu i to
mi na myśl przychodziło, że ja, jako prosty szlachcic,
nie mógłbym dorównać książętom zagranicznym,
którzy się o tę koronę ubiegali, i nie mogę obiecywać
więcej, niżbym spełnić był w stanie. Rozważywszy
jednak to wszystko sądem dojrzałym, postanowiłem
ostatecznie, idąc za głosem sumienia, przyjąć to brze-
mię ciężkie i siłom moim nieodpowiednie. A więc po-
święcam i ofiaruję najdroższej Ojczyźnie mojej cia-
ło i życie, mienie i krew moją; pragnę oddać się cał-
kowicie na utrzymanie czci Bożej, na obronę Chrze-

¹⁾ Koń tatarski. ²⁾ Obiór króla.

ścijaństwa całego, na obsługę tego istotnego przedmu-
rza (bo nienasycona pycha Porty Ottomańskiej to
jedno jedyne pozostawiła Chrześcijaństwu), miano-
wicie naszej wspólnej matki, Korony Polskiej. Również
z gorliwością starać się będę o dostarczenie jej obrony
i oręza. A gdyście pozwolili jednomyślnie uszy i sercem,
abym przez uniwersały¹⁾ przypomniał ziemianom ich
obowiązek jak najchętniejszego wypłacenia podat-
ków i poborów, jako zatwierdzonych już decyzją sej-
mową: więc niezwłocznie podpiszę ręką własną i za-
twierdzę te uniwersały”.

„Obok ofiarowania mej własnej osoby, nad którą
nic lepszego nie posiadam (jak to każdy samego siebie
najlepiej kocha), oddaję najukochańszej Ojczyźnie i
Macierzy mej wszystko, co każdemu na świecie w tem
doczesnem życiu najdroższem być może, a więc wszel-
kie mienie i dobra ziemskie, wszelką majątność moją
na jej użytek i korzyść. Przytem zwracam klejnoty,
które były zastawione w cenie 26,000 czerwonych zło-
tych i już przeze mnie wykupione. Z tych pieniędzy
przeznaczam 40,000 naszych złotych na polepszenie
arsenałów²⁾, a 300,000 złp. (bo taka jest wartość tych
klejnotów) każę wypłacić wojsku. Wziąłem też na
siebie fortyfikację miasta Lwowa, a na przyspiesze-
nie i wykończenie takowej dziś jeszcze będzie wypła-
conych 20,000 złp. wojewodzie ruskiemu. Aby zaś
dopomódz do niezbędnego okrycia żołnierza, ułożę
się z JPanami podskarbimi, którzy bez wątpienia do-
pomogą w tem Rzpltej, że zawrą z kupcami kontrakt
na słowo Rzpltej i dostarczą mi potrzebnej ilości
sukna, dla sprawienia żołnierzom należytej odzieży,
dla zabezpieczenia ich od deszczów i zimna.

¹⁾ Uniwersały—listy królewskie, zwołujące senatorów i szlache-
tę na sejm. ²⁾ Arsenał—gmach przeznaczony na skład broni.

„Ofiarowany przez Ojca Świętego zasilek pienięż-
ny przeznaczam po części na artylerję, na zakupy
i na utrzymanie jej, a po części na utrzymanie żołnierza,
który ma być nam przysłany w posiłku od księcia
kurlandzkiego. Do sejmu odkładam podwyższenie
żołdu wojsku, jako też załogom wołoskim i podolskim,
których nie należy odwoływać, żeby nie postradać
Chocimia i mostu na Dniestrze, zbudowanego przez
Turków na statkach, z Dunaju sprowadzonych. Nie
zapomnę o zasługach wyższych oficerów, na które
sam patrzałem, i owszem, zachowam je we wdzięcz-
nej pamięci. Co się tyczy chlebów, należących wojsku,
dany będzie ode mnie chorążemu sandomierskiemu
stosowny rozkaz. Koronacja królewska przyniosła-
by też niewiele pożytku Rzpltej. Przeciwnie, podczas
odprawowania jej przebywalibyśmy w Krakowie, a nie-
przyjaciół skorzystałby z tej sposobności, że nie czu-
walibyśmy w obozie nad bezpieczeństwem Ojczyzny,
i napadłby na nas.

„Ponad własne moje korzyści, sprawy i roszcze-
nia przekładam pomyślność Rzeczypospolitej, jak to
nakazuje sama cnota: więc odkładamy koronację do
sposobniejszego czasu. Poświęcając siebie i wszystko
moje gwoli pomyślności Ojczyzny, nie wątpię, że
tym sposobem najlepiej okażę moją ku niej przy-
chyłność i miłość”.

Tak uzupełnił Sobieski przysięgę, podyktowaną
mu przez sejm elekcyjny. Żądano od niego jedynie
zapewnienia wolności czyli swobód wszelakich osobom,
jednostkom stanu szlacheckiego; on zaś dodał uroczy-
sty ślub ratowania poświęceniem Ojczyzny, którą już
raz wybawił od podboju tureckiego, ale jeszcze nie
zabezpieczył od ponowienia podobnych zamachów;
ratowania Ojczyzny całej, a więc nie samej szlachty,
lecz wszystkich mieszkańców Rzpltej, jak wyzwał

ich z pięć tatarskich pod Komarnem i Kałuszem. Samolubstwu przeciwstawiał bezgraniczną patryjotyczną ofiarność, a ze słów jego biła szczerość, wypraktykowana i udowodniona czynami. Od czasów Zygmunta Augusta żaden król polski nie podobnego nie wyrzekł i wyrzec nie był zdolnym.

Tadeusz Korzon.

(„Dola i niedola Jana Sobieskiego”).

Czy każdy król poświęca dla kraju życie, zdrowie i dobro własne? Czy wielu takich królów wyliczyć możemy w swojej historii i co im winniśmy?

108. Poszłabym ja...

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata;
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal...

Tylko mi cię żal,

Ty ziemio,

Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach białą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żalości,

Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal...

Tylko mi cię żal,

Ty chato,

Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,

Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...

Tylko mi cię żal,

Sokole,

Co nad nasze lataśz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Lataśz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

Marja Konopnicka.

109. Rezolutny kawaler.

Jednego ranka pacholek, wartujący na wieży zamkowej dał sygnał, że na drodze od Brześcia widać zdaleka, het pod borem, zbliżającego się konno gością. Wyszedł więc Radziwiłł w tę stronę i, doszedłszy pola, usiadł na kamieniu przy drodze i czeka.

Po niedługiej chwili nadjechał podróżny na małej szkapce; był to dwudziestokilkuletni wyrostek z miną zdeterminowaną ¹⁾, w szarym kontuszu, czapka na bakier, szabla przy boku,—słowem ubrany ubogo, ale chędogo.

— Szczęść wam, Boże! panie kochanku — rzekł Radziwiłł—a skądże to Pan Bóg prowadzi?

— Dziękuję za życziwość waszeczki—odrzekł podróżny—jadę zdaleka, bo aż z Korony, z województwa Rawskiego, skąd mnie po skończeniu szkół w Ło-

¹⁾ Zdeterminowany—śmiały, ryzykowny.

wieczu wyprawił pan ojciec w drogę do starego księdza Trzaski, który tu na Litwie jest proboszczem i ma dostatnią prebendę¹⁾; — bo jak to u nas mówią: kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie.

— Więc waszeć, panie kochanku, jedziesz do naszego kraju po sukcesję? — rzekł, uśmiechając się, książę.

— A tak zwyczajnie — powiedział podróżny — boć to przecież mówią zdawna: do Korony po rozum, do Litwy po pieniądzel!

— Sprytny z wasci chłopak — rzekł z przekąsem Radziwiłł — i nie widać z waszej odpowiedzi, że Mazury ślepo się rodzą.

— Ślepo się rodzą, to prawda, ale gdy raz przejrzą, to już im nie potrzeba okularów, aby poznać człowieka, z którym mają do czynienia! Owóż ja widzę, że waszeć jest niepoczesnym trefnisiem²⁾. Daj mi więc waszeć święty pokój, bo ja z ludźmi kłócić się nie lubię, i gdybym był zawadżaką, tobym się był już dawno zapytał waszeci: czy u waszego Radziwiłła boćwina się obrodziła?

— Kwita z byka za indyka — krzyknął, zanosząc się od śmiechu, książę — odwetowaliśmy sobie nawzajem. Żart, panie kochanku, czasem nie zawadzi, kiedy dobry humor po temu. Śmiech nie żaden grzech, a słów igraszka — to fraszka; lepiej się śmiać, niż gniewać; więc pogódźmy się i przebaczymy sobie nasze winy, jak na katolików i ludzi dobrze urodzonych przystało. Responsa³⁾ wascine pokazują, żeś młody, a masz rozum i umiarkowanie statecznego człowieka. Takich ja szanuję i kocham, i jeśli, panie kochanku, nie odrzucisz dobrych chę-

ci, to wasana przedstawię w zamku księciu panu, który rad będzie poznać rezolutnego jak waszeć kawalera.

Podróżny młodzieniec, któremu przymówka o Mazurach nie w smak poszła, widząc w nieznajomym tyle szczerości i wesołego humoru, po krótkim namyśle podał mu rękę, i w najlepszej komitywie¹⁾ postępowali zwolna drogą ku zamkowi, młody na koniu, a książę pieszo, wypytując się kompana o jego familję i przystęp do podróży.

Gdy stanęli w dziedzińcu, Radziwiłł zarekomendował marszałkowi przybyśza i, przyrzekłszy mu, że w czasie obiadu sam przedstawi go księciu, poszedł do swoich komnat ubrać się, jak przystało na wielkiego pana.

O godzinie dwunastej zastawiono stół na kilkadziesiąt osób, i gdy młody Trzaska szuka między zapijającymi anyżówkę gośćmi owego protektora²⁾, napotkanego na drodze, książę pan wchodzi do sali i z uśmiechem dobroci zaprasza młodzieńca, aby usiadł koło niego.

Poznał go Trzaska i, przypomniawszy sobie niedawną żywą rozmowę, zmieszał się nieco; ale książę dodał mu ducha, mówiąc, aby to wszystko było zapomniane; uśmiechał się jednak, odwracając głowę, snadź gotował przybyśzowi jakiegoś figla.

Nalano na talerze zupę, i gdy Trzaska nadaremnie szuka łyżki obok siebie, książę Radziwiłł, pogładząc ukosem, mówi: „Kiep ten, kto nie zje zupy!”

Młodzieniec zrozumiał, że to łapka na niego, poszedł więc po rozum do głowy i, widząc leżący przed sobą bochenek chleba, szybko odkroił przylepkę, wydłubał z niej ośrodek i nuż za pomocą owej kromki chleba wypróżniać nalany talerz. Udało się wybornie.

¹⁾ Majętność kościelna, przywiązana do urzędu duchownego.

²⁾ Blazen, żartowniś. ³⁾ Odpowiedzi.

¹⁾ Zgoda. ²⁾ Opiekun.

nie zostawił ani kropli. Radził myśli: To, widzę, frant, jakich mało,—trudna z nim sprawa! Ale nie na tem miał być koniec, bo Trzaska, skończywszy zupę, zawołał, patrząc ukosem: „Kiep ten, kto nie zje łyżki”—i dalejże chrupać skórę od przylepki.

— Łebski z ciebie chłopak, panie Trzaska — rzekł uradowany Radził—z tobą, panie kochanku, to nie przelewki; wywołałeś wilka z lasu! Otóż wiesz co, zróbmy kompromis¹⁾: spuść mnie ze słowa, a ja tobie na odkupne daruję Zalesie, wioskę intratną²⁾ w dobrach Nieświeskich, a przyrzeczenia dotrzymam, jakem Radził.

Trzaska, jak gdyby go kto wsadził na sto koni, uradowany tak niespodziewanym darem, który go z chudeusza na posesjonata³⁾ kierował, podziękował serdecznie księciu za dobrodziejstwo.

Co znaczy przysłowie: Kot łowny, chłop mowny—biedę się nie lęka. Wybierz stąd skróty zdań i rozwiń je.

110. K o g u t.

Kogut, iż piał na odmianę;

Zyskał życie pożądane;

W szczęśliwej porze

Osiadł we dworze:

Skoro raz pan umieścił,

Każdy sługa go upieścił;

Zażywając do rady,

Pan, panięta, sąsiady

Uwielbiali proroka

Pół roka.

Zapiał był raz po deszczu: — odmiana!

¹⁾ Akt zgody. ²⁾ Przynoszący dobry dochód. ³⁾ Właściciel ziemi.

Więc zaraz z rana

Gospodarz w pole,

Sąsiad na role,

Szli zaufale,

Ale

Wpółśród roboty

Nadeszły sloty.

Kogut winien, więc na niego!

On sprawcą wszystkiego złego!

On źle poradził,

On grad sprowadził,

On czas rozziębził,

On zasiew zgębił,

On zepsuł pole,

On zniszczył rolę!

Idąc na śmierć, rzekł nieborak:

— Dobrze mi tak, żem był dworak.

Ignacy Krasicki.

Co to znaczy dworak? Jaka jest różnica pomiędzy dworakami a dworzaninem? Jaki jest styl tej bajki? Wybierz powtórzenia.

111. Pies i wilk.

Jeden bardzo mizerny wilk—skóra i kości,

Myszkując po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha,

Zdybie przypadkiem brysia jegomości,

Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha;

Sierść na nim błyszczy, gdyby szmelcowana¹⁾,

Podgardle tłuste, zwisłe do kolana.

„A witaj, panie kumiel—Witaj, panie Brychu!

Już od lat kopy o was ni widu, ni słyhu.

Wtedyś był mały kundlik, ale kto nie z postem,

Prędko zmienia figurę. Jakże służy zdrowie?”

¹⁾ Polerowana, pokryta emalją.

„Niczego” — Brysio odpowie
 I za grzeczność kiwnął chwostem.
 „Oj! oj! niczego! Widać ze wzrostu i tuszy!
 Co to za łeb, mój Boże! choć walić obuchem!
 A kark jak! a brzuch jak!
 Brzuch! niech mnie porwą sobaki,
 Jeżeli, uczciwszy uszy,
 Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem!”
 „Żartuj zdrow, kumie wilku; lecz mówiąc bez żartu,
 Jeśli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki”.
 „A to jak, kiedyś łaskaw?” — „Ot tak: bez odwołki
 Bory i nory oddawszy czaru
 I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,
 Idź między ludzi i na służbę przystań!”
 „Lecz w tej służbie co robić?” — wilk znowu zapytał.
 „Co robić?... Dziecko jesteś! służba wyśmienita:
 Ot, jedno z drugim nie a nie!
 Dziedzińca pilnować granic,
 Przybycie gości szczekaniem głosić,
 Na dziada warknąć. Żyda polarmosić,
 Panom pochlebiać ukłonem,
 Sługom wachlować ogonem;
 A za toż, bracie, niczego nie braknie:
 Od panów, paniątek, dziewczynek
 Okruszyn, kostek, polewek,
 Słowem, czego dusza łaknie”.
 Pies mówił, a wilk słuchał uchem, gębą, nosem,
 Nie stracił słówka, połknął dyskurs cały
 I nad smacznej przyszłości medytując łosem,
 Już obiecane wietrzył specjały.
 Wtem patrzy: — „A to co?” — „Gdzie?” — „Ot, tu na
 [karku”.
 „Ech, błazeństwo!” — „Cóż przecie?” — „Oto widzisz,
 Przyczesano, bo na noc kładą mi obrózkę, [troszkę
 Ażebym lepiej pilnował folwarku”.

„Czy tak?... piękną wiadomość schował na ostatku!”
 — „I cóż, wilku? nie idziesz?” — „Co nie, to nie,
 Lepszy w wolności kasek ładajaki, [bratku!
 Niżli w niewoli przysmaki!”
 Rzekł i, drapnąwszy, co miał skoku w łapie,
 Aż dotąd drapie.

A. Mickiewicz.

Kogo tu wyżej postawić należy: psa czy wilka — i dlaczego?

112. Szkoła rycerska w Warszawie.

I. Istotną zasługą Stanisława Augusta, której mu i największy jego przeciwnik odmówić nie może, jest założenie pierwszej szkoły wojskowej w Warszawie. Myślano wciąż w Polsce o ufundowaniu podobnego instytutu i dlatego kilku poprzednim królom nałożono obowiązek otworzenia szkoły rycerskiej, jednakże nie przyszło do wykonania.

Wkrótce po koronacji w r. 1765 otworzył Poniatowski szkołę kadetów (czyli t. zw. korpus kadetów), przeznaczając dla niej rocznie 200 tysięcy złp. z własnych funduszy, a 400 tysięcy złp. ofiarowała na ten cel Rzeczpospolita.

Mieścił się ten zakład w pałacu Kazimierowskim, na Krakowskim Przedmieściu, tam, gdzie dziś uniwersytet. Głównym opiekunem i komendantem (dyrektorem) szkoły był książę Adam Czartoryski. Miało się tu kształcić 200 kadetów, t. j. młodzieńców, poświęcających się zawodowi wojskowemu, jednakże, z powodu braku pieniędzy w skarbie, nie było ich nigdy więcej nad 80. Był to pierwszy w kraju zakład wychowawczy świecki, t. j. prowadzony przez ludzi świeckich.

Pod względem nauk korpus kadetów podzielony był na 7 klas, więc odpowiadał mniej więcej dzisiej-

szemu gimnazjum, ale różnił się od niego bardzo programem. Wykład nauk był w tej szkole daleko lepszy, niż po innych ówczesnych zakładach naukowych w Polsce.

Obeznawał się tu uczeń ogólnie z każdą niemal w dalszem życiu potrzebną nauką, a nadewszystko wskazywano mu, jak się ma na świecie pocziwie kierować, jak być użytecznym sobie i ojczyźnie. Uczono go łaciny, nie tak dla łaciny, jak, aby czytając starożytnych pisarzy, przejmował się duchem wielkich mężów Grecji i Rzymu. Uczono go języków francuskiego i niemieckiego nie po to, by tymi językami umiał mówić, ale aby z dzieł, tymi językami pisanych, przyswajał sobie wiadomości, jemu samemu w dalszem życiu i krajowi potrzebne. Uczono go jak najwięcej matematyki niższej i wyższej, fizyki, prawa i ekonomiki politycznej (nauka gospodarstwa społecznego), geografii, historii powszechnej i innych nauk, potrzebnych w zawodzie wojskowym, jak inżynierji i fortyfikacji czyli budowania twierdz. Nie zaniedbywano też nauki historii i literatury polskiej, które jako Polak znać powinien. Rysunki, muzyka, jeżdżenie konno, fechtowanie i mustra uzupełniały doskonale wychowanie kadeta na przyszłego żołnierza.

Poza tem każdy uczeń obowiązany był znać i umieć na pamięć t. zw. *katechizm kadecki*, ułożony przez księcia Adama Czartoryskiego, komendanta zakładu.

W katechizmie tym zawierały się wskazówki, jak żyć zacnie i pożytecznie. Były tam uwagi: kadet powinien mieć miłość Boga, przywiązanie do religji, powinien ojczyznę swą kochać i jej dobro nadewszystko. Należy oddawać cześć starszym bez upodlenia siebie samego: bez padania do nóg, ściskania za nogi, całowania w ręce, zbyt niskich ukłonów i t. p.

Na ścianie wielkiej sali pałacowej był wypisany złotemi literami wiersz Krasickiego: „Święta miłości kochanej ojczyzny, czują cię tylko umysły pocziwie” i t. d.

II. Tryb życia w szkole był taki: kadeci wstawali rano o 6-ej godzinie, o 7-ej szli na mszę, od 8 do 12-ej uczyli się w klasach, a po południu od 2-ej do 5-ej. Nosili czerwone kurtki z granatowymi wyłogami; na święto mundur granatowy z ponsowymi wyłogami i białe spodnie, a na wielkie parady białe mundury z cienkiego sukna, z granatowymi wyłogami z aksamitu, haftowanymi złotem.

Nowo wstępujący uczniowie mieli mundury odmienne, gdyż pierwszy rok pobytu w tej szkole był rokiem próby. Po jego upływie dopiero rada korpusu orzekała, który z nowicjuszków godzien jest kompletnego munduru kadeckiego. Oblóczyny odbywały się w niedzielę, w obecności profesorów i uczniów.

Po wysłuchaniu przez nowicjusza uroczystej mszy na klęczkach, ksiądz miał do niego przemowę o świętości obowiązków względem ojczyzny. Potem w sali lub na placu zadawano mu szereg pytań, na które musiał odpowiadać w ten sposób:

— Czego waćpan żądasz?

— Byłem tak szczęśliwy, że mnie osądzono godnym noszenia munduru korpusowego; stawam teraz z prośbą, żebym był uzbrojony.

— Masz wpan szczere przedsięwzięcie tej broni, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę ojczyzny swojej i swojego honoru?

— Nie inne jest przedsięwzięcie moje.

Tu towarzysze prezentują broń, uderzą werbel (bęben), a wtedy najstarszy oficer przypasze nowicjuszowi pałasz i poda karabin z odpowiednią nauką. Nowo przyjęty zaś kadet mówi:

— Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgromadzonym, że postępkami mymi ich nie zawstydzę, ani też nowicuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w pilności lub zaniedbanie powinności moich.

(To powiedziawszy, weźmie broń na ramię.

Brygadjer¹⁾ zapyta jeszcze:

— Obiecujesz mi waćpan, że w pamięci będą u niego przyrzeczenia, któreś tu dał?

— Przyrzekam na honor.

Potem brygadjer zaprowadzi go na miejsce wyznaczone, nowo przyjęty kadet stanie w szeregu, front robi i sprezentuje broń.—Wieczorem wyprawiano zabawę kosztem korpusu.

Taka była przysięga kadecka.

Widzimy więc z tego, że szkoła kadecka wpajała w wychowanców swoich uczucia miłości ojczyzny i honoru. Wyszło z niej też wielu dzielnych obywateli, a największą chlubę jej przynieśli Kościuszko i Niemcewicz.

Według *Korzona*.

113. Orły, sokoły.

Orły, sokoły!	Tu mi, jak w trumnie,
Dajcie mi skrzydła!	Świat niewesoły;
Gruz i popioły —	Spuście się ku mnie,
Ziemia mi zbrzydła.	Orły, sokoły!
Jabym chciał w górze	Choć duszę weźcie
Pohulać z wami —	Na wasze loty
I tam na chmurze	I ją zanieście
Żyć piorunami.	W marzeń kraj złoty.

¹⁾ Dowódca brygady (komplet kadetów dzielił się na 4 brygady).

Na niebios progu,
Między gwiazdami,
Jabym tam Bogu
Modlił się z wami.

A tu żalobą
Pokryte doły:
Weźcie mnie z sobą.
Orły, sokoły!

Mieczysław Romanowski.

Poeta polski w. XIX-go, zm. 1863 r.

Wskaż tu apostrofę.

114. Fryderyk Wielki i Krasicki.

Po pierwszym rozbiórce Warmja przeszła pod panowanie pruskie; wówczas Krasicki, jako biskup warmiński, częste miewał stosunki z Fryderykiem II, królem pruskim.

Razu pewnego, gdy Krasicki w świetnym płaszczu biskupim przyszedł do króla na wielką ucztę, Fryderyk chciał go wobec wielu gości niespodziewanie zmieszać i rzekł:

— Biskupie, jeśli umrzemy razem, przyjmij mnie pod swój płaszcz i wprowadź do nieba, bo ja tam dostanę się chyba ukradkiem.

— Daruj, najjaśniejszy panie — odrzekł biskup — nie mogę, gdyż mi bardzo mój płaszcz okroić kazaleś...

Roześmiał się król z tak trafnej odpowiedzi, bo rzeczywiście zmniejszył bardzo uposażenie biskupa.

Wzory Prozy Rymarkiewicza.

115. Ze skarg Jeremiego.

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi;
Ona, co we dnie miota się w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.

A teraz księżyc srebrną pogodą
 Obrylantował rosisty wrzos,
 I stoją senne wierzby nad wodą,
 A wiatr leciuchny muska im włos;
 Wonieje ziemia i płoną zorze...
 Mój Boże! — mój Boże!...
 Wzlatuję w górę między obłoki,
 Z jaśni błękitu spozieram w dół:
 Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
 Jak zastawiony dla gości stół!
 Różnowzorowym kryty kobiercem,
 Na nim chleb biały, i sól, i miód.
 Jak siwy gazda z otwartem sercem,
 Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
 Puharem stoi jedno — drugie morze...
 Mój Boże!... — mój Boże!...

A na tej ziemi lud się położył,
 Lew, co przed światem straż trzymał
 [wciaż:
 Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
 Kłębem się zwił pogaństwa wąż;
 A żywot jego jako stal twardy,
 I w słońcu wiary błyskał jak stal.
 Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy,
 Rozrastał w sławie—toż szumem fal
 Klaskało jemu jedno—drugie morze...
 Mój Boże!... — mój Boże!...

.....
 Lecz krew spłynęła — i niema śladu
 Po strasznej męce, po strasznej łzie...
 A noc tak cicha... liść winogrodu
 Po mojem oknie wiotko się pnie,
 I białe brzozy tam stoją w rzedzie,
 Drzemiące głowy ku ziemi gną,

A tam przy brzegu marzą łabędzie
 O gwiazdach, spadłych na wody dno,
 Wonieje ziemia, i płoną zorze...
 Mój Boże!... — mój Boże!...

Kornel Ujejski.

116. Z opowiadań legjonisty.

...Ożyły nadzieje. Buchnęła w szeregi wieść o powrocie z egipskiej wyprawy „najstarszego Bartka”, jak zwali wtedy wielkiego wodza (Napoleona) nasi żołnierze-wiara.

Oreż wrastał w dłonie od samego promyka nadziei, że lada dzień, lada chwila przybędzie przed nasz front i powiedzie poprzez struchlały Wiedeń... Już my w pieśni przemierzali dalekie ziemie... Wśród onych chrobrych dni wkroczyli my do Genui miasta, a bramy jego zatrzęsły się przed nami. Złądu, ze wszystkich dolin i gór, obiegł nas generał Ott, a okręty angielskie lorda Keittha z morza. Ustał dowóz żywności. Ziarno zboża nie doszło już od tej chwili do miasta. Zrazu dawano nam połowę porcjów, potem ćwiartkę, a koniec końców po dwa łuty śmierdzącego mięsiwa na człeka, po gloneczku chleba. Przyszła nędza bardzo wielka. I nie tylko na wojsko, ale na całe miasto Genuę. Ludzie poczęli mrzeć, jak muchy, i nieśli ich ta tłumem na owo piękne *Campo santo* (cmentarz genueński).

W parę tygodni wymarło ze zgnilej strawy i zaraźliwych chorób dwadzieścia tysięcy ludzi. Z nas znowu, z żołnierzy, wdrożonych do biedy i twardego żywota, zostało w kupie osiem tysięcy prawdziwych kościotrupów. Siedzieliśmy na tych górach grzebieniastych ponad grodem, czyhajac jak te sępy,

Nasz tam, wiecie, Polak krótko się martwi. Wzdychać se wzdycha w najgorszej chwili, jako i zaklnie, aż w kościach trzeszczy, ale wnet się skrzepi bele czem. I już ci słyszysz, śpiewa swoje... A ino razem, aby w kupie, to i dobrze. Samego ostaw na dwa dni — już ci się tak rozstęka, że najtęższy chłop na nic. Widzieliśmy austrijackie zastępy, rozwleczone w dolinach i het precz! po suchych gologórach, jak se ta na nasze trupy ostrzyli bagnety. Wolalimy na nich: „Chodź-że, chodź, nienasytku, a po drodze przemień się w kruka, żebyś nas całych pozżerał!”

Żyliśmy w pośrodku rumowisk, gdzie cienia nie znaleźć przed mściwem słońcem. Czasem się tam zabłąka pokrecony krzew bukszpanu i tuli pod sobą cień tyli, że w nim głowy nie schowasz. Przyszedł na nas w ostatnich dniach obrony głód nieladajaki. Spadzi-ste ulice Genui! one ciemne a wąskie jamy, gdzie słońce nigdy nie doziera!... puste były, gdyś tam szedł ku portowi, żeby choć z morza co nie co wyłowić na haczyk ze szpilki, — jakby już wszyscy do nogi wysnęli.

Gdy my się tam szwendali, jak psy bezpańskie, szukając byle ochłapa, żeby choć ducha odświeżyć, nieraz śmierć w oczy zajrzała. Skoroś ino ostrożnie wsunął nos i oczy z ulicy w czarną i zimną sień, wnet na cie warknął Włoszyn, zielony z głodu, abo ci lufę krucicy wprost między ślepie wstawił, abo ta na paluszkach szedł z nożem w rękawie, jak pies-milczek. To nieraz taka desperacka fantazja pchała człowieka, żeś właśnie szedł od nory do nory... skutek zawždy był jeden: pustka w jelitach.

Kapitulowały wreszcie nasze „Bartki”—Massena i Soult. Resztki legjów wyszły z miasta w stronę

Marsylji. Bez tynfa¹⁾ w waćku²⁾, bez butów i odzienia, w rędach³⁾ starganych i zetlałych szmat, półnaczy i o głodzie, ciągnęliśmy w świat francuskimi górami. Zima była, deszcz, bieda!—Gdyś się na bosaka podbił, stłukł, a poranił nożyska, że popuchły, jak bochenki chleba, brało się deszczulkę za podeszwę, szpagatem ją przytwierdzało do stopy—i dalej. Gałgany zlatywały z gnatów... Idziemy, bywało, przez włoskie w morskich Alpach siedliska, śmieją się z nas piękne dziewczki, stojąc przed progami murowanek, i pokazuja palcami nasze stroje. Tornistry na nas ino całe, a czapki. Reszta dziury. Wstyd! Dopiero panowie dowódcy dawajże nas w ambit wbijać! Idzie oto nasz Słoński, chłop osobisty, walny, z jednej sztuki, krokiem twardym a buńczucznie, a hardo. Mundur na nim białą nicią w stu miejscach ześcibany, buty jeść wrzeszczą, że to w szeregu całym słychać. Kiszki w nim takiego marsza grają, że żadnej nam orkiestry nie trza... Wszystko bajki! Wąs drze do góry, nadął się, jak po trzech obiadach, mina, jak sto tysięcy djabłów!

— Trzymaj się, jeden z drugim!—wrzaśnie, gdy mu w glidach⁴⁾ stękają.—Równaj się! Wiedz, jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz!

Zaraz się ta mężniej nogi ruszały, i głód się nie ważył doskwierać.

Stefan Żeromski. („Popioły”).

Współczesny powieściopisarz polski.¹⁾

Wskaż w tym urywku wyrazy i zwroty ludowe.

¹⁾ Tynf—dawna moneta polska, warta około 1 złp. ²⁾ Waćek—woreczek skórzany, ściągany sznurkiem. ³⁾ Rędy—strzępy. ⁴⁾ Glidy—glejty, szeregi.

117. Rok 1812.

O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju!...
 Ciebie lud dotąd zowie rokiem urodzaju,
 A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
 O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
 Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
 I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
 Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
 Jakieś dziwne przecucie, jak przed świata końcem,
 Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.
 Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
 Uważano, że, chociaż zgłodniałe i chude,
 Nie biegło na ruń, co już umiała grude,
 Lecz kładło się na rolę i, schyliwszy głowy,
 Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.
 I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
 Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiej,
 Nie śpiewają piosenek: pracują leniwo,
 Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
 Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
 I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
 Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
 I uważają z trwogą wracające ptaki.
 Bo już bocian przeleciał do rodzinnej sosny
 I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
 A za nim, krzykliwymi nadciągnawszy pułki,
 Gromadziły się ponad wodami jaskółki
 I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
 W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki.
 I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem,
 I znużone, na popas spadają z hałasem;
 A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żórawie.
 Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,

Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania?
 Jaka burza te ptaki tak wcześniej wygania?
 Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek
 I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
 Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
 Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
 Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
 Płyną drogami kute żelazem szeregi;
 Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
 Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
 Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że wonczas z wyraju
 Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
 Pędzony niepojętą, instynktowną mocą.
 Konie, ludzie, armaty, orły—dnem i nocą
 Płyną; na niebie górą tu i owdzie łuny.
 Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny...
 Wojna... wojna!... nie było w Litwie kąta ziemi,
 Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiedzy ciemnymi
 Puszciami chłop, którego dziady i rodzice
 Pomarli, nie wyrzawszy za lasu granice,
 Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
 Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
 Gości innych nie widział oprócz spółleśników —
 Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,
 W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
 Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
 Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
 Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
 Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera
 I, potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
 Na błyskające nagle między łosem zgłiszczce:
 Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
 Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
 Złakł się i uciekł, w głębszem schować się ukryciu.

Bitwa!... Gdzie? w której stronie?—pytają młodzieńce,
Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
„Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!”
O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!...
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

A. Mickiewicz.

118. Z ksiąg pielgrzymstwa.

PRZYPowieść VII.

Za dawnych czasów, kiedy zbudowano pierwsze miasto na ziemi, zdarzyło się, iż wszczął się w mieście onem pożar.

Powstali niektórzy ludzie i spojrzeli w okno, a widząc ogień bardzo daleko, poszli znowu spać i usnęli.

A drudzy, widząc ogień bliżej, stali we drzwiach i mówili:—Będziemy gasić, kiedy ogień do nas przyjdzie.

Ale ogień wzmógł się bardzo i pożarł domy tych, którzy we drzwiach stali; a tych, którzy spali, pożarł z domami ich.

Byli zaś niektórzy ludzie poczciwi:—ci, widząc ogień, wybiegli z domów swych i ratowali blizkie sąsiady, ale iż mało było poczciwych, uratować nie mogli.

A gdy miasto zgorzało, oni poczciwi ludzie z sąsiadami odbudowali je, i pomagał im lud całej okoli-

cy, i stanęło miasto większe i piękniejsze, niż pierwsze.

Ale owych, co nie byli u pożaru, ale tylko we drzwiach domów swych stali, z miasta wypędzono. I pomarli głodem.

W mieście zaś ustanowiono takie prawo: iż w czasie pożaru wszyscy z wodą, z drabinami, z hakami do ognia biedz muszą, albo wyznaczą osobne ludzie, którzy nocą czuwać, a ogień gasić będą.

I prawo takie i porządek odtąd w miastach nastały, i ludzie spali spokojnie.

Jak możemy rozumieć tę przypowieść? Co to znaczy przypowieść?

119. Poznanie się Mickiewicza z Zanem.

(Wyjątek z listu).

...Pierwsze spotkanie Adama z Tomaszem war-
te jest też opowiedzenia. Opowiadał mi to kiedyś pan Tomasz, a dziś Adam prawie słowo w słowo powtórzył. Narracja więc moja jest sumą ich obu.

Wiesz może, że Adam pojechał do uniwersytetu na wezwanie krewnego swojego ojca, ks. kanonika Józefa Mickiewicza, profesora fizyki i dziekana wydziału matematycznego. Owóż ów dziekan chciał go pomieścić odrazu na koscie uniwersyteckim, jako kandydata do stanu nauczycielskiego; ale że jeden tylko był wakans w tym roku, a p. Kazimierz Kontym, bibliotekarz i sekretarz uniwersytetu, protego-
wał nań kogo innego, egzamin więc miał dopiero rozstrzygnąć, czy kandydat otrzyma pierwszeństwo. Tym kim innym był nie kto inny, jak p. Tomasz, świeżo ze szkół mołodeczańskich¹⁾ przybyły, a zale-

¹⁾ Mołodeczno—miasteczko w gub. mińskiej.

cony przez kogoś Kontrymowi. W kancelarji więc przed salą egzaminacyjną zeszli się i ujrżeli po raz pierwszy obaj współzawodnicy, i jak szermierze przed wejściem do szranek, powitali się wzajemnym ukłonem, ale ani słówka nie przemówili do siebie. Chwilę tę doskonale pamiętają obaj, i nawet strój jeden drugiego. Adam był w czarnym fraku, w kamizelce i w dalszem ubraniu nankinowem żółtem, a kołnierzyk tak miał wysoki, że mu uszy podrzynał. Tymczasem egzaminatorowie się zeszli, obudwóch wezwano razem. Stali obok siebie przed stołem, przy którym profesorowie siedzieli. Egzamin obu poszedł jak najlepiej, i kazano im znowu oczekiwać w kancelarji na wyrok. Ale i podczas tego oczekiwania żaden z nich nie przerwał milczenia: nie wskutek jakiejś niechęci, ale żaden nie wiedział, jak i od czego ma zacząć. Nakoniec wyszedł z sali p. Kontrym i ogłosił: że pan Adam Mickiewicz na ten już rok został przyjęty, ale że i pan Tomasz otrzymał *accessit*¹⁾, z którego na rok przyszły będzie miał prawo korzystać; tymczasem zaś sam p. Kontrym ofiarował mu stół i mieszkanie u siebie. Adam powiada, że go ten tryumf nie tylko nie ucieszył, ale owszem zawstydził i upokorzył wewnętrznie, przypisywał go bowiem tylko protekcji i wpływowi ks. dziekana. P. Tomasz sądził przeciwnie i uznając w tem najzupełniejszą słusność, zbliżył się pierwszy do Adama i powińszował mu tak serdecznie i szczerze, że go do reszty zmieszał i rozrzewnił. Skończyło się na tem, że dwaj współzawodnicy po krótkiej rozmowie rzucili się nawzajem w objęcia, a lzy i pocałowania gorące uświęciły ten pierwszy węzeł stosunku, który odtąd, nie tylko ich serca, ale nawet ich losy w najważ-

¹⁾ Pochwała bez nagrody.

niejszych wypadkach życia nierozdzielłą współnością połączył.

Antoni Edward Odyniec.

Poeta wieku XIX-go.

Jaki stosunek łączył później Zana i Mickiewicza? Charakter Zana i utworzenie kółka Filaretów. Dlaczego otaczamy wciąż jego wspomnienia?

120. GRAJEK.

- I. Na ulicy Świętojańskiej
Mieszka siwy pan Mateusz,
Staromiejskich, nowomiejskich
Wszystkich grajków koryfeusz ¹⁾.
Pan Mateusz, dzielny skrzypek,
Pochylonym nie jest dziadem,
Choć na barkach dźwiga swoich
Dziewięćdziesiąt lat z okładem.
Wąs ma krótko przyszczyżony
(Mazowieckiej ślady wioski),
Nosi wążkie bakenbardy,
A la Józef Poniatowski.
Z tegiej miny, blizn na czole,
Srebrnym włosem ocienionem,
Zaraz poznać szwależera ²⁾,
Co wojował z Napoljonem!
- II. Pan Mateusz ma izdebkę
Na najwyższem domu piętrze,
Jasna strzeże jej Panienska
I Dzieciatko Przenajświętsze.
Ponad łóżkiem wisi skromnem
Duży portret *lemperera*³⁾,
„Obleżenie Saragossy”
I „Zdobycie Somo-Sierra”.

¹⁾ Kierownik, przodownik, ²⁾ Lekko uzbrojona jazda.
³⁾ Cesarz.

W klatce gwizdże kos uczony,
Ulubieniec wielki grajka,
Rdzawa szabla stoi w kacie
I wiśniowa długa fajka.

Lecz największy klejnot starca
Kryje puszka posrebrzona:
Krzyż, przypięty za waleczność
Własną ręką Napoljona!

III. Pan Mateusz chodzi z skrzypką
Po podwórkach staromiejskich,
Rznie od ucha dawne piosnki
Pełne wspomnień czarodziejskich.
„Stoi ułan na pikiecie...”
„Czemuś oczki zapłakała...”
„Cztery lata wierniem służył...”
„Pastereczko moja mała...”
Jedną piosnkę najpiękniejszą
Stary skrzypek ma w zapasie,
Niegdyś graną i śpiewaną
Przy wojennych trąb hałasie...
Gdy ją zagra, twarz mu płonie,
Dziwnym blaskiem świecą oczy.
Drżą słuchacze, zapatrzeni
W lat ubiegłych świat uroczy.

IV. Gdy złociste błednie słonko,
Gdy na „Anioł” dzwonią „Pański”,
Wraca grajek do izdebki
Na ulicy Świętojańskiej.
Przy łojowej blasku świeczki
Po przeszłości błądzi szlaku,
Słyszy gromki głos komendy,
Słyszy sygnał: „Do ataku!”
Zdaje mu się, że rzą konie,
Szumią barwne chorągiewki,

Tętent koni, brzęki szabel
I hulańskie słyszy śpiewki.
Widzi dawnych swoich wodzów,
Choć żrenice mgłą mu łązki;
Stoi przed nim: Poniatowski,
Kozietulski, Niegolewski...

V. Choć się dzielnie trzyma skrzypek,
Choć od młodych krzepszy wielu,
Jednak czuje, że już wkrótce
Trzeba stanąć do apelu!
Wszak się śmierci nie ulęknie,
Kto wojował z Napoljonem?
Stary grajek dość ma życia
I za rychłym tęskni zgonem!
Wtedy w mundur go ustroją,
By szedł godnie przed twarz Bożą,
A na piersiach krwią zdobyty,
Złoty krzyżyk mu położą.
Biała brzoza nad mogiłą
W takt mazurka zaszeleszcze:
Nawet w grobie będzie wiarus
Cudną piosnkę słyszeć jeszcze!

Or-Oł (Artur Oppman).

Poeta współczesny.

Czy to jest opis, czy opowiadanie? Czy można według tego napisać charakterystykę grajka?

121. Hrabiątko.

Nowela.

Cztery szwadrony¹⁾ nas było, a jeszcze ludzie szli.
Nie chłopci wszakże. Szła szlachta, szli oficjaliści, było też trochę łyków²⁾. Jaki taki chwytal konia ze

¹⁾ Szwadron—oddział kawalerji, z 200—300 jeźdźców złożony. ²⁾ Łykami nazywają pogardliwie mieszczan.

stajni albo i z pastwiska, piętami w boki i hajże do jazdy! Ekonomów, gajowych, pisarzyków, gorzelanych ze świecą wtedy po wsiach szukać było, tak gesto dworski naród pod Różyckiego szedł.

Ale się i piesi cisnęli. Z tymi była bieda, gdyż broń nie starczała.

— Dajcie wy mnie święty spokój! — krzyczał, chwytając się za głowę, Różycki. — Cóż ja was na rzeź będę prowadził? Nie masz pałasza, to rożen z kuchni bierz, a z gołą garścią mi tu nie leż!

Dopiero kiedy się generał z pułkownikiem Ciechońskim rozchodził u Koskowickich borów, wziął sobie Ciechoński piechurów owych, a u nas się tylko coś z pięćdziesięciu przy furgonach zostało.

Konie mieliśmy dobre. Ogromne trawy rzuciły się w łąkach tej wiosny, a i owsa też nam hojno sypano po drodze.

Osobliwie wszakże tęgiego ogra miało pod sobą „Hrabiątko”.

Chłopczyna sam wątły, niewyrosły, szczupły, biały i różowy, jak dziewczyna. Oł, sokolątko ze sławnego gniazda, tylko że w palkach jeszcze i bezpióre.

Był z bratem. Wielki ród, wielkie imię, wielka też powinność w ojczyźnie. I starszy miał pod sobą klacz cenną, na której osobliwsze chody napatrzeć my się nie mogli.

Ale skarogniady ogier „Hrabiątka” był koń wprost hetmański.

Gwałtowny raczej, niż piękny, potężnego składu, nozdrza na wiatr, grzywa jak strumień szumiała mu w karku, łeb suchy, nogi jak struny, pod cienką skórą widne żył drgających bicie. Jeden to był z tych koni, co w dziesiątem pokoleniu jeszcze węższą step i tabun.

— Już ten ma niańkę!... — mawiał Różycki, pa-

trząc na „Hrabiątko”, którego mało co i widać było na potężnym ogrze.

— W pieluchach matce detynę to odniesie...

Powiem prawdę, z „Hrabiątka” podrwialiśmy potrosze. Ale go ludzie lubili. Takie to było subtelne, delikatne, a takie ugrzecznione, ciche.

Generał zaraz przyjąć go do partji nie chciał.

— Do mamy! Do mamy! Na pokoje! — wołał, opędzając się ręką, jakoby od osy. — Tu cukierków nie dają. Nie!

Ale się Hrabiątko uparło: z bratem i z bratem. Tak został.

Zrazu kozaczka luźnego przy sobie panicz miał, który jemu i koniom służył. Gdy się wszakże po obozie obejrzał, że to tam każdy sam pan i sam sługa, a generał także, dał w garść kozaczkowi zapaśną krucicę¹⁾ i do furgonów go posłał.

Już od Połonnego coś sam czyścił ogra, sam poił, sam karmił i siodłał.

Śmiechu było z tego, że to na wóz czterokonny nie zabrałby, bo mu to szło — at!... jak Żydowi rola.

— Patrz, patrz, jak się Hrabiątko na pazury bierze!... Patrz, patrz, jaki to Hryć z Hrabiątka!

I tak kołem...

A on chłopczyna czerwienił się, udawał, że nie słyszy, i swoje. Chciałem pomódz nieraz, nie dawał.

— Ja sam!... Ja sam!... Ja wszystko sam!

Ano dobrze.

■ Kończył się maj.

Po miropolskiej bitwie, gdzieśmy razem z Zasławczykami nieprzyjaciela znieśli, puścił się Różycki w pilne i długie marsze za wymykającym się mu S.

¹⁾ Krucica — mały pistolet kieszonkowy.

I konie i ludzie strasznie to było strudzone. Ani zsiąść, ani wytchnąć, ani przepopreżyć,—strach, co za mitrega! Hrabiatko zmizerowało się prawie że do niepoznania. Z owej to białej, różem lukrowanej łąki¹⁾ zrobiło się wyschłe, czarne, postarzałe, czerkieska na tem, jak na kolku, twarz zapadła, oczy wielkie, smutne i gorące.

— Na mleczko! Na mleczko do mamy!—żartował Różycki, gdy go tak wyciągniętym zobaczył.

Hrabiatko przygryzło wargi.

Dzień był parny, duszny, ku burzy się miało. Tuman kurzawy kłębił się po drodze. Konie rzucały łbami, wyparskując pyły.

Pod wieczór zaciągnęło się niebo het, dokoła. Zrobił się nagły mrok, ptactwo polatywało niespokojnie, trawy były wyschłe, pragnące, wielkie zboża sterczały po stronach nieruchomą ścianą.

— Aby do Salichy!... Aby do Salichy!—przemówił rotmistrz Marewski, zwróciwszy się do nas.

A już konie utykać zaczęły. Chcieliśmy z siodeł zsiąść, żeby zwierzętom ulżyć nieco. Zaledwie wszakże Dzwonkowski, stękając, złazić zaczął, kiedy generał obejrzał się, brwi ściągnął, krzyknął: „Marsz!” i poprzód koniem ruszył. Musieliśmy za nim.

Ale jeszcze pierwszy pluton²⁾ nie dojechał do stojącego na uwrocie krzyża, kiedy się zboże zaruszało, a mały chłopak oklep na żrebacku wynurzył się z niego i, złożywшы ręce przy ustach, huknął:

....„Nieprzyjacieli we wsi...”

Poczem przepadł, jakby go nie było.

Skoczył Marewski, skoczył Baranowski i inni, rot-

¹⁾ Łątka — tu znaczy lalka. ²⁾ Pluton—oddział z kilkunastu żołnierzy.

mistrzowie poszeptali z wodzem, i ruszyliśmy stępą, w bok nieco, poza faliste wzgórza się biorąc, które między nami a Salichą stały.

Tymczasem zaczęło pogrzmiwać. Zrazu zdaleka, potem bliżej coraz. Szła burza. Gęsty mrok opuścił się teraz na ziemię. Przeszywały go błyskawice nagle, rażące.

Zawichrzyły się zboża, grube krople deszczu zaczęły kapać, rzadkie i ciężkie.

Hrabiatko jechało tuż przy mnie. Z trudnością wstrzymywał swego ogromnego ogra, który się wspinał i rżał w pole.

Nagle oślepił nas, ogłuszył błysk i huk. Piorun uderzył gdzieś blisko.

Nigdy nie zapomnę Różyckiego w tej chwili.

Zdjął czapkę, białe jego czoło zaświeciło w mroku, wbił w niebo oczy siwe, wielkimi ogniami płonące.

— Komu ten grom, Boże Wszechmogący?—zawołał silnym głosem.—Nam, czy im, Panie?

— Im!... Im!...—krzyknęli nasi.

Hrabiatko zbladło, jak chusta.

Generał podjechał ku nam już z dobrą fantazją.

— A co?—zapytał—strach?...

Na chłopca buchnęły ognie. Spuścił oczy i rzekł cichym głosem:

— Nie, generale! Niema strachu!

A wtem lunął deszcz nawalny.

Różycki się śmiał.

Zawracał konia, kiedy Hrabiatko ruszyło ogrem ku niemu.

— Panie generale!

— A co tam, detyno?

— Ja... ja chciałbym... Jabym prosił, żeby mnie generał do pierwszego plutonu odkomenderował.

— Co?... Co?... Co?... — wołał Różycki, cofając się z koniem. — Pierwszy pluton nie dla dzieci! I nie słuchając dłużej, skoczył rysią.

Rzadko tak pięknej bitwy, jak ta pod Salichą. Ranek po burzy był cudny. Ziemia w rosach świeżych. Pozycja nasza wyborna.

Na górcę, dla zwrócenia ognia na siebie, rozwinął front pierwszy pluton, który zawsze ochotnika dawał, długą, lekko wklęsłą linią. Drugi stał za nim rezerwą w pewnem oddaleniu.

Trzeci i czwarty po obu stronach wzgórza zachodziły flankiem¹⁾ ku wsi, nakryte wyrosłemi jak trzcina zbożami. Furgony stały na tyłach pod wzgórzem.

Musiał S. w nocy jeszcze powziąć o nas języka. bo się sformował od wczesnego rana.

Na równi stał, w sile czterech kompanii piechoty i czterechset jazdy, mając za sobą wieś i płynącą przez nią szumną rzekę.

Widzieliśmy wszystko, jak na dłoni, nawet bez lunety. Sam S., otoczony sztabem, stał u pierwszych plotów.

Zahuczały w dole bębny, zagrały im odzew trąbki nasze. Stanęliśmy w strzemionach pochyleni, krótko zebrawszy cugle, gotowi do skoku.

Piechota posuwała się ku nam głęboką, czarną kolumną.

Adjutant przeleciał front. Kolumna stanęła na odległość karabinowego strzału.

Zaczerniały gęsto plotem wytknięte lufy. Złe było celować. Żołnierze mieli słońce wprost w oczy. Mżąc blask ich oślepił.

Oficer podniósł pałasz, zabrzniiała komenda.

Ale w tej chwili lufy drgnęły, strzały poszły dołem, kolumna się zmieszała. To flanki nasze, oskrzydliwszy piechotę, wynurzyły się nagle ze zboża i z trzaskiem na nią wpadły. Mignęła w modrem powietrzu szabla Różyckiego świetną błyskawicą.

— Bij, zabij!... — huknął gromko i skoczył w dół z koniem.

Runęliśmy za nim, jak piorun.

Na dole wrzała bitwa. Piechota S. formowała trójkąt w pośpiechu i w zamieszaniu. Bębny, kwik koni, wrzask walczących głużyły komendę.

Nagle posłyszałem za sobą potężne rżenie ogra. Głos ten znaliśmy wszyscy. Cała wolność, cała dawność rasy w nim była. Nic, tylko bojowa surma, gdzieś z pod Cecory jeszcze... Zwróciłem głowę.

W ogromnych szczupakach leciał ogier z Hrabiątkiem wprost na nas. Chłopiec w siodle schylony, blade, z rozwianym włosiem, wzrok miał pałający, pałasz wzniesiony wysoko nad głową. Ot nic, tylko święty Jerzy, kiedy w smoka godzi.

Przesadził niewielką przestrzeń, wparł się w nasze szeregi, miałem go tuż w pobliżu przez mgnienie.

— Ha!... Ha!... — zakrzyknął, prąc kolanami ogra, i przeleciał wichrem. Czapka spadła mu z głowy, pęd podwiał czerkieskę. Sokolątko dostało nagle ogromnych, piorunowych lotów.

Już błysnął pałasz jego na frontowej linii. Otarł się ogier w bok o konia Różyckiego, złamał linię, wyniósł się przed nią i wprost na wroga leciał.

Błysnęło wzdłuż kolumny, huknęły strzały salwą.

Dym zakrył świat. Gdy opadł, ujrzałem znowu i konia, i jeźdźca.

Hrabiątko trzymało się grzywy, leżąc prawie na niej. Ogier rżał ogromnym głosem.

Nagle określił się, zawrócił i ku sztabowi pędził.

¹⁾ Flank — bok wojska.

Niańka odnosiła „detynę”. Prawie, że u nóg Różyckiego padło Hrabiatko z siodła. Krew buchnęła mu z piersi. Żył jeszcze.

Skoczył Różycki i jak dziecko na ręce go porwał.

Grały gdzieś dzwony na Anioł Pański, a S. z nie-dobitkami daleko za rzekę uchodził, kiedy nasz pierwszy ochotniczy pluton szablami płytki dół dla Hrabiatka kopał.

Niejedna łza tam padła z tych twardych oczu w ziemię, gdyśmy go tak zobaczyli wyciągniętym, zmierzowanym do śmierci, w podziurawionej od strzałów czerkiesce. Pięć kul w piersi wziął, jak stary, dzielny żołnierz.

Różycki stał nad dołem, oczy w ziemię wbil i wassa targał. Z dalekim głosem dzwonka mieszało się żalosne, przeciągłe rzenie.

Marja Konopnicka.

122. Z PIEŚNI.

Sine lasy we mgłach drzemia,

Gaśnie jasny dzień...

Ach, i tobie, moja ziemio,

Idzie mrok i cień!

Krótką była twoja zorza,

Najpiękniejsza z zórz,

Co od morza szła do morza

Złotem polem zbóż...

Krótki był twój ranek biały

I różany wschód,

Co twej sławie grał hejnały ¹⁾

U słonecznych wrót.

¹⁾ Pieśń religijna, grana z wież kościelnych na trąbce o wschodzie i zachodzie słońca.

Nie dobiegło słonko tobie

Do południa wzwyż,

I zagasło gdzieś na grobie

W piorunowy krzyż!...

M. Konopnicka.

123. Wspomnienie.

Czołno, wysłane gałęźmi srebrnej topoli, Jan silnie od brzegu odepchnął, a potem sam w nie wskoczył.

Płynęli powoli w górę rzeki.

Brzegi rzeki stawały się coraz uboższymi i dzikszymi, a gęsty bór nie znikał wprawdzie, lecz cofał się, jakby usuwany przez rozległe, białe, małemi wzgórzami zbalwanione piaski. Czołno skierowało się ku tym piaskom i, prześliznąwszy się pośród wielkich kamieni, u lądu stanęło.

— Proszę stanąć i naokoło spojrzeć — głosem cichszym niż zwykle rzekł Jan.

Stopy Justyny pogrążyły się w małej, suchej, gorącej topieli. Wzrok jej ze zdziwieniem przesunął się po tej pustyni, której nigdy nie widziała, bo żadna praca, żaden plon i żadna dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza, jeszcze większe uczuła zdziwienie.

Jan zdjął czapkę i zamyślonemi oczyma wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął w progu kościoła i wpatruje się w ołtarz.

— Dawno tu nie byłem—zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia.—Może pięć, może sześć lat nie byłem. Stryj woli tamtą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski

szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

I ciągle na wzgórze patrząc, po chwili mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu z tego pagórka ostatni raz ojca widziałem...

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek?... Dniem i nocą, latem i zimą pusty stoi on, i żadne nawet ziółko ucześcić się go nie chce. A jednakże był niegdyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go końskie i ludzkie nogi, i leż niemało na niego spadło.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód. Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny, albo może i trzy patrzyli na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przewożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach nieduży. Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, księżyc dobrze już posunął się był do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość pannaowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał... Wtenczas ojciec pocałował matkę, coś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym, niżeli wesółym, i częściej w milczącym zamyśleniu pograżał się, niż okazywał to, co miał w sobie. Ale wtenczas ojciec, dziecko swe żegnając, w zamkniętości swojej nie wytrzymał: cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej

samej minucie pan Andrzej zegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem. Kiedy mnie ojciec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam; to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzód zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy się już znajdował na połowie drogi, pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc wprost nad piaskami świecił, a w jego światłości ojciec i pan Andrzej, jeden przy drugim, na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli; konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tędy przejechali, i tam... widzi pani to miejsce? z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętem ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli.—Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan swego ojca nie widziałeś?

— Raz już tylko po tem ostatniem rozstaniu o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, bo zboże już na polu dojrzewało i gdzieś tam zaczęli je zaczynali, staliśmy w okolicy nad samym brzegiem, gdzie... pani wie? na naszym podwórku lipy rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i, tak samo kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotaly, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w to miejsce bily. Słowik już wtedy nie śpiewał; zato gdzieś tam podnosiły się z nad boru chmury wszelakiego ptactwa i jak zwarjowane, z przeraźliwymi krzy-

kami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając, albo też lecąc jak najdalej, zdaje się, na oślep. Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty zaczęły pomalu ustawać, aż i zupełnie ustały, a po tym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiewki. Potem jednakowoż i krzyki umilkły... Noc nastała... Widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli, ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie po całej okolicy¹⁾, w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladowające. W tej ciemności i w tem szumieniu usłyszeliśmy jednakże na przeciwnym brzegu wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle, jednostajne pluskanie. Ktoś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i z pod lip naszych widać było cień jakiś, wstępujący pod górę to prędko, to pomalu, aż ostatecznie raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelmi!” — i zakręciła się na miejscu, jak nieprzytomna. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałem. Jezu drogi! jak on wyglądał! Twarz miał czarną, jak u murzyna, i tylko oczami wilczemi błyszczącą odzież całutką w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł i tylko kiedy niekiedy stękał, jakby w nim coś pękało. Ludzie koło niego szeptali, pytali, nawet go za ręce i odzież targali: on nic! Raz tylko na mnie spojrzał, i lzy potokiem ściekały mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszu-

¹⁾ Okolica—wieś na Litwie, zamieszкана przez drobną szlachtę.

li mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić... Z początku niewyraźnie mówił, i zrozumieć nie mogłem, ale potem, nie wiem czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu: „O, Jezu drogi, powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu!” i na czoło sobie pokazał... „A twój ojciec tu!”... i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dołożył: „Obydwóch niema!” i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?” Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Żalność mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem. Przez salę do gabinetu pana Benedykta wleciałem i, wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?” — zapytał. Ja jemu, tchu od płaczu nie mając, tyle tylko: „Stryj powiedzieć każe, że pan Andrzej tu!” i na czoło sobie pokazałem; „a mój ojciec tu!” i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: „Obydwóch niema!” Pan Benedykt tylko obydwoma rękoma za głowę złapał się, pędem z domu wypadł i prosto do okolicy biegł.

— Straszne historie! — szepnęła Justyna.

Jan nagle zwrócił się ku niej:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stała i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną, czy łąką leśną, objętą regularnem i ściśle zamkniętem kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i płaczące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. W głębi, pod ciemną ko-

lumną kilku splecionych jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, mający kształt podługowaty i łagodne stoki, niby wał, niby kurhan, widocznie rękami ludzkimi usypany, i, jak cała ta polana, niską, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiściasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodlach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosily się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie, i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żołą i dzięciołów. W powietrzu, jak w kadielnicy olbrzymiej, głuszone zapachem pleśni, kipiały wonie jałowca, smoły i cząbrku.

Jan, z głową odkrytą stojąc, zwolna wymówił: Zupełnie jak w pieśni:

„Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłaczę”.

Eliza Orzeszkowa. („Nad Niemnem”).

Porównaj styl „Wspomnienia” i „Hrabiątka”.

124. DZWONEK.

W chłodnym cieniu dąbrowy,
Gdy wiatr wionie majowy,
Leśne zioła rozniosą swe wonie:
Ja na wzgórzu zakwitnę
I w dzwoneczki błękitne
Dzwonię sobie, niebożę, a dzwonię.
Bo w tej puszczy zielonej,
Gdzie drzew wonne zasłony
Tajemniczym rozlały się cieniem,
Starych grobów jest tyle,
A na żadnej mogile

Nikt z pobożnem nie klęka westchnieniem.
Nim więc przyjdą kapłany,
Zapomniane kurhany
Łzami wreszcie poświęcić srebrnemi,
Kwiat mój wierny je strzeże,
Ciche swoje pacierze
Dzwoneczkami wydzwania wonnemi.

Marja Ilnicka.

Poetka polska w. XIX-go.

125. Syberja.

Otoczona zewsząd górami, wstrzymującemi dół ciepłych wiatrów, a otwarta ku północy, Syberja ma klimat surowy (kontynentalny), który wszedł w przysłowie: jest to kraina bieguna zimna, kraina, gdzie drzewa oraz szyby w oknach pękają od mrozu (stąd używanie szyb mikowych), gdzie mleko sprzedaje się w stanie stałym (zamrożone krążki), gdzie ludzie ślepną od blasku śniegów, kraina, gdzie „marzną westchnienia” (para oddechu ścina się w lód). Szczególniej jednak charakterystycznym zjawiskiem klimatu Syberji jest to, że grunt, zaczynając od pewnej nieznaczonej głębokości, jest wiecznie zmarznięty (lód gruntowy), wyjąwszy południowo-zachodnie okolice. Zjawisko to wynika stąd, że w pewnej głębokości zmiany temperatury powietrza nie dają się uczuwać, i grunt ma zawsze jednakową temperaturę, równą średniej temperaturze roku w danym miejscu; a ponieważ w całej prawie Syberji średnia temperatura jest niższą od 0°, stąd więc ów gruntowy lód. W Jakucku ta warstwa lodu jest tak gruba, iż nadaremnie kopano tam studnię; w miarę głębokości, temperatura wzrastała wprawdzie, ale jeszcze w głębokości 382 stóp pozostała poniżej 0°, nie przebito więc

warstwy lodowej i nie otrzymano wody. W tym wiecznym lodzie, w „lodowym grobie”, zachowały się ciała zwierząt, które już dawno wymarły, mianowicie mamutów, gatunku słoni, porośniętych włosami; ich kość, jako „kość słoniowa”, jest przedmiotem handlu. Wschodnia, wyżynowa część Syberji miała klimat surowszy, niż zachodnia, wyjąwszy samo wybrzeże oceanu Wielkiego, zasłonięte od zimowych wiatrów lądowych przez góry; zresztą zato topnienie lodów na morzu Ochockiem obniża tutaj temperaturę lata. Prócz tego spotykamy w Syberji naturalne zmiany klimatu z południa na północ i po części w związku z niemi zmiany w całej przyrodzie; wskutek tego można Syberję podzielić na trzy równoleżnikowe pasy.

Pas południowy obejmuje góry i przedgórza z żyznymi dolinami (górnictwo, rolnictwo), oraz (na zachodzie) stepy (hodowla bydła), stanowiące przejście do Turanu (strasliwe zamiecie śnieżne, zwane buranami), jako to: między Iszymem i Irtyszem, oraz między Irtyszem i Obi; ten ostatni „step” niezupełnie zasługuje na tę nazwę, jakkolwiek bowiem przez swe jeziora słone stanowi magazyn solny dla Syberji, to jednak posiada prócz tego rozległe bagna oraz lasy, głównie brzoźowe, klimat niezdrowy i chmary dokuczliwych owadów, przed którymi ludzie bronią się dymem ognisk oraz włosianymi maskami.

Pas środkowy przedstawia nieprzebyte lasy iglaste (tajgi), rosnące na gruncie bagnistym, który zawiera często ziarnka złota, splukane z gór i tu osadzone. Tajgi są siedliskiem zwierząt, dostarczających futer, mieszkańcy trudnią się więc łowiectwem (w czem wykazują niepospolitą zręczność i pomysłowość), oraz wypłukiwaniem złota z rozsypisk.

Pas północny obejmuje wiecznie zamrożłe błota czyli tundry, jednostajną równinę, niedawno wynu-

rzoną z morza, jak tego dowodzi drzewo napływowe („drewniane góry”); jest to przez większą część roku najbardziej na świecie ponura pustynia, pokryta nieprzerwanym białym całunem śniegu. Tylko na bardzo krótko śnieg znikną, ziemia rozmarza nieco na powierzchni, i wtedy tundra się ożywia: ryby wchodzą z morza w ujścia rzek dla składania ikry, za niemi zjawiają się niezliczone stada błotnego ptactwa, renifery uciekają tu z tajg przed owadami, szukając chłodu i mchu. Wślad za światem zwierzęcym zjawia się człowiek, jako rybak, myśliwiec, lub pasterz ze stadami swojskich reniferów. Lecz zaledwie powróci zima, ptaki odlatują na południe, renifery wracają do lasu, a ryby do morza; nie pozostaje nic, coby człowieka mogło wiązać do tej krajiny—i znów nad białą tundrą zalega cisza grobowa.

Wacław Nałkowski.

Geograf polski.

Jak nazwiesz ten opis? Porównaj z opisem wschodu słońca na morzu. Do czego służy nawias?

126. Z Anhellego.

...I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych, i pod szumiącymi lasami Syberji, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili koło cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A kiedy idąc rozmawiali, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi, spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu, mówiąc:—Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych, i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci łoże w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były blahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakby gościniec złoty ku południowi—kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc:

— Oto opuściłeś nas i nie robisz więcej cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary i wątpimy nawet, czy jest w nas jaka dusza.

Na to Szaman, uśmiechnąwszy się, rzekł:—Chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie:—Chcemy! Uczyni to!

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego, rzekł:—Cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uśpił i, duszę twoją wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom?

Anhelli odpowiedział mu:—Czyni, jako ci się podoba, jestem w twojej mocy.

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

— Oto połóż rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite, i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wołę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka, i powracał leniwo po złotej fali, wlokąc po niej końce skrzydeł, obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął, jak harfa rozbita, i wzdrygnął się, lecz posłuchał.

A zbudziwszy się, Anhelli usiadł i zapytał, co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy:— Panie, widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię, bądź królem naszym! Albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi, prócz słońca, i nic jaśniej migającego, oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie, przelatujące w maju przez ziemię naszą.

A nawet uczuliśmy woń, jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalji.

Słyszając o tem, Anhelli obrócił się do Szamana i rzekł:—Prawdaż to jest?—A Szaman rzekł:—Prawda, opętanyś jest przez anioła.

— Cóż więc—zapytał Anhelli—uczyniła dusza moja, będąc wolną? powiedz, bo nie pamiętam.

Odpowiedział mu Szaman:—Oto poszła po tym gościniec złotym, co jest na wodzie od księżycy, i uciekała w tamtą stronę, jak człowiek, co się spieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli, i, zamyśliwszy się, zaczął płakać, mówiąc:—Oto chciała powrócić do ojczyzny.

Juljusz Słowacki.

127. MARATON.

I.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
 Z czterech stron świata zlatują się sępy:
 Medy z Egiptem, Persy z Indjanami,
 A Artafernes i Datys wodzami.
 Aż wiatr się zrywa od wiania buńczuków,
 I gwar powstaje od pochrzestu łuków,
 Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
 Tak wielka koni i ludzi nawała.
 Można by nimi podbić cały świat ten,
 A tam krzyk tylko: — Do Aten! do Aten!

I mają rozkaz surowy wodzowie,
 Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie,
 I wiele, wiele przysposobić łyków —
 Tyle w Atenach wezmą niewolników.

II.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
 Milczy i smutnie po sobie spoziera.
 Wierny swój naród opuściły bogi
 I do wyboru dały mu dwie drogi:
 Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepczą: — Nieprzyjaciół siła!
 Na cóż się przyda ofiara i męstwo?
 A drudzy krzyczą: — Śmierć albo zwycięstwo!
 Śród nich Milcjades, jak zesłannik bogów,
 Jak owa Pytja¹⁾ z delfickich trójnogów
 Słowem podźwiga zwątpiałego ducha;
 Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucho.

¹⁾ Pytja—kapłanka w Delfach, wypowiadająca wyrocznie.

— Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
 Niech sobie powróz okręci o szyję,
 Niech własną wolę na wieki okiełza,
 Pan niedaleko—niech do niego pełzał!
 I tam głaskany, a potem wzgardzony,
 Niechaj na progu wybija pokłony,
 Niech, jak pies głodny, czołga się bez końca
 Za pańską nogą, która nim potrąca.

A my zostańmy! My w nieszczęściu razem,
 Albo wytepić wrogów tem żelazem,
 Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
 W grobie się wolni schronim przed niewolą!
 Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
 Lub bladeść trupia—nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną?
 I tą przemocą, co się zda niezłomną?
 Cóż jednak znaczy taka śma motłochu,
 Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
 Którą do boju popędzają biczem,
 Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem!

Jakąż nad nami może mieć przewagę
 Zgięty niewolnik, którego odwagę
 Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
 A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
 Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
 A którą prawo nie włada, lecz pycha!

A nas,—nas wielkich praojców posagi
 Do świetnych czynów wzywają, jak ongi.
 Długim szeregiem otoczyły rynek,
 Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
 Aby nas gromić marmurową twarzą,
 Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas,—nas wszystko do boju porywa:
Każda pięć ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swoim łonie tyle sławy chował

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchocze i złamie!
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwem
A lud wykrzyknął: — Śmierć albo zwycięstwo!

III.

Nad Maratonem

Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonym.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób osirzą tępy —
A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje, że ich oko łudzi, —
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech uragowiska.
Med pomrukuje: — Szaleni! szaleni!
Jeden na tysiąc! — My niezwyciężeni!

IV.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i plugi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.

W Atenach pusto: śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzył w trwożnym niepokoju,
Czy nie zobaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać. I słońce zagasło,
I gwiazdy... Cyt... cyt... coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi kroki coś po bruku bije
I woła: — Tchul! Tchul! Głosu! Grecja... żyje!
Cześć! cześć! Milejades!... Tchul!... Zwycięstwo z nami!

Kobiety z domów wyszły z pochodniami.
Z gałązką lauru Grek ulicą bieży —
I padł, wołając: — Zwycięstwo! — Już nie żył.

Kornel Ujejski.

Bitwa pod Maratonem między Grekami a Persami 490 r.
przed Chrystusem.

128. Najtrwalszy pomnik.

Agezylaus, jeden z najwybitniejszych królów Macedonji, rozkazał umierając, aby nie malowano jego wizerunku, ani wznoszono mu posągów. — Jeżeli czyny moje na pamięć potomności zasłużyły—mówił—będą one prawdziwymi i najtrwalszymi pomnikami mojej chwały; a jeżeli nie uczyniłem nic, godnego pamięci, to mi obrazy i posągi nie pomogą.

129. Uang-Ming-Tse.

Było święto. A-Pe obudził się później, niż zwykle. Słońce już wzeszło. Wesole promienie jego wdzierały się przez obszerne na całą ścianę okno do głównej izby domu i zalewały ją jaskrawem światłem. A-Pe obudził sługę i młodsze rodzeństwo. Wkrótce potem wysunęła się matka z sypialni, zajrzała do dzieci, sprzątających główną izbę, ubierających kwiatami

ołtarz rodzinny, i wróciła ostrożnie do męża. Chwilę rozmawiali cicho. Wreszcie szepty dzieci, zebranych pode drzwiami, przerwały ich rozmowę. Ta-Niang odsunęła się z uśmiechem, Uang uderzył trzykroć w podłogę. Natychmiast z poza parawanika, zasłaniającego wejście, wysunął się z jednej strony I-Po z miotłkami pod pachą i bukietem w rękę, a z drugiej wyszła Bong-Ju z miednicą gorącej wody i płuwającymi w niej płatkami flaneli.

I-Po oddał bukiet i zaczął czyścić rzeczy ojca.

— Ojcie, na dworze ślicznie, jasno i cicho, ale A-Pe mówi, że będzie gorąco, że trzeba będzie bawołu poprowadzić do rzeki, aby się wykapał, a więc może jabył poszedł, ojciec!...

Uang zwolna ubierał się przy pomocy dzieci w odzież odświętną. Ta-Niang zaniósła babce rzeczy, kwiaty i śniadanie.

Tymczasem A-Pe wrócił z nad kanału z pękami świeżych kwiatów, ustawił je w wazonach pod półką z tabliczkami przodków, odstał i, mrużąc oczy od światła, przyglądał się swemu dziełu. Blask słoneczny szeroką falą przesiąkał przez papier okna, przełamując się w cieniuchno szlifowanych muszelkach łufików „do wyglądanja”. Jasny pył brylantowy, przesnuty tęczowymi smugami, barwił i złocił kwiaty, owoce, drewniane miseczki z jadem ofiarnym, błękitne wazy, duże świeczniki cynowe i złote napisy na jaskrawo-czerwonych wstęgach papieru, zawieszonych na ścianie naprzeciwko okna, z obu stron półki przodków i ofiarnego stołu z czarnego drzewa. Dwie latarnie z bibułki kolorowej zwieszały się z pułapu. A-Pe wziął księgę rodzinną z tego stołu i przeniósł na inny, większy pośrodku pokoju.

Wszedł wreszcie ojciec. A-Pe schylił się przed nim w głębokim ukłonie, poprawił warkocz i włożył atla-

sową czapeczkę. Wkrótce przed ołtarzem zebrała się cała rodzina, przyszedł sługa; mężczyźni rozpuścili na plecach świeżo splecione warkocze i nakryli głowy czapeczkami, kobiety młode i stare pięknie i wysoko upięły włosy ogromnymi szpilkami i ubrały je kwiatami. Zapalono w świecznikach kolorowe świece z wosku roślinnego i małe trociczki, „woności jednej go-dziny”. Niebieskawy dym popłynął cienką wstęgą ku górze. Uang przykląkł, pochylił się i czołem dzie-sięćkroć o ziemię uderzył; zebrani uczynili to samo.

Gdy następnie wstał Uang i zbliżył się do otwartej na pierwszej stronicy księgi rodzinnej, zdawał się być więcej niż zawsze wzruszony.

— Przeszłym razem przeczytałem wam życiorys niepokalanej pamięci ojca mego a waszego dziada... My żyjemy jeszcze... Znów więc zacznę od początku księgę naszego dziedzictwa.

Wziął w rękę stare, wyblakłe kartki, niezgrabnymi, chłopskimi pokreślone znakami, i czytał:

„W roku trzecim panowania bogdychana Juen-Fong, ja, Uang, przyszedłem z okolicy Szu i zająłem dolinę. Miejscowość była dzika i pusta, rzeka bez nazwy. Góry i urwiska wznosiły ku Przedwiecznemu Niebu jałowe szczyty, rzeka szeroko rozlewała wody, tworząc cuchnące bagniska, porośnię bambusem. Tygrysy kryły się tam i straszyły nas po nocy. Duchy żółtookiej febry ulatywały z nich wraz z mgłą wieczorną... Nazwałem rzekę „Wielką wodą doliny”, przekopałem rowy, by spłynęły uwieszone wody, wy-trzebiłem ogniem i łopatą bambusy. Czternastu synów pilnie pomagało mi w pracy. Na stokach wzgórz postawiliśmy trzy domy i otoczyli murem warownym...”

Czytał długo o walkach, niebezpieczeństwach,

trudach i pracach swych przodków, zakończył wreszcie rozdział słowami Konfucjusza ¹⁾:

„Pracujcie na ziemi, pielęgnujcie dobre obyczaje w sercach waszych, chowajcie wdzięczność dla ludzi, zwierząt, roślin, dla wszystkiego, co sprzyja życiu, a niebo spłynie na ziemię”.

Tu Uang księgę zamknął i uniósł się z siedzenia.

II. Wtem potężne dźwięki gongu ²⁾ miarowo wstrząsnęły powietrzem.

Uang zdziwiony zwrócił głowę w stronę żółtej pagody buddyjskiej, lecz głos leciał nie stamtąd.

— To ze zbornego domu, ojcze! — spokojnie powiedział A-Pe.

— Ze zbornego domu? Cóżby się stać mogło?

Mężczyźni przy pomocy kobiet pośpiesznie wybierali się do wyjścia, a gong huczał i zwolywał wciąż mieszkańców.

W domu zbornym wieśniacy tłumnie obsiedli stopnie i zapelnili podwórze. Wszyscy oni byli z pochodzenia Uangami. Na wzniesieniu głównem obok Jang-Jo (wójta) stał przybysz w wygiętym letnim kapeluszu, z gałką uczonego.

Dał znak, żeby obecni uciszyli się, rozwinął zwój żółtego papieru i czytał:

„O, niebo nieskończenie błękitne! Niemna nie czegobyś nie utuliło w swych objęciach. We wszechświecie panuje jedność i życzliwość. Lecz gdy Niebo i Ziemia są zgwałcone, cierpią i serca ludzkie. Wielekroć narody w ciemności swego barbarzyństwa, powodowane głodem i chciwością, napadały na łagodnych synów Nieba, kochających pracę. Dziś znowu, przyszedł Krwi Chciwi... Niech dzieci Słońca przygotu-

¹⁾ Konfucjusz—filozof chiński. ²⁾ Gong—instrument muzyczny chiński.

ją swe oczy do płaczu, a serca na trumny dla Przedwcześnie Umarłych. Niech w godzinie nieszczęścia zbudzi się w nich wielki duch bohaterów starych...”

Mówił o zajętych przez cudzoziemców kopalniach węgla w Szan-Si, gdzie tysiące lat tysiące biedaków kopało opał i żyło z jego sprzedaży; mówił o wielkim cudzoziemskim piecu do pлавienia żelaza w prowincji Cho-Nan, który pożarł tysiące małych pieców okolicznych kowali; mówił o kolejach żelaznych, pozabawiających pracy tragarzy i oryli; mówił o przebiegłości i okrucieństwie białych, o ich barbarzyństwie i nieprzebranej ciemnocie...

Tłum wiedział o tem wszystkim z ksiązek, z opowiadań i szemrał coraz głośniejsze.

„Wszystko, co stworzyli przodkowie nasi, porośnie zielskiem i w proch się rozsypie, a na tych miejscach wystrzelą obrzydliwe, zarozumiałe wieżycy ich pagód i staną ich wielopiętrowe domy, gdzie ludzie gnieźdzą się, jak w pudłach gołębie... Ojców naszych grzebać będziemy, jak nie grzebiemy nawet psów, po kilku w jednej mogile, bez znaku pamięci... Z miejsc, zroszonych ich potem, ustąpią Synowie Nieba, a posiadają je i zaludnią biali barbarzyńcy. Tego pragną oni, ale to nie nastąpi. Synowie Nieba zjednoczą się i wyjdą wcześniej i bez względu na to, czy umrą, czy zwyciężą, nie oddadzą swej pięknej Krainy Kwiatów. Za dni kilka związek „Kochających Ojczyznę” uderzy na cudzoziemców. Niech każdy więc, kto ma dwóch braci lub dwóch synów, odda jednego... Niech idą drogami, kierując się na południe, a poznają się po znaku „Pięści”... Idźcie do domu i pomyślcie w ciichości, gdyż wielu z was... nie wrócił”

Unikł. Tłum w żalobnem milczeniu zaczął się rozchodzić.

Całą drogę Uang-Ming-Tse nie spojrzał na syna.

III. Wreszcie nadszedł wieczór i znów A-Pe, zanim zamknął wrota ojczystej zagrody, wyjrzał za nie. Nad rzeką błyszczały światła, ale wesołe rakiety nie wlatywały w powietrze. A-Pe uczył trwogę: zdawało mu się, że ciemność i chłód nocy wpadły nagle do jego duszy i zmaciły ją, jak powiew wiatru maci lampę płonącą.

— Wielu z was nie wrócił... — przypomniał sobie i wrota pospiesznie zasunął.

— A może ojciec mię nie wyśle... — pomyślał, lecz natychmiast otrząsnął się z przykrego uczucia i wszedł pod werandę.

— Ktoś umrzeć musi... Nie ja, więc inni... Grzechy ich spadają na żywych... Pewnie ojciec powie zaraz, nim położymy się do snu — rozważał.

Lecz Uang milczał uparcie. Skoro jednak znaleźli się sam na sam z żoną, wybuchnął żalem i opowiedział jej wszystko.

— A-Pe!... A-Pe!... Miły A-Pe!... Potom nosiła cię pod sercem!... — biadała Ta-Niang.

— Przestań i staraj się usnąć... Noc długa!... Może Bóg gromu rzuci pioruny na złych drapieżników i znikną, jak zła mara...

Ale noc cicha, ciepła wisiała nazewnątrz i przenikała do domu, przez szerokie okna. Małżonkowie nie spali. W ciemnościach przewracali się na łóżach swych. Drewniane wezgi Ta-Niang opłynęło łzami. Wreszcie Uang trącił ją w ramię:

— Wstań, zapal światło i nasyp worek ryżu!

Uniosła się i cicho i jak widmo przeszła mimo pokoi dziecięcych do odległej spiżarni. Uang liczył tymczasem miedziane sapeki i nizał je na sznurek. Rok był ciężki, więc nie mógł dać wiele synowi. Zresztą na wojnie żyją ludzie z rabunku.

Ryż i pieniądze złożyli na stole ofiarnym, obok

księgi rodzinnej i wrócili do siebie. Kobieta uchwyciła w objęcia głowę męża. Bez słów siedzieli w ciemnościach, wsparci o siebie, nasłuchując, rychło dźwięki budzącego się życia zwiastują zbliżający się ranek.

Wreszcie zmrok siwy zakradł się w głąb domu. Wkrótce potem usłyszeli kroki A-Pe. Wszedł do głównej rodzinnej komnaty i czas jakiś tam bawił; słyszeli, jak odsuwał drzwi zewnętrzne. Następnie wszystko umilkło, i szmer jego kroków, i nawet oddech... Potem zabrzączały sapeki... i znowu cicho... Usłyszeli kroki jego ostrożne bliżej... podchodził ku ich drzwiom.

Zdawało im się, że lada chwila wejdzie. A on zatrzymał się tuż blisko u progu i stał chwilę. Potem znów wszedł do sali przodków i słyszeli, jak tam błądził i przesuwiał przedmioty z miejsca na miejsce... Znowu cicho zabrzączały sapeki. Ta-Niang porwała się ku wyjściu, ale Uang przytrzymał ją za rękaw... A tymczasem A-Pe nie przestawał błądzić po domu. Chodził, wracał, zaglądał do dziecięcego pokoju, gdzie spali obok siebie I-Po i Bong-Ju. Wreszcie drewniane podszwy jego drewnianych sandałów zastukały na stopniach werandy. Obszedł dom wkoło i wrota otworzył. Uang i Ta-Niang wyszli do sali i przez otwory w oknie go śledzili. Barczysta jego figura w niebieskiej tunice, z woreczkiem ryżu na plecach mignęła i znikła za węglem wrót...

— Synu mój! — jęknęła Ta-Niang, wyciągając ręce.

Uang dłonią szybko zamknął jej usta.

— Tak chce Niebo i Ziemia! — mówił, a łzy jak groch płynęły mu po twarzy.

Zaczekali, aż kroki odchodzącego uciechły na zbiegającej w dół ścieżce, i wyszli przed wrota. Słońce tylko co weszło, wilgotna od rosy okolica lśniła w je-

go promieniach. Żółta Ta-Sznej-Chi wolno toczyła nurty w wysokim korycie. Gęsto płynęły po niej łodzie i dżonki. Tam, gdzie wały ochronne skrywały statki, ich wydęte brunatne i żółte żagle wydawały się piersiami ledwie co zbudzonych złotych smoków, które nisko pod ziemią leciały ku słońcu. Po licznych, w łuk wygiętych mostach szły wciąż roje ludzi, dochodziły do szczytów i ginęły za nimi, jak gdyby zapadały się w otchłań.

Wacław Sieroszewski.
Współczesny powieściopisarz polski.

130. Ze śpiewek ludowych.

Próżno ty się miotasz w polu,
Wichuro,
Próżno ludzi straszysz pieśnią
Ponurą.
Przyjdzie wiosna, wonne kwiaty
Rozsieje,
Porozprasza wszystkie smutne
Zawieje.
Przyjdzie wiosna, uśmiechnięta
Królewna,
Jak sen piękna, niby anioł
Powiewna.
Spójrzy na świat błękitnemi
Oczyrna,
I wnet pierzchnie czarownica
Zła zima...
Przyleciały już bociany
Wróżbity,
Zajaśniały rozchmurzone
Błękity;
Płyną polem jakieś wonie
Wiośniane,

Wstają ze snu ludzkie serca
Stroskane...
Więc napróżno ty się miotasz,
Wichuro,
Próżno ludzi straszysz pieśnią
Ponurą.
Nie zatrwoży ich twój lament
Żałosny —
Oni czują, że już blizki
Dzień wiosny.

131. W godzinie tryumfu.

O wschodzie słońca odezwały się trąby, i cała armja egipska stanęła pod bronią w najszerszym miejscu doliny.

Ramzes wyszedł z namiotu, siadł na wóz i sam ujął cugle, a miejsce woźnicy zajął przy nim kapłan Pentuer, doradca. Jeden z generałów roztoczył nad księciem duży, zielony parasol, a z tyłu i po obu stronach wozu szli greccy oficerowie w pozłocistych zbrojach. W pewnej odległości za orszakiem księcia posuwał się mały oddział gwardji, a wśród niego Tehenna, wzięty do niewoli syn libijskiego wodza Musawasy.

Na trzydzieści kroków przed wozem następcy tronu Musawasa i towarzyszący mu najprzedniejsi Libijczycy upadli na brzuchy swoje i leżeli w piasku, dopóki adjutant książęcy nie kazał im wstać. Zbliżywszy się na kilka kroków, znowu padli i uczynili tak trzy razy, a zawsze Ramzes musiał rozkazywać im, żeby się podnieśli.

Przez ten czas Pentuer, stojący na książęcym wozie, szeptał swojemu panu:

— Niech oblicze twoje nie pokaże im ani srogości, ani uciechy. Raczej bądź spokojny, jak bóg

Amon, który pogardza swymi wrogami i nie cieszy się z ladajakich tryumfów...

Nareszcie pokutujący Libijczycy stanęli przed obliczem księcia, który ze złocistego wozu patrzył na nich, jak srogi hipopotam na kaczęta, nie mające gdzie ukryć się przed jego mocą.

— Tyżes to — nagle odezwał się Ramzes—tyżes to jest Musawasa, mądry wódz libijski?

— Jam jest twój sługa—odparł zapytany i znowu rzucił się na ziemię.

Gdy mu kazano wstać, książę mówił:

— Jak mogłeś dopuścić się tak ciężkiego grzechu i podnieść rękę na ziemię bogów? Czyliżby opuściła cię dawna roztropność?

— Panie!—odparł chytry Libijczyk—żał pomieślał rozumy wygnanym żołnierzom jego świątobliwości, więc biegli na własną zgubę, ciągnąc za sobą mnie i moich. I wiedzą bogowie, jak długo ciągnęłaby się ta brzydka wojna, gdyby na czele armji wiecznie żyjącego faraona nie stanął sam Amon w twojej postaci. Jak pustynny wichur spadłeś, kiedy cię nie oczekiwano, tam, gdzie cię nie oczekiwano, i jak byk łamie trzcinę, tak ty skruszyłeś zaślepiętego nieprzyjaciela. Poczem wszystkie ludy nasze zrozumiały, że nawet straszne pułki libijskie dopóty są coś warte, dopóki rzuca nimi twoja ręka.

— Mądrze mówisz, Musawaso—rzekł książę — a jeszcze lepiej uczyniłeś, żeś wyszedł naprzeciw armji boskiego faraona, nie czekając, aż ona przyjdzie do was. Radbym jednak dowiedzieć się, o ile prawdziwą jest wasza pokora.

— Rozjaśnij oblicze, wielki mocarzu egipski — odpowiedział na to Musawasa. — Przychodzimy do ciebie jako poddani, ażeby imię twoje było wielkiem

w Libji i ażebyś był naszym słońcem, jak jesteś słońcem dziewięciu ludów.

— Każ rządzić nami bez krzywdy dla nas i dla dzieci naszych, wszak jesteś bogiem naszym i władcą na wieki. Naśladuj słońce, które dla wszystkich rozsiewa swój blask, dający siłę i życie. Błagamy cię o twe laski, my libijscy poddani, i padamy czołem przed tobą, następco wielkiego i potężnego faraona.

Tak mówił przebiegły książę libijski Musawasa i, skończywszy, znowu upadł brzuchem na ziemię. A następcy faraona, kiedy słuchał tych mądrych słów, błyszczały oczy i rozszerzały się nozdrza, jak młodemu ogierowi, który po sytej paszy wybiega na łąkę.

— Powstań, Musawaso—odezwał się książę—i posłuchaj, co ci odpowiem. Los twój i twoich narodów nie zależy ode mnie, lecz od miłościwego pana, który tak wznosi się ponad nami wszystkimi, jak niebo nad ziemią. Radzę ci więc, ażebyś ty i starszyzna libijska udali się stąd do Memfis i tam, upadłszy na twarz przed władcą i bogiem tego świata, powtórzyli pokorną mowę, której tu wysłuchałem.

— Nie wiem, jaki będzie skutek waszych prośb, lecz ponieważ bogowie nigdy nie odwracają się od skruszonych i błagających, więc przeczuwam, że nie będziecie źle przyjęci.

— A teraz pokażcie mi dary, przeznaczone dla jego świątobliwości, bym osądził, czy poruszą serca wszechmocnego faraona.

W tej chwili arcykapłan Mentezufis dał znak stojącemu na wozie księciu Pentuerowi. A gdy ten zszedł i zbliżył się ze czcią do świętego męża, Mentezufis szepnął:

— Boję się, ażeby młodemu panu naszemu tryumf nie za mocno uderzył do głowy. Czy nie sądzisz, że byłoby roztropnem przerwać w jakiś sposób uroczystość?...

— Przeciwnie—odparł Pentuer—nie przerywajcie uroczystości, a ja wam ręczę, że podczas tryumfu nie będzie miał wesołej twarzy.

— Zrobisz cud?

— Czyliżbym potrafił? Pokażę mu tylko, że na tym świecie wielkiej radości towarzyszą wielkie strapienia.

II. Odezwały się trąby i bębny, i rozpoczęło pochód tryumfalny.

Na czele szli nadzy niewolnicy z darami, pilnowani przez możnych Libijczyków. Więc niesiono złote i srebrne bogi, szkatułki, napelnione wonnościami, emaljowane naczynia, tkaniny, sprzęty, wreszcie złote misy nasypane rubinami, szafirami i szmaragdami. Niewolnicy, niosący je, mieli ogolone głowy i opaski na ustach, ażeby który nie ukradł cennego klejnotu.

Książę Ramzes wsparł obie ręce o krawędź wozu i z wysokości pagórka patrzył na Libijczyków i swoje wojsko, jak żółtogłowy orzeł na pstre kuropatwy. Duma wypełniała go od stóp do głowy, i wszyscy czuli, że nie można być potężniejszym od tego zwycięskiego wodza.

W jednej chwili oczy księcia utraciły blask, a na twarzy odmalowało się przykre zdziwienie. To stojący za nim Pentuer szepnął:

— Nakłoń, panie, ucha twego... Od czasu kiedy opuściłeś miasto Pi-Bast, zaszły tam dziwne wydarzenia... Twoja kobieta, Kama Fenicjanka, uciekła...

— Nie poruszaj się, panie, i nie okazuj tysiącom twoich niewolników, że masz smutek w dniu tryumfu...

W tej chwili przechodził u stóp księcia bardzo długi sznur Libijczyków, niosących w koszach owoce i chleby, a w ogromnych dzbanach wino i oliwę dla wojska. Na ten widok wśród karnego żołnierstwa rozległ się szmer radości, ale Ramzes nie spostrzegł tego, zajęty opowiadaniem Pentuera.

— Bogowie—szeptał prorok—ukarali zdradziecką Fenicjanke.

— Złapana?...—spytał książę.

— Złapana, ale musiano ją wysłać do wschodnich kolonji... Spadł bowiem na nią trąd...

Książę poczuł zimno we wszystkich członkach. Jakże łatwo bogom z najwyższych zaszczytów zepchnąć człowieka w przepaść najgłębszej nędzy!...

Teraz nadciągnęła gromada Libijczyków, prowadzących osobliwe zwierzęta. Na czele siedł jednogarbny wielbłąd z białym włosem, jeden z pierwszych, jakiego złapano w pustyni. Za nim dwa nosorożce, stado koni i oswojony lew w klatce. A dalej mnóstwo klatek z różnobarwnymi ptakami, małpkami i małymi pieskami, przeznaczonymi dla dam dworskich. Wkońcu pędzono wielkie stada wołów i baranów na mięso dla wojska.

— Teraz ci powiem najgorszą rzecz, nieszczęśliwy panie—szeptał Pentuer.—Pamiętaj jednak, aby nieprzyjaciele Egiptu nie dostrzegli smutku w tobie...

Następca poruszył się.

— Twoja druga kobieta, Sara, Żydówka...

— Czy także uciekła?...

— Zmarła w więzieniu...

— O bogowie!... Któż śmiał ją wtrącić?...

— Sama oskarżyła się o zabójstwo syna twego...

— Co?...

Wielki krzyk rozległ się u stóp księcia: to maszerowali jeńcy libijscy, wzięci podczas bitwy, a na czele ich smutny Tehenna.

Ramzes miał w tej chwili serce tak przepelnione bólem, że skinął na Tehennę i rzekł:

— Stań przy ojcu twoim, Musawasie, ażeby widział i dotknął cię, że żyjesz...

Na te słowa wszyscy Libijczycy i całe wojsko wydało potężny okrzyk; ale ksiązę nie słuchał go.

— Syn mój nie żyje?...—pytał kapłana.—Sara oskarżyła się o dzieciobójstwo?... Czy szaleństwo padło na jej duszę!...

— Dziecko zabił nikczemny Lykon...

— O bogowie, dajcie mi siły!...—jęknął ksiązę.

— Hamuj się, panie, jak przystało na zwycięskiego wodza.

— Czyliż podobna zwyciężyć taką boleść!... O nie-miłosierni bogowie!...

— Dziecko zabił Lykon; Sara oskarżyła się, ażeby ciebie ocalić... Widząc bowiem mordercę w nocy, myślała, że to ty sam byłeś...

Teraz ukazali się żołnierze egipscy, niosący pełne kosze rąk, uciętych poległym Libijczykom.

Na ten widok ksiązę Ramzes zasłonił twarz swoją i gorzko zapłakał.

Natychmiast generałowie otoczyli wóz, pocieszając pana. Zaś święty prorok Mentezufis podał wniosek, który przyjęto bez namysłu, ażeby od tej pory wojsko egipskie już nigdy nie uciinało rąk poległym w boju nieprzyjaciółom.

Tym nieprzewidzianym wypadkiem zakończył się pierwszy tryumf następcy egipskiego tronu. Ale lży, jakie wylał nad uciętymi rękami, mocniej aniżeli zwycięska bitwa przywiązały do niego Libijczyków. Nikt też nie zdziwił się, że dokoła ognisk zasiedli w zgodzie żołnierze egipscy i libijscy, dzieląc się chlebem i pijąc wino z tych samych kubków. Miejsce wojny i nienawiści, które miały trwać całe lata, zajęło głębokie uczucie spokoju i zaufania.

Bolesław Prus. („Faraon”).

Najpotężniejszy zwycięzca to miłość,— jej zwycięstwa jedynie są trwałe, ona kupuje serca żywe, gdy oręż tylko zabija.

132. W o j n a.

Cisza była i spokój. Myśliciel w zachwycie Śnił o wielkim dniu pracy społecznej, o świecie, Który słońcem pozłocić miał człowieka dołę... Świat odetchnął.

Wtem nagle z płomieniem na czole,
Z trąbą przy wzdętych ustach wesłaś ty, o wojno,
Depcząc ślady postępu stopą swoją zbrojną.
Na wyścig lecą ludy, ogarnięte szaleń,
Ziemię poić krwią swoją i karmić ją ciałem.
Na śmierć!... Straszliwe hasło bije w każde wrota.
Oto idzie wezwany od pługą, od młota:
To brat! Jemu się uścisk od ciebie należy,
A ty podnosisz rękę do lontów moździerzy?
Wioski i miasta giną w płomiennych wybuchach...
Kamienie nawet cierpią, cóż mówić o duchach?
Oto na trupie ojca leży syn młodzieńczy,
Przy zagasłym ognisku garstka sierot jęczy,
Bo te trupy wybladłe, te piersi strzaskane
Miały bijące serca—i były kochane.

Ludwika Ackermann.

Przekład Marji Konopnickiej.

133. S e n.

Nagle wydało się śpiącemu, że słyszy silny odgłos kroków na ulicy; stąpanie równomierne, regularne, jakby wojska w marszu. Wstał i otworzył okno.

Przechodzili rzeczywiście żołnierze. Noc nie była ciemna, światło księżyca lśniło na błyszczących bagnietach, pośród szeregów można było odróżnić oficerów na koniach, sztab główny, komendantów, dowódców.

Szli prędko zwartą masą.

Zdawało się Wiljamowi, że ulica rozszerzyła się i że szereg każdy więcej zawierał ludzi, niż pozornie na tej przestrzeni pomieścić się mogło. Nie zdziwił się tem jednak. W blasku księżyca dostrzegł twarze żołnierzy. Były młode, bardzo blade, raczej dziecinne, niż męskie. Nie wydawali żadnego okrzyku, szli w milczeniu.

Jednakże głuchy loskot ich kroków wstrząsał szymbami; to właśnie drżenie ściągnęło Wiljama do okna.

Szli mimo ciągle, nieustannie. Po piechocie—kawalerja. Konie szły rzędem tak szerokim, że trudno było rozróżnić sylwetki najbardziej oddalonych. Głowy dragonów¹⁾, piersi kirasjerów²⁾ pod promieniami księżyca rzuciły odbłaski srebrne.

I tak wciąż, bez przerwy mijali konie i ludzie. Po tych przychodzili inni i jeszcze inni.

Potem klusem jechać zaczęła artylerja z armatami, lawetami³⁾, skrzyniami z amunicją. Przyspieszali kroku, a od pochodu tego drżała ziemia. Cały tłum milczał. Nie było słyhać ani sapania koni, ani komendy oficerów, ani rozmowy żołnierzy.

Szli mimo ciągle, nieustannie.

Ulica rozszerzyła się. Stała się podobną olbrzymiej drodze bez końca, a w dali, jak tylko okiem dojrzeć, błyszczały bagnety, iskrzyły się kaski, połyskiwał śpiż armat.

Po tych przychodzili inni i jeszcze inni, a zawsze były to te same twarze dziecięce, bladawe, bez zarostów. Męka malowała się w ich oczach, a rysy były ściągnięte przestraczem.

Był między nimi jeden, który w rozpaczę otworzył usta, jakby do krzyku, lecz Wiljam nic nie usłyszał.

¹⁾ Dragon—żołnierz konny. ²⁾ Kirasjer—żołnierz z ciężkiej jazdy, noszącej pancerze czyli kirysy. ³⁾ Laweta—osada armaty na kołach.

Jak długo trwał ten straszliwy wylew ludzi? Godzinę? Dwie godziny? Dwa dni? Rok może?

Nagle Wiljam uczuł, że ktoś lekko pociąga go za połę ubrania. Odwrócił się gwałtownie. Znajdował się już nie w swoim pokoju, lecz na szerokiej równinie, tu i owdzie zjeżonej pagórkami. W głębi był parów, za nim wzgórze cokolwiek wyższe od innych, poza wzgórzem księżyc oświecał lśniąca powierzchnię jakiejś wody.

Wiljam, starając się powiązać myśli, które ślizgały się w jego pamięci, zaczął poznawać tę równinę, ten parów, to morze dalekie. Przez mgnięcie oka w mózgu jego błysnęła myśl, że wszystkie te wizje są po prostu snem, jednakże kontury przedmiotów tak były wyraziste, iż trudno mu było wątpić o ich rzeczywistości, spostrzegał najdokładniej wszystkie szczegóły kamieni, napół zagłębionych w bajorach¹⁾ błota i śniegu, a porywy wiatru siekły mu twarz.

Zresztą, gwałtowna żądza zobaczenia i dowiedzenia się wszystkiego paraliżowała zupełnie jego wolę.

Daleko, na krańcach równiny słyhać było głuchy, monotony grzmot.

„Ależ to działa!” — wyszeptał Wiljam.

Wszędzie — na prawo, na lewo, na przedzie, z tyłu, na północy, na południu, na wschodzie i na zachodzie — szedł powietrzem huk działowy.

„Wielka bitwa!” — rzekł głośno.

Chciał postawić krok naprzód, ale ponownie uczuł coś, czy kogoś, co pociągnął go wtył.

Pochylił się i zobaczył człowieka, leżącego na ziemi, który nań patrzył; kurczowo zaciśnięta dłoń jego mocno trzymała Wiljama za ubranie, oczy były zamglone, twarz blada.

¹⁾ Bajoro—płytkie bagno, woda błotnista.

Wiljam poznał teraz młodego żołnierza, który, przechodząc pod jego oknem, chciał krzyknąć. Twarz powalonego wyrażała straszliwe cierpienie i zdawała się błagać zmiłowania. Wiljam wziął go za rękę, żeby mu pomódz podnieść się, ale w tej samej chwili uczuł, że ręka ta miażdży się w jego dłoni z chrzęstem łamiącej się kości, na podobieństwo gniesionych razem łupin orzechów. Wiljam szybko usunął swą rękę i przy świetle księżyca ujrzał, że jest cała zboczona krwią.

Cofnął się, nie mogąc opanować pierwszego odruchu przerażenia, gdy wtem uczuł się dotkniętym w kolano.

To znów był żołnierz i również ranny. Utkwił w Wiljamie wzrok bardzo łagodny i bardzo smutny. Jego żołnierska kapota była na piersi rozdarta, a przez otwór za każdym oddechem wypływał cienki strumyczek krwi. Ranny, unosząc zlekka głowę, ciągle spoglądał na Wiljama nieruchomemi oczyma.

Wiljam przerażony chciał uciekać, ale noga jego zawadziła o jakieś ciało, z którego wyszedł jęk cichy, głęboki, a tak bolesny, że zadrżał. Był to oficer, jak wskazywał mundur. Leżał na skrwawionej ziemi, lecz twarzy nie można było rozpoznać, gdyż cała stanowiła jedną wielką, rozwartą ranę.

A działa ciągle grzmiąły w oddaleniu tym samym ponurym, przytłumionym rykiem, i strzały następowały po sobie coraz szybciej.

Wówczas dopiero, rozglądając się naokoło, zauważył Wiljam przedmioty, których przedtem nie widział: potrzaskane armaty, konie z wypuszczonemi jelitami; tuż koło niego na szczątkach skrzyni z nabojami, które musiały eksplodować, leżało już nieruchomo trzech artylerzystów; ubrania ich i twarze były spalone, czarne od prochu, poszarpane zaś krwa-

we członki zwisały bezwładnie. Jęki posępne, głuche skargi dolatywały ze wszech stron.

W dali, jak okiem sięgnąć, olbrzymia płaszczyzna pokryta była ciałami ofiar; ludzi, którzy niedawno przechodzili ulicą przed jego mieszkaniem, widział teraz powalonych na ziemię, a znajdowali się tam wszyscy, bo równina nie miała końca.

Teraz, nie troszcząc się już o jęki i płacze, Wiljam biegł, byle uciec przed potwornym widokiem. Nogi jego grzęzły w błocie czerwonym, przekleństwa rozlegały się wkoło niego, bo miażdżył podarte członki, rozgniatą głowy krwawe, obcasem stapał po rozwartych piersiach. Tkwiła w nim już tylko myśl jedna: uciekać, nie widzieć, nie słyszeć. Daremnie jednak szedł, daremnie biegł: równina ciągnęła się bez granic, cała zasłana tysiącami i tysiącami ciał.

Wiljam poczuł się słabym, gdy wtem jakaś potężna ręka chwyciła go za ramię. Krzyknął przeraźliwie i obudził się.

K. Richet.

Współczesny autor francuski.

134. O rycerzu miłującym.

(Opowieść mieszkańca puszczy Białowieskiej).

— Bywają na świecie ludzie nader silni, od wszelkiego złego silniejsi, którzy, gdyby największa przeszkoda na drodze ich stanęła, jak piórko z drogi ją zmiotą, taka w nich moc! A jaka to moc? Skąd w nich ta moc? Zgadnijcie! Nie zgadujecie? Słuchajcie tedy, opowiem.

„W tej oto puszczy było raz zdarzenie takie: leżał pośród drogi, którą ludzie chadzali, jeździli, kamień takiej wielkości okrutnej, że ni przejść, ni przejechać bezpiecznie nikomu nijak nie dawał. Jednym się

o niego u wozów koła potrzaskaly, insi przez niego doświadczyli upadków śmiertelnych, insi jeszcze zdaleka objeżdżać go zmuszeni byli. Ile od tego srogiego głazu poszło po ludziach fraśunków i smutków, ile zgryzot przecierpianych, robót niespełnionych, utrat poniesionych—nie zliczyć!

Skąd ten głaz wziął się? Niewiadomo. Ziemia go pewnie sama na utrapienie człowiecze wydała, boć wszyscy wiedzą, że, karmicielką będąc, macierz ta nasza zarówno i trapiicielka dziatkom swym być, a ku ich trapieniu potwory srogie wydawać z siebie umie. O, umie!

Ale przebrała się cierpliwość ludzka: kto żyw do kupy zbiegł i hejże! wszyscy razem przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi!

Jako gałęzie przestępu¹⁾ dokola pnia dębowego, tak ramiona co najsilniejsze dokola głazu się oplotły i hej! ho! w górę! silniej! wyżej! Jeszcze raz! Jeszcze, jeszcze, jeszcze raz, i dziesięć, i sto razy!

Nic! Jak tkwił, tak tkwi w ziemi świętej, z pośród mchu brunatnego, co go obrasta, białe zęby wyszczerzając — z pośmiewiskiem.

Tedy stanęli ludzie biedni w zasmęceniu wielkiem, ręce poopuszczali i milczącość głucha w nich spadła. Nic nie mówią, nic nie zamierzają, zęby tylko ścisnęli i, z nogami jakby w ziemię przez nieszczęście wkopanymi, stoją. Oj! oj! Czy kto nie widział tego, jak nieszczęście wkopuje w ziemię nogi ludzkie! A zdarza się też, że i całego człowieka z sercem żywym do niej zakopie. Bo kto nieszczęśliwy jest, ten jakby pod ziemią był. Żyw niby, a martwy, i głucha milczącość dookoła go oblatuje.

Wtem widzą, ktoś na koniu drogą nadjeżdża,

¹⁾ Roślina pnąca z rodziny dyniowatych.

a że droga leśną była, więc co wybłyśnie z pośród drzew promień słoneczny, to mu w hełmie wysokim niby gwiazdę złotą, niby djament świecący zapali.

Pan, nie pan; rycerz, nie rycerz! Chybać rycerz, bo hełm ma nad głową i odzież gdzieniegdzie od stali pobłyskującą. Oblicze zaś rycerza jaśniało od piękności takiej, takiej jakiejś anielskiej, albo niebieskiej, że gdy przybliżył się i konia powstrzymał, ludzie, wnet ufnosć ku niemu poczuwszy, o biedzie swej rozpowiadać mu zaczęli, a narzekać, rozpowiadając.— Tak i tak, Jaśnie Wielmożny Panie, rozpowiadają, takie i takie zdarzyło się nam nieszczęście.

Patrzą, aż na jasne oblicze rycerza najmilsza dobroć występuje i z konia zsiadać on zamierza.— Ja wam—mówi—kamień ten z drogi odrzucę.

Oni na to z podziwieniem:

— Gdzieżby Jaśnie Wielmożny Pan dla nas taką fatygę ponosił!

A on im na to z uśmiechem cudnym:

— Dlatego jestem na świat posłany, aby cierpiących i ukrzywdzonych ratować!

Oni znów na to z wątpliwością:

— Nie wystarczy tu siła, by największa.

A on im na to z oczyma błyszczącymi, jak gwiazdy:

— Moje wystarczą, bo je biorę z miłującego serca.

Tu głaz okrutny rękoma opasał, wstrząsł nim tak, że aż ziemia stęknęła, a oblicze własne załżało mu się zdrojem potu, i z ziemi go wyrwawszy, w las daleko odrzucił. Tylko w powietrzu zagrzmiąło od runięcia głazu na świerki i sosny, które jak trzciny łamały się pod nim z trzaskiem niewypowiedzianym.

I ucichło. Droga przed ludźmi leżała równa, gładka, a po twarzach ludzkich skrzydło anielskie pisało litery radości.

Rycerz zaś znowu na koń wsiadł i, pięknie ukło-

niwszy się, pojechał dalej, cierpiących i ukrzywdzonych ratować.

Silnyż był, silnyż! A skąd w nim była ta olbrzymia moc?

— Z serca miłującego—mówił.

Ot, w sercu to miłującym, widać, tkwi ta moc olbrzymowa, co, by największe zło, przemódz zdoła.

Dajże nam tedy, o Boże, który z wysokości na tę puszcę naszą patrzysz i te kamienie, pośród niej sterczące, i te sidła, pośród niej zastawione, i te ciemności ciężkie, pośród niej rozciągnięte, widzisz, dajże nam jak najwięcej serc, napełnionych olbrzymową mocą miłowania.

Eliza Orzeszkowa.

135. Prorok miłości.

Zjawił się prorok tej wielkiej miłości,
której ty szukasz. Idzie przez doliny,
idzie przez góry—tam—nad Jordan siny,
i błogosławiąc światu i ludzkości,
odpuszcza wszystkie grzechy, gładzi winy.
A idą za Nim maluczcy i prości...

Pono Mu Boża jasność bije z czoła,
pono lilije, kędy stąpi, rosną,
pono On smutnym niesie wieść radosną,
pono umarli, wstają, gdy zawoła,
i wszystko nową wkrąg zakwita wiosną:
On błogosławi wszystkiemu dokoła!

Kobiety idą za Nim, idą dzieci —
i stada za Nim biegają białorune,
a On je wiedzie z sobą w złotą lunę,
co tam jak uśmiech na błękitach świeci —
I tak ma serce w ręku, jakby strunę,
z której, gdy zechce, budzi pieśń, co leci...

Niema już bólu, ani zła, ni pychy!
Dzieją się pono niepojęte dziwy:
nikt nie jest smutny, ani nieszczęśliwy,
nikt nie jest mały, i nikt nie jest lichy,
odkąd na łąki, na wzgórza i niwy
z dobrą nowiną zszedł On! jasny, cichy...

Miłość On niesie na światy, jak zorzę;
w imię miłości przekona, pociesza, —
a kiedy mówi, to słucha Go rzesza,
i świat Go słucha, i szumiące morze,
pasterz od stada, rolnik od lemiesza, —
a kędy wnijdzie, witają Go: — Boże!”

Bo On tam pono niebiosą otwiera,
pokój i życie daje wiekuiste;
a które serce przeżegna — jest czyste,
a którą duszę wezwie — nie umiera!
Chrystus Go zowią...

Jerzy Żuławski. („Eros i Psyche”).

Czy pełnimy naukę Chrystusa?

136. Pochodnie Nerona.

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już pierwsze fale
ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy
przybrane świątecznie, uwienieczone, ochocze i śpie-
wające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe,
wspaniałe widowisko, Okrzyki: „Semaxii! Sarmentii!”
—rozlegały się na Via Tecta, na moście Emilju-
sza i z drugiej strony Tybru, na drodze Tryumfalnej,
około cyrku Nerona i aż hen, po wzgórzu Watykań-
skie. Widywanó już i poprzednio w Rzymie ludzi pa-
lonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano ta-
kiej ilości skazanych. Cezar i Tygellin, chcąc skoń-
czyć z chrześcijanami, a zarazem zapobiedz zarazie,

która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżnić wszystkie podziemia tak, że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy po przebyciu bram ogrodowych oniemiały ze zdziwienia. Wszystkie aleje główne i boczne, biegnące wśród gestwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poletek, obsianych kwieciami, nabite były smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcijan. Z wyższych miejsc, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa, można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb, po wyniosłościach i nizinach tak daleko, że gdy bliższe wydawały się jak maszty naw, najdalsze przedstawiały się oczom jak kolorowe, pozatykane w ziemię tyrsy¹⁾ lub dzi-dy. Mnogość ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć, że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara. Gromady widzów zatrzymywały się przed pojedynczymi masztami, w miarę jak zaciękawiały je postaci, wiek lub płeć ofiar, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej, zadając sobie pełne zdumienia pytania: „Zali mogło być tylu winnych?” lub: — „Jak mogły podpalić Rzym dzieci, zaledwie zdolne chodzić o własnej mocy?” I zdumienie przechodziło z wolna w niepokój.

Tymczasem zapadł mrok, i na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonąca pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych częściach ogrodów na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów.

¹⁾ Tyrsy — laski ręczne.

Ukryta pod kwiatami i polana smolą słonia wnet zajęła się jasnym płomieniem, który, wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał zwoje bluszczów, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami bólesci. Niektóre ofiary jednak, wznosząc głowy ku gwiazdzistemu niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca nappełniły się przerażeniem, gdy z mniejszych masztów rozdzierające dziecinne głosy poczęły wołać: „Mamol mamol!” — i dreszcz przebiegł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, poprzekrzywianych bólem lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i poboczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletki, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach, poróżnowiały drżące liście na drzewach, i uczyniło się widno, jak w dzień. Śwąd spalonych ciał nappełnił ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęli sypać w przygotowane umyślnie między słupami kadzielnice mirrę i aloes. Między tłumem odezwały się tu i owdzie okrzyki, niewiadomo czy współczucia, czy upojenia i radości, i wzmagaly się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wspinał się ku piersiom ofiar, skręcał palącym tchnieniem włosy na ich głowach, rzucał zasłonę na ich poczerwiałe twarze, i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na zwycięstwo i tryumf tej sile, która kazała go rozniecić.

Lecz jeszcze na początku widowiska zjawił się wśród ludu Cezar na wspaniałej cyrkowej kwadrydze¹⁾, zaprzężonej w cztery białe rumaki, przybrany

¹⁾ Kwadryga — wóz cyrkowy.

w ubiór woźnicy i barwę stronnictwa Zielonych, do których on i jego dwór należał. Szły za nim inne wozy, pełne dworzan w świetnych strojach, senatorów, kapłanów i bachantek z wieńcami na głowach i dzbanami win w ręku, w części spitych i wydających dzikie okrzyki. Obok nich muzycy, poprzebierani za faunów i satyrów, grali na cytrach, formingach, piszczałkach i rogach. Obok kwadryg skoczkiem potrzęsali przybrane we wstążki tyrsy; inni bili w bębenki, inni sypali kwiaty. Cały ów świetny orszak posuwał się, wrzeszcząc „Evoel!”, najszerzą ogrodową drogą, wśród dymów i wśród ludzkich pochodni. Cezar, mając przy sobie Tygellina i Chilona, którego przerażeniem pragnął się zabawić, sam powodował końmi i, jadąc noga za nogą, spoglądał na płonące ciała, a zarazem słuchał okrzyków ludu. Stojąc na wysokiej złotej kwadrydze, otoczony falą ludzką, która kłaniała mu się do stóp, w blaskach ognia, w złotym wieńcu cyrkowego zwycięzcy, przerażał głową dworzan, tłumy, i wydawał się być olbrzymem. Potworne jego ramiona, wyciągnięte dla trzymania lejców, zdawały się błogosławić lud. W twarzy i przymrużonych oczach miał uśmiech i jaśniał nad ludźmi, jak słońce albo jak bóstwo straszne, ale wspaniałe i potężne.

Chwilami zatrzymywał się, by przypatrzeć się dokładniej czy to jakiej dziewczicy, której ciało poczyniło skwierczeć w płomieniu, czy wykrzywionej przez konwulsje twarzy dziecka, i znów jechał dalej, wiodąc za sobą szalony i rozhukany orszak. Chwilami kłaniał się ludowi, to znów, przeginając się w tył, ścigał złote lejce i rozmawiał z Tygellinem. Nakoniec, dojechawszy do wielkiej fontanny, stojącej w pośrodku dwóch krzyżujących się ulic, wysiadł

z kwadrygi i, skinąwszy na towarzyszków, zmieszał się z tłumem.

Przywitano go okrzykiem i oklaskami; otoczono go szalonym kołem, on zaś, mając po jednej stronie Tygellina, po drugiej Chilona, obchodził fontannę, naokół której płonęło kilkadziesiąt pochodni, zatrzymując się przed każdą, czyniąc uwagi nad ofiarą, lub drwiąc ze starego Greka, w którego twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz.

Nakoniec stanęli przed wysokim masztem, przybrany w mirty i okrzynym powojem. Czerwone języki ognia dochodziły tu już do kolan ofiary, ale twarzy jej nie można było zrazu rozpoznać, gdyż świeże płonące gałązki przesłoniły ją dymem. Po chwili jednak lekki wiatr nocny zwał dymy i odkrył głowę starca z siwą, spadającą na piersi brodą.

Na ten widok Chilon zwinął się nagle w kłęb, jak raniony gad, z ust zaś wyszedł mu krzyk, raczej do krakania niż do ludzkiego głosu podobny:

— Glaukos! Glaukos!...

Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos lekarz.

Żył jeszcze. Twarz miał zboląłą i pochyloną, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w imię Chrystusa odpuszczone, raz jeszcze wydał go w ręce oprawców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Oczy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilon widział znów te utkwione w siebie żrenice. Podniósł się i chciał ucie-

kać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są z ołowiu, i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go nadludzką siłą przed tym słupem. I skamieniał. Czuł tylko, że coś przepelnia się w nim, coś się zrywa, że dosyć ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdenna, straszna i czarna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz uśmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś strasznego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się i, wyciągnawszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem:

— Glauku! w imię Chrystusa! przebacz!!!

Uciszyło się naokół: dreszcz przebiegł obecnych, i wszystkie oczy mimowili podniosły się w górę.

A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos:

— Przebaczam!...

Chilo rzucił się na twarz, wyjąc, jak dziki zwierzę, i nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę. Tymczasem płomienie strzeliły w górę, objęły piersi i twarz Glauka, rozplotły mirtową koronę na jego głowie i zajęły wstęgi na wierzchu słupa, który zajaśniał cały wielkim, jaskrawym światłem.

Lecz Chilo podniósł się po chwili z twarzą tak zmienioną, iż augustjanom¹⁾ wydawało się, że widzą innego człowieka. Oczy płonęły mu niezwykłym

¹⁾ Dworzanie.

blaskiem, ze zmarszczonego czoła biło uniesienie! niedoleżny przed chwilą Grek wyglądał teraz, niby kapłan, który, nawiedzony przez bóstwo, chce odkryć prawdy nieznane.

— Co mu jest? oszalał! — ozwało się kilka głosów.

On zaś odwrócił się ku tłumom i, wyciągnawszy w górę prawą rękę, począł wołać, a raczej krzyczeć tak donośnie, by nie tylko augustjanie, ale i tłuszcza mogła głos jego dosłyszeć:

— Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!!...

I wskazał palcem na Nerona.

Henryk Sienkiewicz. („Quo vadis?“).

SPIS RZECZY.

	Str.		Str.
1. Narodziny. <i>T. Lenartowicz</i>	1	18. Żorawie. <i>B. Ostrowska</i>	40
2. Pod gruszą. <i>B. Prus</i>	2	19. Deszcze jesienne. <i>Wł. Reymont</i>	40
3. Modlitwa dziecka. <i>B. Prus</i>	6	20. Na Anioł Pański. <i>K. Tetmajer</i>	42
4. Przed Madonną. <i>B. Ostrowska</i>	10	21. Wyrąb lasu. <i>Wł. Reymont</i>	44
5. Z dziennika ucznia <i>C. N.</i>	11	22. Cień. <i>Wł. Orkan</i>	46
6. Ojciec zadżumionych. <i>J. Słowacki</i>	13	23. Za broną. <i>B. Prus</i>	47
7. Mój ojciec. <i>N. Żmichowska</i>	15	24. Na fujarce. <i>M. Konopnicka</i>	51
8. Tren. <i>Jan Kochanowski</i>	18	25. Szkoła wiejska. <i>L. Kondratowicz</i>	52
9. Biała szata	18	26. Wigilja. <i>Wł. Reymont</i>	57
10. Podanie o Janie i Cecylii. <i>E. Orzeszkowa</i>	21	27. Przyjście Chrystusa. <i>A. Asnyk</i>	62
11. Hej, siewacz! <i>M. Konopnicka</i>	29	28. Zbóje. <i>Wł. Reymont</i>	63
12. Nad strugą. <i>H. Sienkiewicz</i>	30	29. Wilk pokutujący. <i>I. Krasicki</i>	64
13. Rusalki. <i>K. Tetmajer</i>	31	30. Wesele. <i>J. I. Kraszewski</i>	65
14. Rozumne rady	31	31. Wiesław. <i>K. Brodziński</i>	71
15. Szkoda czasu i atlasu.	32	32. W wiejskiej chacie. <i>J. Słowacki</i>	74
16. Do moich dziewczynek. <i>N. Żmichowska</i>	32	33. W lesie. <i>H. Sienkiewicz</i>	81
17. Na odlocie. <i>A. Dygaszński</i>	34	34. Jaskółka. <i>M. Konopnicka</i>	84
		35. Bitwa. <i>H. Sienkiewicz</i>	86

	Str.		Str.
36. Chłopskie serce. <i>M. Konopnicka</i>	89	59. Podróżny i kaleka. <i>J. I. Krasicki</i>	137
37. Powietrze. <i>K. Wł. Wójcicki</i>	91	60. Siedzi ptaszek na drzewie. <i>A. Asnyk</i>	138
38. Samolub. <i>J. Lemański</i>	92	61. Pożytek z ognia. <i>C. N.</i>	139
39. Kurniawa. <i>St. Witkiewicz</i>	92	62. Do kopalni. <i>A. Gruszecki</i>	141
40. W Pieninach. <i>W. Pol</i>	95	63. Nowy chodnik. <i>A. Niemcewicz</i>	144
41. Przewodnicy tatrzańscy. <i>St. Witkiewicz</i>	96	64. Lekarz. <i>Wł. Reymont</i>	145
42. Taniec zbójce. <i>Jan Kasprowicz</i>	99	65. Św. Paweł	149
43. Wiatr halny. <i>W. Małakowski</i>	100	66. Miłujcie. <i>August Krecmar</i>	149
44. Ulewa. <i>A. Asnyk</i>	102	67. Wyjątek z Niedokończonego Poematu. <i>Z. Krasinski</i>	150
45. Widzenie górala. <i>K. Tetmajer</i>	103	68. Z życia Franklina. <i>p. F. Morzyckiej</i>	151
46. Dziwożony. <i>S. Gósczyński</i>	107	69. Wartość w nas	156
47. Krasnoludek. <i>H. Andersen</i>	108	70. Myśli <i>St. Szczepanowski</i>	156
48. Młynarz, syn jego i ośiel. <i>I. Krasicki</i>	113	71. Cisza wieczorna. <i>Jan Kasprowicz</i>	156
49. Książę Józef i dzieci polskie. <i>K. Tetmajer</i>	115	72. Noc. <i>A. Dygaszński</i>	157
50. Śmierć słowika. <i>L. Kondratowicz</i>	120	73. Miesięczna noc. <i>M. Konopnicka</i>	158
51. Ranek w Łodzi. <i>Wł. Reymont</i>	123	74. Z życia jastrzębia. <i>A. Dygaszński</i>	159
52. Poranek w puszczy. <i>J. I. Kraszewski</i>	125	75. Orzeł i kruk. <i>J. Lemański</i>	161
53. Ranek w górach. <i>A. Asnyk</i>	127	76. Nie bajka. <i>A. Asnyk</i>	162
54. Uczniowie-robotnicy. <i>E. Amicis</i>	129	77. Woły. <i>A. Świętochowski</i>	162
55. Kiedy widzisz. <i>M. Konopnicka</i>	131	78. Idylla. <i>M. Rodoć</i>	166
56. Równość	132	79. Przyjaciele. <i>J. Lemański</i>	166
57. Ramię i głowa. <i>B. Prus</i>	132	80. Kropla wody. <i>A. Górecki</i>	167
58. Bajka o kamieniarzu. <i>Mullatuli</i>	135	81. W dżungli. <i>R. Kipling</i>	168
		82. Lwy. <i>K. Tetmajer</i>	172
		83. Na oceanie. <i>H. Sienkiewicz</i>	173
		84. Żegluga. <i>A. Mickiewicz</i>	176

Str.	Str.
85. Wschód słońca na mo- rzu. <i>K. Tetmajer</i> . . . 176	112. Szkoła rycerska. <i>T. Kor-</i> <i>zon</i> 247
86. Muszla. <i>Wł. Zagórski</i> 178	113. Orły, sokoly. <i>M. Ro-</i> <i>manowski</i> 250
87. Legenda o skowronku 179	114. Fryderyk II i Krasicki 251
88. Przedświt. <i>Z. Krasieński</i> 181	115. Ze skarg Jeremiego. <i>K. Ujejski</i> 251
89. O miłości ojczyzny. <i>P. Skarga</i> 183	116. Z opowiadań legjoni- sty. <i>St. Żeromski</i> . . . 253
90. Mowa polska 184	117. Rok 1812. <i>A. Mickie-</i> <i>wicz</i> 256
91. Życie żaków. <i>H. Orsza</i> 185	118. Z ksiąg pielgrzymstwa <i>A. Mickiewicz</i> 258
92. Do Wisły. <i>A. Czajkow-</i> <i>ski</i> 190	119. Poznanie się Mickiewi- cza z Zanem. <i>Odyniec</i> 259
93. Stroje mieszczan w w. XIV. <i>K. Szajnocha</i> . . 193	120. Grajek. <i>Or-Ol</i> . . . 261
94. Wawel. <i>E. Wasilewski</i> 196	121. Hrabiatko. <i>M. Konop-</i> <i>nicka</i> 263
95. A słowiki śpiewały... <i>E. Jeleńska</i> 197	122. Z pieśni. <i>M. Konop-</i> <i>nicka</i> 270
96. Świtez. <i>A. Mickiewicz</i> 206	123. Wspomnienie. <i>E. Orzesz-</i> <i>kowa</i> 271
97. M. Kopernik. <i>H. Orsza</i> 212	124. Dzwonek. <i>M. Ilnicka</i> 276
98. Światła. <i>A. Asnyk</i> . . 216	125. Syberja. <i>W. Nałkowski</i> 277
99. Bezstronność 216	126. Z Anhellego. <i>Słowacki</i> 279
100. Czyn i słowo. 217	127. Maraton. <i>K. Ujejski</i> . . 282
101. W Zbarażu. <i>L. Kubala</i> 217	128. Najtrwalszy pomnik . 285
102. Dumka Kosińskiego. <i>B. Zaleski</i> 221	129. Uang-Ming-Tse. <i>W.</i> <i>Sieroszewski</i> 285
103. Wyprawa Skrzetuskie- go. <i>H. Sienkiewicz</i> . . . 223	130. Ze śpiewek ludowych 292
104. Sen. <i>Zdz. Dębicki</i> . . . 232	131. W godzinie tryumfu. <i>B.</i> <i>Prus</i> 293
105. Dziedzictwo Sobieskie- go. <i>T. Korzon</i> 233	132. Wojna. <i>L. Ackermann</i> 299
106. Kto silniejszy. <i>Czerw.</i> 235	133. Sen. <i>K. Richet</i> 299
107. Wyjątek z mowy So- bieskiego. <i>T. Korzon</i> 237	134. O rycerzu miłującym 303
108. Poszłabym ja. <i>M. Ko-</i> <i>nopnicka</i> 240	135. Prorok miłości. <i>Żuławs.</i> 306
109. Rezolutny kawaler . . 241	136. Pochodnie Nerona. <i>H.</i> <i>Sienkiewicz</i> 307
110. Kogut. <i>I. Krasicki</i> . . 244	
111. Pies i wilk. <i>A. Mickie-</i> <i>wicz</i> 245	

Spis rzeczy podług treści.

1. Proza opowiadająca.

Opowiadania i obrazki historycz-
ne, pamiętniki, życiorysy, po-
droże i t. d.

Str.
Z życia Franklina. <i>Morzycka</i> 151
Życie żaków krakowskich. <i>H. Orsza</i> 185
Mikołaj Kopernik. <i>H. Orsza</i> 212
W Zbarażu. <i>L. Kubala</i> . . 217
Dziedzictwo Sobieskiego. <i>T.</i> <i>Korzon</i> 233
Wyjątek z mowy Sobieskie- go 237
Szkoła rycerska. <i>T. Korzon</i> 247
Poznanie Mickiewicza z Za- nem. <i>A. E. Odyniec</i> . . . 259

2. Proza opisowa.

Stroje mieszczan w wieku XIV-ym <i>K. Szajnocha</i> . . 193
Syberja. <i>W. Nałkowski</i> . . 277

3. Proza rozumująca.

Rozprawy etyczne, przyrodnicze,
mowy, myśli i t. p.

Z dziennika ucznia. <i>C. N.</i> 11
Rozumne rady 31
Pożytek z ognia. <i>C. N.</i> . . 139
Święty Paweł 149
Myśli St. Szczepanowskiego 156
O miłości Ojczyzny. <i>Skarga</i> 183
Z ksiąg pielgrzymstwa. <i>A.</i> <i>Mickiewicz</i> 258

4. Poezja epiczna.

Powiastrki, nowele, obrazki, opo-
wiadania historyczne, podania,
legendy, baśnie, wyjątki z po-
wieści, anegdota i t. p.

a) Mową niewiązaną.	Str.
Pod gruszą. <i>B. Prus</i>	2
Modlitwa dziecka. <i>B. Prus</i>	6
Podanie o Janie i Cecylji. <i>E. Orzeszkowa</i>	21
Szkoda czasu i atlasu	32
Na odlocie. <i>A. Dygasieński</i>	34
Za brona. <i>B. Prus</i>	47
Wigilja. <i>Wł. Reymont</i>	57
Zbóje. <i>Wł. Reymont</i>	63
Wesele. <i>J. I. Kraszewski</i>	65
W lesie. <i>H. Sienkiewicz</i>	81
Bitwa. <i>H. Sienkiewicz</i>	86
Powietrze. <i>K. Wł. Wójcicki</i>	91
Widzenie górala. <i>K. Tetmajer</i>	103
Krasnoludek. <i>H. Andersen</i>	108
Książę Józef. <i>K. Tetmajer</i>	115
Uczniowie robotnicy. <i>Amicis</i>	129
Równość	132
Ramię i głowa. <i>B. Prus</i>	132
Bajka o kamieniarzu. <i>Mul-</i> <i>taluli</i>	135
Do kopalni. <i>A. Gruszecki</i>	141
Lekarz. <i>Wł. Reymont</i>	145
Wyjątek z Niedokończonego Poematu. <i>Z. Krasieński</i>	150
Wartość w nas	156
Z życia jastrzębia. <i>A. Dyga-</i> <i>siński</i>	159
Woły. <i>A. Świętochowski</i>	162
W Dżungli. <i>R. Kipling</i>	168
Legenda o skowronku	179

Str.	Str.
A słowiki śpiewały... <i>E. Je-</i> <i>leńska</i> 197	Świtez. <i>A. Mickiewicz</i> . . . 206
Bezstronność 216	Kto silniejszy 235
Czyn i słowa 217	Rok 1812. <i>A. Mickiewicz</i> . . 256
Wyprawa Skrzetuskiego. <i>H. Sienkiewicz</i> 223	Grajek. <i>Or-Ot</i> 261
Rezolutny kawaler 241	Maraton. <i>K. Ujejski</i> 282
Fryderyk II i Krasicki . . . 251	
Z opowiadań legionisty. <i>St. Żeromski</i> 253	5. Poezja liryczna i opisowa.
Hrabiątko. <i>M. Konopnicka</i> . 263	a) <i>Mową niewiązaną.</i>
Wspomnienie. <i>E. Orzeszkowa</i> 271	Opis piękny; charakterystyka.
Z Anhellego. <i>J. Słowacki</i> . 279	Mój ojciec. <i>G. Żmichowska</i> 15
Najtrwalszy pomnik . . . 285	Nad strugą. <i>H. Sienkiewicz</i> 30
Uang-Ming-Tse. <i>Sieroszewski</i> 285	Deszcze jesienne. <i>Wł. Rey-</i> <i>mont</i> 40
W godzinie tryumfu. <i>B.</i> <i>Prus</i> 293	Wyrąb lasu. <i>Wł. Reymont</i> . . 42
Sen. <i>K. Richet</i> 299	Kurniawa. <i>St. Witkiewicz</i> . . 92
O rycerzu miłującym. <i>Orz.</i> 303	Przewodnicy tatrzańscy. <i>St. Witkiewicz</i> 96
Pochodnie Nerona. <i>H. Sien-</i> <i>kiewicz</i> 307	Wiatr halny. <i>W. Małakowski</i> 100
	Ranek w Łodzi. <i>Wł. Rey-</i> <i>mont</i> 123
b) <i>Mową wiązaną.</i>	Poranek w puszczy. <i>Kra-</i> <i>szewski</i> 125
Obrazki, podania, legendy, bal-	Noc. <i>A. Dygasiński</i> 157
lady, śpiewy historyczne, sielan-	Na oceanie. <i>H. Sienkiewicz</i> 173
ki, gawędy.	Wschód słońca na morzu. <i>K.</i> <i>Tetmajer</i> 176
Ojciec zadżumionych. <i>J.</i> <i>Słowacki</i> 13	b) <i>Mową wiązaną.</i>
Biała szata 18	Pieśni, dumki, elegje, treny, ody,
Rusalki. <i>K. Tetmajer</i> . . . 31	hymny, liryka opisowa i liryka
Szkoła wiejska. <i>L. Kon-</i> <i>dratowicz</i> 52	dydaktyczna.
Wiesław. <i>K. Brodziński</i> . . 71	Narodziny. <i>T. Lenartowicz</i> 1
W wiejskiej chacie. <i>J. Sło-</i> <i>wacki</i> 74	Przed Madonną. <i>B. Ostrow-</i> <i>ska</i> 10
Chłopskie serce. <i>M. Konop-</i> <i>nicka</i> 89	Tren. <i>J. Kochanowski</i> . . . 17
Dziwożony. <i>S. Goszczyński</i> 107	Hej, siewaczek <i>M. Konopni-</i> <i>cka</i> 29
Śmierć słowika. <i>L. Kondra-</i> <i>towicz</i> 120	Do moich dziewczynek. <i>G.</i> <i>Żmichowska</i> 32

Str.	Str.
Żórawie. <i>B. Ostrowska</i> . . . 40	Poszłabym ja. <i>Konopnicka</i> 240
Na Anioł Pański. <i>K. Tetmajer</i> 42	Orły, sokoły. <i>M. Romanow-</i> <i>ski</i> 250
Cień. <i>Wł. Orkan</i> 46	Ze skarg Jeremiego. <i>K. Ujej-</i> <i>ski</i> 251
Na fujarce. <i>M. Konopnicka</i> 51	Z pieśni. <i>M. Konopnicka</i> 270
Przyjście Chrystusa. <i>A. Asnyk</i> 52	Dzwonek. <i>M. Ilnicka</i> . . . 276
Jaskółka. <i>M. Konopnicka</i> 64	Ze śpiewek ludowych . . . 292
W Pieninach. <i>W. Pol</i> . . . 85	Wojna. <i>L. Ackermann</i> . . . 299
Taniec zbójceki. <i>J. Ka-</i> <i>sprowicz</i> 99	Prorok miłości. <i>J. Żuławski</i> 306
Ulewa. <i>A. Asnyk</i> 102	
Ranek w górach. <i>A. Asnyk</i> 127	6. Poezja dydaktyczna.
Kiedy widzisz. <i>Konopnicka</i> 131	Bajki, satyry, epigramaty i t. p.
Nowy chodnik. <i>Niemojewski</i> 144	Wilk pokutujący. <i>I. Krasicki</i> 64
Miłujcie. <i>A. Kreczmar</i> . . . 149	Samolub. <i>J. Lemański</i> . . . 92
Cisza wieczorna. <i>J. Ka-</i> <i>sprowicz</i> 156	Młynarz, syn jego i osieł. <i>I. Krasicki</i> 113
Miesięczna noc. <i>Konopnicka</i> 158	Podróżny i kaleka. <i>I. Krasicki</i> 137
Lwy. <i>K. Tetmajer</i> 172	Siedzi ptaszek. <i>A. Asnyk</i> . . 138
Żegluga. <i>A. Mickiewicz</i> . . 176	Orzeł i Kruk. <i>J. Lemański</i> . . 161
Muszla. <i>W. Zagórski</i> . . . 178	Nie bajka. <i>A. Asnyk</i> . . . 162
Przedświt. <i>Z. Krasieński</i> . . 181	Idylla. <i>M. Rodoł</i> 166
Mowa polska 184	Przyjaciele. <i>J. Lemański</i> . . 166
Do Wisły. <i>A. Czajkowski</i> . . 190	Kropla wody. <i>A. Górecki</i> . . 167
Wawel. <i>E. Wasilewski</i> . . . 196	Kogut. <i>I. Krasicki</i> 244
Światła. <i>A. Asnyk</i> 216	Pies i wilk. <i>A. Mickiewicz</i> 245
Dumka Kosińskiego. <i>B. Za-</i> <i>leski</i> 221	
Sen. <i>Zdz. Dębicki</i> 232	

SPIS AUTORÓW.

- | | | |
|------------------|-------------------|--------------------|
| L. Ackermann. | I. Krasicki. | Wł. Reymont. |
| E. Amicis. | Z. Krasiński. | K. Richet. |
| H. Andersen. | J. I. Kraszewski. | M. Rodoć. |
| A. Asnyk. | A. Kreczmar. | M. Romanowski. |
| K. Brodziński. | L. Kubala. | F. Rudnicka. |
| A. Czajkowski. | J. Lemański | H. Sienkiewicz. |
| B. Czerwieński. | T. Lenartowicz. | W. Sieroszewski. |
| G. Daniłowski | W. Matlakowski. | P. Skarga. |
| Zdz. Dębicki. | A. Mickiewicz. | J. Słowacki. |
| Br. Dyakowski. | F. Morzycka. | K. Szajnocha. |
| A. Dygasiński. | Multatuli. | St. Szczepanowski. |
| M. Górecka. | W. Nałkowski. | A. Świętochowski. |
| S. Goszczyński. | A. Niemojewski. | K. Tetmajer. |
| A. Gruszecki. | C. Niewiadomska. | K. Ujejski. |
| M. Illicka. | A. E. Odyniec. | E. Wasilewski. |
| E. Jeleńska. | Wł. Orkan. | S. Wittkiewicz. |
| T. T. Jeż. | Or-Ot. | K. Wł. Wójcicki. |
| J. Kasprowicz. | H. Orsza. | Wł. Zagórski. |
| R. Kipling. | E. Orzeszkowa. | B. Zaleski. |
| J. Kochanowski. | Br. Ostrowska. | S. Żeromski |
| L. Kondratowicz. | W. Pol. | N. Żmichowska. |
| M. Konopnicka. | B. Prus. | J. Żuławski. |
| T. Korzon. | | |

68387